

- Niecodzienny pilot – zagadka lotu Hessa do Anglii • Sporu nie tylko o kawę ciąg dalszy • Kartkowe bagno • Niepotrzebna budowa na Retkini • Nieśmiertelny
- Tajemnica zielonych teczek
- Sennik egipski i ludowy

Największym błędem jest milczący zespół

Rozmowa z trenerem drużyny piłki nożnej RTS Widzew – WŁADYSŁAWEM ZMUDĄ.

— Rozpoczął się już nowy sezon ligowy, jubileuszowy, pięćdziesiąty. Kibice zastanawiają się, jaki też on będzie. A ja proponuję rozpocząć rozmowę od uwag o sezonie minionym. Przecież coś musi wynikać z doświadczeń minionych rozgrywek. Jaki wniosek wyciągnęły kluby? Na przykład: dlaczego wam nie udało się ponownie zdobyć tytułu mistrza Polski?

— Po prostu — nie byliśmy odpowiednio przygotowani do gry w lidze i pucharach europejskich jednocześnie. Po zwycięskim meczu z Liverpoolem drużyna zagrała słabo w meczach z Bałtykiem i Lechem. Zawodnicy żyli jeszcze sukcesem i w drużynie nie było pełnej koncentracji. Inaczej już było po meczach z Juventusem.

— Jesienią drużyna grała znacznie gorzej.
— To przecież był okres przebudowy zespołu. Odeszło 9 zawodników. Nowy zespół musiał się zgrać. Stąd wyjazdy zagraniczne, żeby zawodnicy oswoili się z obcymi zespołami, żeby nie bali się wielkich nazwisk. Ale istotnie, jesienią runda nam nie wyszła. Nie było żadnego zwycięstwa na wyjeździe.

— W wiosennej rundzie przegraliście mecz w Ru-

12

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Sterowiec na celowniku

Moja największa miłość to lotnictwo. Od ponad 20 lat hobby to mnie nie opuszcza. Absolutnie i na moim przykładzie sprawdza się twierdzenie seniorów lotnictwa: Kto zetknął się z lataniem i „pokłnie bakcyła”, przystanie do rodziny lotniczej na zawsze. A jest to rodzina wspaniała, solidarna, honorowa i dumna. Każdemu może za imponować. Latalem więc w wielu ogólnopolskich rajdach dziennikarzy i pilotów, przeżyłem szereg przy-

god, z których najbardziej niebezpieczne wspomina się później z humorem i najczęściej. Rodzina lotnicza, wsparta głównie na „społecznikowskiej” działalności, umiła życie, daje emocje, ale też wymaga, wyznacza zadania, wciąga do pracy. Mnie lotnicy powierzyli funkcję członka Prezydium Aeroklubu Łódzkiego i opiekuna sekcji modelarskiej. Wynikają stąd zadania organizatorskie i sfera pro-

7

JAK ZOSTAĆ ŚPIEWAKIEM

BOHDAN GADOMSKI

Czekając na piękne głosy (2)

III. EGZAMIN AKTORSKI

W Akademii Muzycznej kształcą się śpiewaków ale większość z nich po dyplomie trafia do teatrów i musi tam nie tylko śpiewać, ale grać i to nie zawsze nieskomplikowane role. Edukacja aktorska na łódzkim Wydziale Wokalno-Aktorskim zajmują się: Bogdan Wróblewski, Zbigniew Józefowicz, Barbara Jaklicz, za ruch sceniczny i utanczenie odpowiadają: Krystyna i Włodzisław Traczewscy.

Obejrzały egzamin aktorski wywołał we mnie bardzo mieszane uczucia. Zadania aktorskie i sposoby, którymi oczekiwano ich wykonanie były w wielu przypadkach zatrważająco blache i nieproporcjonalnie do niezbędnego stopnia trudności przy tak poważnych egzaminach na tak poważne studia.

A oto przykłady:

— Wraca pan z zabawy na wczasach, jest pan na lekkim rauszu i musi przeżyć przeszkodę w postaci rzeczki.

Kandydat wykonuje to zadanie nonchalnie, nie wyrażając właściwie żadnych uczuć, stanów psychicznych mimiką twarzy, gestami, jedynie ruch wynikaający z sytuacji. Aktorsko jest bardzo surowy. Zbiera jednak wysoka punktacja, podobnie jest też jego szkolna interpretacja „Kwiatów polskich”.

Kolejny kandydat chyba ma samochód, bo zadanie z naprawą wozu wykonuje fachowo, tylko że co z tego wynika dla zbadań jego predyspozycji aktorskich? Słaba dykcja i szkolne odwołanie tekstu wiersza też tu przechodzi bez uwag i dodatkowego odwołania może głębiej ukrytych zdolności aktorskich kandydata.

„Koloratura” śpiewała orie tak dźwięcznie i pięknie, że słuchaczą było w całej uczelni. Wiersz i prozę mówi tak cichutko, że zachodzi obawa, czy ktośkolwiek w drugim rzędzie będzie ją słyszał. Próba zapowiedzi samej siebie w egzaminacyjnym repertuarze też się nie udała.

Podobnie jest z posiadaczką dźwięku „fis” i wielkim sopranem, w którym dostrzegam wadę wymowy i słabą dykcję.

Egzaminatorów nie zrażają te mankamenty, może są na nie uodpornieni i wiedzą, że w tej uczelni liczy się przede wszystkim głos i śpiew. Ale może to oni sami zaniedbali poziom aktorstwa studentów wokalistyki w uczelni począwszy już od przedsiłonek, czyli od egzaminów wstępnych?? Przecież to się na wydziale młodzi, rzutcy i uzdolnieni pedagogicznie asystenci — aktorzy?! Czy Barbara Jaklicz mała na roku tak mało czasu na pracę nad dykcją i wymową sceniczną zdąży przeprowadzić niezbędne korekty? A recenzenci piszą, że łódzcy śpiewacy sennością na scenie...

Sprawdzian predyspozycji ruchowych — tanecznych przez fachowca wysokiej klasy, jakim jest znakomita tancerka, solistka baletu Teatru Wielkiego — Krystyna Traczewska to odrębny i smutny obrazek z egzaminów aktorskich.

Na scenie słupy soli, drewniane kolki. Patrzę na panią Krystynę i widzę jej zdumienie i przerażenie w oczach. Współczuję, bo wiem ile pracy czeka pedagoga z tegorocznymi kandydatami, poza 2—3 wyjątkami, które wykazują dobre utanczenie i sprawność ruchową.

10

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 34 (1325) ROK XXVI

20 SIERPNIĄ 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ



Foto: M. Zajdler

Przeгляд prasy

NIE TYLKO ZDZIWIENIE

Pod tytułem „Tylko zdziwienie” Stefan Kozicki publikuje na łamach „Tu i Teraz” artykuł o sprawach młodzieży. Konkretniej — o życiowych aspiracjach młodego pokolenia.

„Aspiracje młodzieży oceniam dopiero wtedy, kiedy nie wyjdą nam się oficjalnie. Kiedy nie stawiamy żadnych pachnących filozofii bytu i niebu tu pytań. Nie domagamy się podkreśleń i wykresów na miłą przypominających działalność ankietową. Kiedy po prostu staniemy z boku i uważnie, nie puszczając „obserwujemy typowe reakcje”, zachowujemy.

Ostatnio była ku temu świetna okazja. Rekrutacja kandydatów na wyższe uczelnie oraz stosowne egzaminy.

W świetle informacji o powodzeniu, jakie miały poszczególne kierunki studiów wśród kandydatów, Kozicki widzi bardzo niebezpieczne zjawisko — zwyczajne szukanie takich kierunków, na które — zdaniem maturzystów — łatwiej się dostać i łatwiej je skończyć. Bez względu na późniejszy zatrudnienie, które jest zagadnieniem odrębnym. Oto na przykład rekordowe ilości chętnych notowano na studiach pedagogicznych. Piszcie dalej Kozicki: „Nigdy jeszcze w dziejach PRL nie notowano tak dotkliwej luki w kadrze nauczycielskiej jak dziś. Ucieczkę od tego zawodu, która „wyszczerebiła szeregi” tłumaczy po części, ale tylko po części, niskie aparycje.

W tej sytuacji nikt chyba nie będzie mógł twierdzić — chociaż byłby nie wiem jak napomniany hasłami o patriotycznej ofiarności młodzieży i jej stuprocentowo słusznych aspiracjach, że moda na dyplom i tytuł naukowy pedagoga wiąże się z modą na uprawianie zawodu pedagoga. Z psychologią nie inaczej.

Kozicki analizuje jeszcze popularność innych kierunków — np. zastanawiającą wysoką frekwencję egzaminacyjną na stomatologię, znacznie przewyższającą liczbę chętnych na inne wydziały akademii medycznych. Wreszcie autor przechodzi do politycznej strony zagadnienia podejmując polemikę z krążącymi tu i ówdzie opiniami, że nietypowy tegoroczny rozkład zainteresowań poszczególnymi kierunkami studiów ma podłoże w kontestatorskich postawach naszych licealistów.

„Tylko niech mi nikt nie usiłuje wmówić, tak jak jeden z moich kontestatorskich nastrojujących młodzieży kolegów, że moda na psychologię i pedagogikę to nie innego jak wyraz opozycyjnych postaw. Ze niby w języku pojęć psychologów można bez narządzenia się cenzurze wyrazić więcej prawdy o naszych czasach niż w języku pojęć innych nauk. Albo, że niby mamy do czynienia z takim oto przekrotnym tokiem rozumowania: jeśli oni chcą nas upućić pluskim racjonalizmem, to my im pokażemy coś zgola przeciwnego. Niech mi nikt tego nie wmawia. Nie wierzę, że na modne kierunki startują akurat sami intelektualści. Obecny pęd na psychologię z dentystryką i pedagogiką z ogrodnictwem, ma tyle wspólnego z romantyczno-opozycyjnymi postawami co uczorajszy śnieg zimny stulecia z dzisiejszym upałem lata stulecia.”

Na zakończenie Kozicki przytacza typowy dla naszych publikatorów błąd propagandowy w ukazywaniu spraw młodzieży: „Bo cóż oto dało się widzieć niedawno w dzienniku to kierującym się szlachetną intencją reprezentowania zapasu organizacji radomskiej ZSMP (...) Dala się oto widzieć wspaniałe seksowna blondyna rozdżana do skromnego (rozmiarami) bikini, pręga biała pośrodku koszono pola (...). Rozebrana piękność ma wiele wspólnego z pozowaniem a nie wspólnego z pracą. Bikini nadaje się dla operatorów telewizyjnych, którym zdaje się, że robią propagandę”.

Felieton Kozickiego budzi nie tylko zdziwienie. O młodzieży pisze w tym samym numerze „Tu i Teraz” również Z. NIENACKI. Zresztą nie tylko o młodzieży. O specyficznej „grze” w dziedzinie rozrodczości. Ludzie na pewnym poziomie intelektualnym z różnych powodów mają mniej dzieci. Natomiast wszelki margines społeczny, ludzie upośledzeni umysłowo itp. mają rekordowe ilości progenitury. Po prostu mamy

CORAZ WIĘCEJ KRETYNÓWI

Nienacki relacjonuje opinię pewnej wiejskiej kobiety:

„... w jej włosce dwie naturalne tytuły magistrów — mają po jednym dziecku, a trzecia, choć ma już trzydzieści lat i jeździ małym fiatem, zamiast dziecka zaczęła robić doktorat (...). Proste kobiety mają po pięciorgo, siedmiorgo a nawet jedenaścioro dzieci. Irozdą je mimo piętrzących się trudności. Na przykład ona — to jest płożąca owe pretensje niewiasta — ukończyła zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej, ponieważ, jak mówiła, miała od maleńkości padaczkę. A jednak już w wieku szesnastu lat poczęła pierwsze dziecko z mężem, który w dwudziestym roku życia przeszedł na rentę z powodu schizofrenii”.

Dalej Nienacki przytacza opinię kierownika szkoły, który obserwuje stały wzrost ilości uczniów o zanizonym florazie inteligencji, co w efekcie obniża poziom nauczania w całych klasach. Autor kończy filigran:

„Dlatego ludzie wykształceni i z dużym florazem inteligencji nie lubią roboty dąmsko-męskiej — tego nie wiem i owej kobiecie wspomnianej na wstępie, nie umiałem odpowiedzieć”.

Rozumiem, że Nienackiemu potrzebna była zabawna polinta, ale cała sprawa wcale do zabawnych nie należy. Czyżby — obok takich zagrożeń jak np. zatrucie środowiska naturalnego — istniało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, stojące przed ludzkością? Niebezpieczeństwo ogólnej degeneracji umysłowej?

Skoro przy „Tu i Teraz” się zatrzymałem, to warto polecić co najmniej jeszcze trzy pozycje: siódmym odcinek opowiadań syberyjskich Jarosława Haška, fragmenty amerykańskich dzienników Majakowskiego i artykuł Adama Schaffa, który wydaje się kończyć już polemikę wokół „schaffowskich” interpretacji marksizmu.

Nie ma natomiast w „TIT” felietonu Rema. Widocznie krewki felietonista wybrał się na urlop. Również w „Szpilkach”, od pewnego czasu nie ma felietonów Klaksona. Pewnie również na urlopie. Może nawet obydwa wybrali się gdzieś razem?

Jan Szczepański opublikował w „Życiu Literackim” czwarty już artykuł z cyklu „O Sejmie”. Tym razem zajmujemy się niesłychanie ważkim tematem, jakim jest

WYCHODZENIE ZE STANU WOJENNEGO

Artykuł datowany jest 14 lipca 83, co nie jest bez znaczenia. Szczepański podkreśla m. in. wagę konstytucyjnego zapisu w sprawie PRON:

„Zniesienie FJN pociąga za sobą istotne zmiany systemu politycznego. Albo zmieniłaby konstytucja nada PRON taki charakter, jaki miał FJN, od czego PRON zdecydowanie się odstępował, albo też zmieniłby charakter funkcjonowania posłów w Sejmie i zmienił system wyborczy. Rezygnując z formuły FJN albo się zdecydowało na wybory reprezentujące poszczególne partie i stronnictwa czy grupy polityczne w rozumieniu istniejących grup katolickich, które staną do wyborów oddzielnie, co wydaje się mało prawdopodobne, albo też PRON stanie się platformą wyborczą do rad narodowych i Sejmu. Trudno bowiem jest wiązać na serio brane hasło odnowy z dawnymi schematami i uznanymi za przebrzmiałe. Jaką więc znaleźć formułę wyborczą i jakie zasady reprezentacji w Sejmie podstawić na miejsce zniesionego FJN?”

Przechodząc do samego faktu zniesienia stanu wojennego, co w przekonaniu powszechnym winno nastąpić w atmosferze spokoju i w miarę „piynnie” Szczepański przypomina że „władze miały do wyboru różne możliwości uregulowania

stanu przejściowego oraz znalezienia środków zmniejszających możliwość nawrotu kryzysu polityczno-ustrojowego. Ryzykowało się dwie skrajne możliwości: a) podniesienie „atrakcyjności” władzy i jej sprawności, tak by łatwiej zdobyła akceptację i uznanie wśród obywateli, przez demokratyzację i przez szersze wciąganie obywateli w wykonywanie władzy; b) podniesienie zdolności reprezentacyjnych władzy i stworzenie form obliczonych bardziej na sprawną represję niż na sprawne zatwierdzenie problemów obywateli. Oczywiście, między tymi dwiema skrajnościami istnieje wiele możliwości pośrednich. Ustawy przedłożone Sejmowi wywołują wrażenie, że są bliższe temu drugiemu rozwiązaniu (...). Sejm będzie więc musiał podejmować bardzo trudne decyzje”.

Szczerzej i prościej wypowiedzi wybitnego uczonego można przeciwstawić ekstrawagancję byłego prezesa SDP, Stefana Bratkowskiego. Wywiad Bratkowskiego udzielony tygodnikowi zachodnoniemieckiemu „Der Spiegel” przytacza i komentuje „Trybuna Ludu” z czwartku, 11 sierpnia 83.

Bratkowski z niesłychaną dezynwolturą na pytanie: „Czy Jaruzelski po zniesieniu stanu wojennego zatracił dialog ze swoim społeczeństwem?” odpowiada: „Jaruzelski to mój stary znajomy. Lubiliśmy go. Był wobec mnie lojalny...”

Po ujawnieniu swoich wysokich towarzyskich koneksji Bratkowski ocenia władzę w Polsce. Przede wszystkim są w Polsce źli politycy, tak w rządzie, jak i w hierarchii kościelnej (sic!). Polityczne kierownictwo kraju nie zna swego celu ani nie ma żadnej perspektywy. Premier jest postacią tragiczną — jest okamywany przez otoczenie i sam chce być okamywany!

Bratkowski dodaje, że jedyną dobrze zorganizowaną grupą polityczną w kraju są „skubki tajne”.

Jesteśmy w domu! Ujawnia się o kolejnym zwolenniku spiskowej teorii dziełowi — konkluduje komentator „TL”.

W następnym numerze „Życia Literackiego” Jan Szczepański kontynuuje swój cykl sejmowy (data — 28 lipca 83), w którym tym razem ukazuje prozalczną: „komisyjną”, nużącą wręcz

CODZIENNOŚĆ SEJMU

Jak pisał Szczepański, sejmowa codzienność często polega na szukaniu złotego środka między globalnymi interesami państwa — na ogół reprezentowanymi przez projekty przedstawiane przez rząd i wypowiedzi jego członków i przedstawicieli a szeroko rozumianym interesem społecznym — interesem wyborców. Interesem ludzi pracy, rencistów itp. ba, czasem wręcz interes rodzin, gospodyń domowych itp.

Nie też dziwnego, że postawie ulegają pokusie, aby oddalić niektóre prace do przyszłej kadencji. „Zbliża się VIII kadencja Sejmu, władcywie pozostawiają tylko jeszcze miesiąc pracy, ale coraz częściej przed postami będzie się zjawiać pokusa, by przedstawiane im projekty odłożyć do następnej kadencji, niech nowy Sejm wybrany wiosną 1984 r. już się nimi zajmie. Jest to pokusa wynikająca nie tylko ze zmęczenia, ale także z przekonania, że rzeczywistość gospodarcza, polityczna i społeczna zmieniają się szybko i że lepiej będzie regulować niektóre sprawy w nowych warunkach, po wyborach do rad narodowych i do Sejmu. Będzie to, bowiem istotny test sytuacji w kraju, najważniejszy od zniesienia stanu wojennego”.

Wracając do sprawy Sejm — rząd pisze Jan Szczepański na zakończenie swego tekstu:

„Nie ma jeszcze utartych sposobów tej współpracy, zwłaszcza w zakresie gospodarki i tworzą się one z oporami, dobrze zrozumiałymi na tle metod sprawowania władzy w minionych dziesięcioleciach. Sądzę, że jeśli ten proces będzie się pogłębiał, historycy zapiszą na konto VIII kadencji także rozpoczęcie tego procesu. Tutaj widzę dla Sejmu ważny problem do rozwiązania w sesji jesiennej”.

CO WIEMY I CO MYŚLIMY O REFORMIE

„Polityka” prezentuje, w artykule Jerzego Turkowskiego, wyniki badań przeprowadzonych w maju br. przez Ośrodek Ba-

dania Opinii Publicznej PR i TV. Badania dotyczyły społecznych opinii i ocen dotyczących wprowadzanej reformy gospodarczej.

Jak się okazuje, wielu z nas wie o reformie niewiele:

„Znajomość podstawowych zasad reformy gospodarczej badano poprzez pytanie otwarte — respondenci wypowiadali się w sposób spontaniczny. Na pytanie „Jakie są podstawowe zasady reformy gospodarczej?” nie potrafili udzielić żadnej odpowiedzi 54 proc. spośród ogółu badanych.

Wypowiedzi świadczące o znajomości podstawowych zasad reformy udzieliło 24 proc. ogółu badanych, a więc mniej więcej połowa spośród tych, którzy odpowiedzieli na omawiane pytanie. Często ograniczali się one do ogólnych sformułowań o reformie gospodarczej”.

Mimo iż generalnie ogromna większość badanych jest „za reformą” to jednak w kwestii np. cen i plac utrzymują się poglądy tradycyjne, ukształtowane przez lata tzw. systemu nakazowo-rozdzielczego.

„Opinie społeczne o kwestii zróżnicowania plac w zależności od zysków przedsiębiorstwa są wyraźnie podzielone. Spośród ogółu badanych 47 proc. jest zdania, że place w danym zawodzie nie muszą być jednokowe, a powinni być zróżnicowane w zależności od zysków przedsiębiorstwa, w którym się pracuje, natomiast 43 proc. wyraża opinie, że place w danym zawodzie powinny być jednakowe w całym kraju (10 proc. nie ma zdania w tej sprawie)”.

„Ponad połowa badanych opowiada się za tym, aby ceny były ustalane wyłącznie przez rząd. Większość opinii społecznych preferuje sprzeczne z założeniami reformy rozwiązanie systemu cen, a tylko 30 proc. ogółu jest za rozwiązaniami, które dopuszczalne są w ramach zasad reformy”.

Optymistyczna jest konkluzja badań: Oto zdecydowana większość badanych jest zdania, że reforma przyniesie pozytywne skutki we wszystkich dziedzinach.

ROZMOWY Z GOMUŁKĄ

W treści wspomnianego weterana polskiego ruchu robotniczego, Jan Ptaszńskiego, publikowanych od pięciu tygodni przez „Rzeczywistość”. Kolejny odcinek dotyczy toczonych przez kierownictwo PPR rozmów z RPPS na temat stworzenia wspólnego frontu walki z okupantem i wspólnej platformy politycznej w budowie Polski demokratycznej po wyzwoleniu. Rozmowy miały miejsce w końcu r. 1943.

„Gomułka uważał — pisał Jan Ptaszński — że trzeba cierpliwie rozmawiać, przekonawać, świadom, że czas pracuje na korzyść PPR. Wiedział także, że porozumienie możliwe jest tylko drogą kompromisów, oczywiście nie kosztem zasad. I ta linia sprawdziła się w rzeczywistości, niełatwej rzeczywistości, gdyż nadal były to lata walki. Ta linia, powie Gomułka w swojej samobronie 31 sierpnia 1948 r., była słuszną, była kontynuowana po wyzwoleniu. Paradoks historii, kiedy to oskarża się przywódca (a w oskarżeniu niestety, prym wiodą ci, co w tym czasie nieobecni byli w kraju) za dzieło doprowadzone do pomysłowego końca”.

„Rzeczywistość” przynosi też drugi odcinek powieści Dawida Herberta Lawrence’a „Kochanek Lady Ghatteerley”.

Każdy sposób na powiększenie nakładu i utrzymanie czynelnika jest dobry. Nawet to stareńkie pseudopornograficzne powieściśdło...

NOWY ALFABET

mianowicie alfabet kryzysowy proponuje Ryszard Twardoch w „Szpilkach”. Bardzo zabawny, składa się z maksymalnie uproszczonych liter. Trudno to opisać, do zajrzenia w egzemplarz „Szpilek” namawia

ANDRZEJ KAROL

Minał tydzień

ŁODZIANIE MIELI SZCZĘŚCIE

W ośrodku wypoczynkowym prowadzonym przez przedsiębiorstwo turystyczne „Warta — Tourist” w miejscowości Mierzyn woj. gorzowskie, 487 osób uległo epidemii anginy. W ośrodku działa się scena dantejskiej. Pogotowie jeździło w te i nazad, plaży nad jeziorem pilnowali milicjanci, żeby nie dopuścić do kąpiel wczasowiczów, wydano zakaz używania wody do czegośkolwiek innego jak tylko splukiwanie ustępów.

Czarny urlop! Jak się okazało, siedmiokrotna epidemia była stołówką. Wczoraj wczę jedli z niedomytych naczyń, zdrowi obliżali łyżki po chorych...

Jednak przebywający w Mierzynie łodzianie — z wyjątkiem trzech osób — uniknęli choroby, bowiem stolarzowi się gdzieś indziej — donosi, nie bez nutki lokalnego patriotyzmu „Express Hustrawany”.

Łodzianin zawsze ubezpieczony!

TRANSFERY I AFERY

Sfinalizowała się sprawa transferu Dziekanowskiego do Widzowa. Dowodnie świadczy o tym ogłoszenie, które ukazało się w czwartek, 1 sierpnia w „Głosie Robotniczym”: RTS Widzew pilnie poszukuje mieszkania: — 3 pokoje z kuchnią bez umywalki na okres dwóch lat (nowe budownictwo) oraz 2 mieszkania — pokój z kuchnią, umeblowanymi, również nowe budownictwo.

Jedno dla Dziekanowskiego, wiadomo. Kibic chciałby wiedzieć dla kogo pozostałe dwa. I dlatego jednym piłkarzom chce się wynająć pokoje ze starymi gratami, a innym bez mebli? Także ciekawe jest, kto zakupił komplet mebli do trzypokojowego?

Na nową aferę transferową sanosi się — jak donosi Dziennik Łódzki — w sprawie Buncola „DL” (za Trybuną Robotniczą) informuje, że Buncol przesłał do sekretariatu chorowoskiego Ruchu pismo, w którym prosi o zwolnienie z klubu i umożliwienie przejścia do Legii, ponieważ zamierza zostać podoficerem zawodowym w Warszawie.

Piękna rzecz poczuć powołanie do stanu wojskowego. Tylko czy na Śląsku nie ma żadnego wojska? O tym gazety nie wspominają, prawdopodobnie ze względu na tajemnicę wojskową...

Kierownictwo klubu odpowiedziało Buncolowi, że to powołanie (do wojska czy do stolicy?) będzie kosztowało ni mniej ni więcej tylko 25 mln zł.

Byłoby to kolejny transferowy rekord?

PARKING NA PIOTRKOWSKIEJ

Kiedyś tam, po licznych perturbacjach, m.in. próbie zakazu parkowania na Piotrkowskiej, władze łódzkie ustaliły zasady parkowania na głównej ulicy miasta i był spokój.

Do czasu. Do czasu, gdy nowy przedsiębiorstwo, od kilku miesięcy działające p. Targowiska Miejskie nie poczuło dotkliwej pustki w kieszeni. Wymyślono, że Piotrkowska na swym najruchliwszym odcinku będzie „parkingiem płatnym, niestrzeżonym”. Jest to pomysł na kryzys znakomity. Tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy samochodów zatrzymują się na Piotrkowskiej na kilka, kilkanaście minut. Niech bulaj!

Bezpłatnie sprzedam kilka równie dobrych pomysłów, które uratować mogą przed plajtą przedsiębiorstwo Targowiska Miejskie: pobieranie opłat za wjazd i wyjazd z miasta (rogatkowej), opłata za skorzystanie z przejścia podziemnego, wstęp płatny do parków miejskich (też nie nowego).

GETTO W ŚRÓDMIEŚCIU

Łodzianie z niepokojem obserwowali w ostatnich dniach wznowienie muru na skraju chodnika przy ulicy Narutowicza. Spekulowano już, że władze miejskie wnoszą obóz pracy dla upośledzonych uchylających się od podjęcia zatrudnienia. Tymczasem łódzka prasa donosiła, że to tylko dekoracja do filmu Jerzego Hoffmana p. „Musisz żyć”, którego akcja dzieje się w getcie warszawskim.

Obiboki odetchnęli. Nadal nie ma na nich sposobu...

PRZETAŃCZYŁ CAŁE TRZY NOCE

Miasteczko Biały Bór w woj. koszalińskim znalazło się wreszcie, dzięki ambicji miejscowych działaczy, na mapie ważnych ośrodków kulturalnych. Właśnie odbył się tam czwarty już, doroczny maraton taneczny. Wzięło w nim udział blisko 40 par z różnych rejonów kraju. Najlepsza para, Lidia Kotus ze Szczecina i Janusz Kotecki z Miastka przetańczyli 63 godziny.

Były omdlenia i jeden przypadek zaniku pamięci. Przypadku zaniku samozadowolenia wśród organizatorów nie odnotowano.

KONTREKATOR

W najbliższych numerach:

- O TWÓRCZOŚCI LEONA GOMOLICKIEGO
- MACABRA ALLA POLLACA
- ŁZY SŁOŃCA — OPOWIADANIE SF
- KUZINY NESSIE
- DOKOŃCZENIE ARTYKUŁU O UCIECZCE RUDOLFA HESSA
- STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE W PRZESZŁOŚCI I DZIŚ
- WYWIAD Z PIOSENKARKĄ JAGĄ PADUCH
- MORDERSTWO Z CIEKAWOŚCI

Wieczorem 10 maja 1941 roku z lotniska pod Augsburgiem wystartował samolot „Me-110”. Tego dnia o godzinie 22.08 do dowództwa skrzydła RAF w Turhouse wpłynął meldunek, że na wysokości Northumbria nad Berliem spostrzeżono obcy samolot. Meldunek ten przekazano księciu Douglasowi Hamiltonowi.

— Jaki to samolot? — zapytał książę.
— „Me-110” — padła odpowiedź.
— Ależ to niemożliwe — powiedział książę Douglas Hamilton. — Tego typu samoloty nie mogą zapuszczać się aż tak daleko na północ. Ale wbrew wszystkiemu samolot nadal latał nad Szkocją. O 23.07 nadszedł kolejny meldunek, że „Me-110” znajduje się kilka mil na południe od Glasgow. Zarządzono alarm. Wystartowały brytyjskie myśliwce. Ale ich interwencja okazała się zbyteczna. Dwie mile od Eaglesham, w pobliżu drogi do Mearus 1 w pobliżu zagrody Davida Mac Leana „Me-110” roztrzaskał się o ziemię. Zdarzenie to widział Ro-

bert Williamson — członek polnej pomocniczej w Eaglesham. Ale nim przybył wraz z asystentem Clarkiem, członkiem Home Guard, na miejsce katastrofy, niemiecki pilot był już w domu Davida Mac Leana. Wyskoczył bowiem na spadochronie i przy lądowaniu skaleczył sobie nogę w kostce. Mógł chodzić. Zdźwionemu Szkotowi powiedział po angielsku:

— Szukam domu księcia Hamiltona. Mam ważną wiadomość dla Royal Air Force. Jestem sam, nie uzbójczy.
— David Mac Lean zaprosił go do domu, a jego matka zaproponowała szklankę herbaty.
— Dziękuję — powiedział gość z nieba, który przedstawił się jako Alfred Horn — o tak późnej porze nie pijam herbaty.
Robert Williamson i Clark przewieźli niemieckiego pilota do Busby, gdzie zamknięto go w lazience baraku Home Guard. Meldunek o tym, że niemiecki pilot, kapitan Alfred Horn wylądował w Szkocji, przyleciałszy tu „w najściślej tajemnicy” i chce rozmawiać z księciem Douglasem Hamiltonem — przekazano dowództwu wojskowemu.
Kapitana Alfreda Horna przewieziono do koszar w Maryhill, gdzie też następnego dnia, a była to niedziela, o godzinie 11 przyjechał książę D. Hamilton.
„Wszedłem do pokoju jeńca w asyście oficera śledczego i oficera dyżurnego — wspomina książę Hamilton. — Uważnie przyjrzałem się człowiekowi, który stał przede mną, ale nie mogłem sobie przypomnieć, abym go widział kiedykolwiek przedtem.
Jeniec wyraził życzenie porozmawiania ze mną w cztery oczy, poprosiłem więc towarzyszących mi oficerów, aby pozostawili nas samych.
Niemiec rozpoczął od przypomnienia, że spotkał mnie w 1938 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie i że spożywałem lunch w jego domu.
— Nie wiem, czy pan mnie pamięta — powiedział. — Jestem Rudolf Hess.”
23 września 1940 roku książę Douglas Hamilton otrzymał od Albrechta Haushofera — syna Karla Haushofera — list z zaproszeniem do spotkania się w Lizbonie. Teraz okazało się — o czym książę Hamilton w ogóle nie miał pojęcia do tej pory — że zaproszenie to miało związek z Rudolfem Hessem i było pierwszą próbą nawiązania kontaktu. A więc myśli o nawiązaniu kontaktu z pewnymi siłami politycznymi w Wielkiej Brytanii narodziła się już dość dawno.
Rudolf Hess zakomunikował jeszcze księciu Douglasowi Hamiltonowi, że to Albrecht Haushofer — przyjaciel Hessa — podsunął mu myśl, aby zwrócić się z tym, z czym przyjechał do Anglii właśnie do księcia Hamiltona, gdyż jest on tym Anglikiem, który zrozumie ich punkt widzenia. Rudolf Hess zakomunikował też, że Adolf Hitler nie chce niszczyć Anglii i pragnie zakończyć z nią wojnę. Europa była już w zasadzie w rękach hitlerowców.
Wieczorem 11 maja 1941 roku Winston Churchill przebywał u przyjaciół w Ditchley, gdzie oglądał film. Później tak zanotował wydarzenia tego wieczoru:
„Zabawna komedijka skończyła się. Byłem zadowolony z tej chwili odprężenia, gdy nagle sekretarz powiadomił mnie, że ktoś życzy sobie mówić ze mną z polecenia księcia Hamiltona.
Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Niecodzienny pilot

bert Williamson — członek polnej pomocniczej w Eaglesham. Ale nim przybył wraz z asystentem Clarkiem, członkiem Home Guard, na miejsce katastrofy, niemiecki pilot był już w domu Davida Mac Leana. Wyskoczył bowiem na spadochronie i przy lądowaniu skaleczył sobie nogę w kostce. Mógł chodzić. Zdźwionemu Szkotowi powiedział po angielsku:

— Szukam domu księcia Hamiltona. Mam ważną wiadomość dla Royal Air Force. Jestem sam, nie uzbójczy.
— David Mac Lean zaprosił go do domu, a jego matka zaproponowała szklankę herbaty.
— Dziękuję — powiedział gość z nieba, który przedstawił się jako Alfred Horn — o tak późnej porze nie pijam herbaty.
Robert Williamson i Clark przewieźli niemieckiego pilota do Busby, gdzie zamknięto go w lazience baraku Home Guard. Meldunek o tym, że niemiecki pilot, kapitan Alfred Horn wylądował w Szkocji, przyleciałszy tu „w najściślej tajemnicy” i chce rozmawiać z księciem Douglasem Hamiltonem — przekazano dowództwu wojskowemu.

Kapitana Alfreda Horna przewieziono do koszar w Maryhill, gdzie też następnego dnia, a była to niedziela, o godzinie 11 przyjechał książę D. Hamilton.
„Wszedłem do pokoju jeńca w asyście oficera śledczego i oficera dyżurnego — wspomina książę Hamilton. — Uważnie przyjrzałem się człowiekowi, który stał przede mną, ale nie mogłem sobie przypomnieć, abym go widział kiedykolwiek przedtem.
Jeniec wyraził życzenie porozmawiania ze mną w cztery oczy, poprosiłem więc towarzyszących mi oficerów, aby pozostawili nas samych.
Niemiec rozpoczął od przypomnienia, że spotkał mnie w 1938 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie i że spożywałem lunch w jego domu.

— Nie wiem, czy pan mnie pamięta — powiedział. — Jestem Rudolf Hess.”

23 września 1940 roku książę Douglas Hamilton otrzymał od Albrechta Haushofera — syna Karla Haushofera — list z zaproszeniem do spotkania się w Lizbonie. Teraz okazało się — o czym książę Hamilton w ogóle nie miał pojęcia do tej pory — że zaproszenie to miało związek z Rudolfem Hessem i było pierwszą próbą nawiązania kontaktu. A więc myśli o nawiązaniu kontaktu z pewnymi siłami politycznymi w Wielkiej Brytanii narodziła się już dość dawno.

Rudolf Hess zakomunikował jeszcze księciu Douglasowi Hamiltonowi, że to Albrecht Haushofer — przyjaciel Hessa — podsunął mu myśl, aby zwrócić się z tym, z czym przyjechał do Anglii właśnie do księcia Hamiltona, gdyż jest on tym Anglikiem, który zrozumie ich punkt widzenia. Rudolf Hess zakomunikował też, że Adolf Hitler nie chce niszczyć Anglii i pragnie zakończyć z nią wojnę. Europa była już w zasadzie w rękach hitlerowców.

Wieczorem 11 maja 1941 roku Winston Churchill przebywał u przyjaciół w Ditchley, gdzie oglądał film. Później tak zanotował wydarzenia tego wieczoru:
„Zabawna komedijka skończyła się. Byłem zadowolony z tej chwili odprężenia, gdy nagle sekretarz powiadomił mnie, że ktoś życzy sobie mówić ze mną z polecenia księcia Hamiltona.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Wieczorem 11 maja 1941 roku Winston Churchill przebywał u przyjaciół w Ditchley, gdzie oglądał film. Później tak zanotował wydarzenia tego wieczoru:
„Zabawna komedijka skończyła się. Byłem zadowolony z tej chwili odprężenia, gdy nagle sekretarz powiadomił mnie, że ktoś życzy sobie mówić ze mną z polecenia księcia Hamiltona.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Wieczorem 11 maja 1941 roku Winston Churchill przebywał u przyjaciół w Ditchley, gdzie oglądał film. Później tak zanotował wydarzenia tego wieczoru:
„Zabawna komedijka skończyła się. Byłem zadowolony z tej chwili odprężenia, gdy nagle sekretarz powiadomił mnie, że ktoś życzy sobie mówić ze mną z polecenia księcia Hamiltona.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

bert Williamson — członek polnej pomocniczej w Eaglesham. Ale nim przybył wraz z asystentem Clarkiem, członkiem Home Guard, na miejsce katastrofy, niemiecki pilot był już w domu Davida Mac Leana. Wyskoczył bowiem na spadochronie i przy lądowaniu skaleczył sobie nogę w kostce. Mógł chodzić. Zdźwionemu Szkotowi powiedział po angielsku:

— Szukam domu księcia Hamiltona. Mam ważną wiadomość dla Royal Air Force. Jestem sam, nie uzbójczy.
— David Mac Lean zaprosił go do domu, a jego matka zaproponowała szklankę herbaty.
— Dziękuję — powiedział gość z nieba, który przedstawił się jako Alfred Horn — o tak późnej porze nie pijam herbaty.
Robert Williamson i Clark przewieźli niemieckiego pilota do Busby, gdzie zamknięto go w lazience baraku Home Guard. Meldunek o tym, że niemiecki pilot, kapitan Alfred Horn wylądował w Szkocji, przyleciałszy tu „w najściślej tajemnicy” i chce rozmawiać z księciem Douglasem Hamiltonem — przekazano dowództwu wojskowemu.

Kapitana Alfreda Horna przewieziono do koszar w Maryhill, gdzie też następnego dnia, a była to niedziela, o godzinie 11 przyjechał książę D. Hamilton.
„Wszedłem do pokoju jeńca w asyście oficera śledczego i oficera dyżurnego — wspomina książę Hamilton. — Uważnie przyjrzałem się człowiekowi, który stał przede mną, ale nie mogłem sobie przypomnieć, abym go widział kiedykolwiek przedtem.
Jeniec wyraził życzenie porozmawiania ze mną w cztery oczy, poprosiłem więc towarzyszących mi oficerów, aby pozostawili nas samych.
Niemiec rozpoczął od przypomnienia, że spotkał mnie w 1938 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie i że spożywałem lunch w jego domu.

— Nie wiem, czy pan mnie pamięta — powiedział. — Jestem Rudolf Hess.”

23 września 1940 roku książę Douglas Hamilton otrzymał od Albrechta Haushofera — syna Karla Haushofera — list z zaproszeniem do spotkania się w Lizbonie. Teraz okazało się — o czym książę Hamilton w ogóle nie miał pojęcia do tej pory — że zaproszenie to miało związek z Rudolfem Hessem i było pierwszą próbą nawiązania kontaktu. A więc myśli o nawiązaniu kontaktu z pewnymi siłami politycznymi w Wielkiej Brytanii narodziła się już dość dawno.

Rudolf Hess zakomunikował jeszcze księciu Douglasowi Hamiltonowi, że to Albrecht Haushofer — przyjaciel Hessa — podsunął mu myśl, aby zwrócić się z tym, z czym przyjechał do Anglii właśnie do księcia Hamiltona, gdyż jest on tym Anglikiem, który zrozumie ich punkt widzenia. Rudolf Hess zakomunikował też, że Adolf Hitler nie chce niszczyć Anglii i pragnie zakończyć z nią wojnę. Europa była już w zasadzie w rękach hitlerowców.

Wieczorem 11 maja 1941 roku Winston Churchill przebywał u przyjaciół w Ditchley, gdzie oglądał film. Później tak zanotował wydarzenia tego wieczoru:
„Zabawna komedijka skończyła się. Byłem zadowolony z tej chwili odprężenia, gdy nagle sekretarz powiadomił mnie, że ktoś życzy sobie mówić ze mną z polecenia księcia Hamiltona.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.

Książę, jeden z moich osobistych przyjaciół, sprawował dowództwo nad lotnictwem myśliwskim we wschodniej Szkocji, nie mogłem sobie jednak wyobrazić takiej sprawy, z omdłowieniem której nie można byłoby zacząć do rana.
Telefonujący nalegał jednak na tę rozmowę ze mną; chodziło jakoby o sprawę niecierpiącą zwłoki, którą musi się zająć rząd”.



„Najwierniejsi” paladyni Hitlera — Rudolf Hess i Heinrich Himmler — oczekują na lotnisku przybycia swego „führera”.

wierzyć”, ale też zaraz dodał, że „teraz jest już za późno”.
Wszystkich — i to zarówno wówczas, jak i dziś — nurtuje pytanie:

CZY ADOLF HITLER WIEDZIAŁ

o zamiarze lotu Rudolfa Hessa do Anglii i podjęciu rokowań w sprawie zakończenia wojny? Już lord John Simon zadał takie pytanie Hessowi:

J. Simon: — „Czy może, albo czy chce mi pan powiedzieć; przybył pan tu z wiedzą czy bez wiedzy führera?”

R. Hess: — „Bez jego wiedzy. Absolutnie (protokół odnotowywał po tej odpowiedzi, że „Rudolf Hess się uśmiechnął”).”

Ten uśmiech odnotowany w protokole rozmowy stał się powodem różnych interpretacji. Ale nie uśmiech powinien być powodem tych interpretacji a fakty.

Robert M. W. Kempner w książce „Trzecia Rzesza w krzyżowym ogniu pytań” prezentuje uwagi Ernesta Wilhelma Bohle — kierownika wydziału zagranicznego NSDAP i sekretarza stanu w MSZ Trzeciej Rzeszy. Był on współpracownikiem i zaufanym Rudolfa Hessa. A poza tym — co jest dość istotnym szczegółem — Ernest W. Bohle urodził się w 1903 roku w Bedford w Anglii i znakomicie władał językiem angielskim. Ernest W. Bohle podzielił się z Robertem M. W. Kempnerem relacją ze swoich przeżyć związanych z poczynaniami Rudolfa Hessa.

Zaczął się to 9 października 1940 roku. Tego dnia zadzwonił do Ernesta W. Bohle'a zastępca führera — Rudolf Hess i zaprosił go do swego mieszkania przy Wilhelmstrasse 64.

„Hess przyjął mnie natychmiast — relacjonuje Ernest W. Bohle — był sam w pokoju i upewnił się, czy drzwi do przedpokoju są dobrze zamknięte. Po czym powiedział:
— Pamiętam, wezwąłem pana, by zapytać, czy byłby pan gotów spełnić dla mnie pewną bardzo tajną misję specjalną. Tego, co panu powiem teraz, nie może pan powtórzyć nikomu, nawet mojemu najbliższemu otoczeniu, a nawet mojemu bratu. Wybrałem pana, ponieważ zna pan angielski, zna Anglików tak samo jak ja, uważa wojnę z Anglią za wielkie niebezpieczeństwo i ponieważ w tej sprawie darzę pana większym zaufaniem niż kogokolwiek innego. Krótko mówiąc, chodzi o to, by wdrożyć kroki zmierzające do zakończenia wojny z Anglią. Czy chce pan wziąć w tym udział?”

Wyraziłem zgodę i oświadczyłem, że nawet będą zachowywany możliwość współdziałania w tych planach; Hess dodał, że zwiastuje moją urzędową zwierzchnik, minister spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop, nigdy nie może się dowiedzieć, nawet domyślać czegokolwiek na ten temat, gdyż wówczas jego zamiar natychmiast zostałby stępiony”.

Rudolf Hess oświadczył następnie, że zamierza spotkać się z księciem Douglasem Hamiltonem w Szwajcarii, „który ponoć — jak to relacjonuje Ernest W. Bohle — posiada daleko sięgający wpływ w Anglii” i właśnie Ernest W. Bohle ma przetłumaczyć fragment listu do księcia Hamiltona. Prace nad tłumaczeniem tego listu i inne związane z przygotowaniem trwały gdzieś do początku stycznia 1941 roku.

Ernest W. Bohle utrzymuje, że urwały się one gdzieś po 7 stycznia 1941 roku.

Jak z tego wynika, myśl o nawiązaniu rozmów z niektórymi ugrupowaniami politycznymi w Anglii w celu podjęcia rokowań na niemieckich warunkach narodziła się już dość wcześnie. Czy był to pomysł tylko Rudolfa Hessa? Czy była to koncepcja określonej polityki Adolfa Hitlera, który wprowadził zamierzał dokonać inwazji na Wyspy Brytyjskie, ale zrezygnował z niej, ruszając na Wschód? Czy może Adolf Hitler doszedł do wniosku, że szybko rozprawi się ze Związkiem Radzieckim i wtedy wróci do sprawy inwazji na Anglię?

Walter Schellenberg zwrócił się nawet ze swoimi wątpliwościami do Heinricha Himmlera, a ten odpowiedział mu, że jego zdaniem „naród niemiecki jest zbyt inteligentny, aby w to

miarą nie wolno tego kroku poczytywać za ucieczkę, jako że dla podjęcia tak niebezpiecznego, z lotniczego punktu widzenia, zadania trzeba więcej odwagi i zdecydowania niżeli to, by pozostać w Niemczech”.

Rudolf Hess tłumaczył dalej polityczne motywy swego czynu — wolę nawiązania porozumienia i doprowadzenia do zakończenia wojny w drodze rokowań z pokojowo nastawionymi siłami w Anglii. Powoływał się na takie same dążenia Adolfa Hitlera wyrażane w różnych rozmowach. Jego zdaniem, on — Rudolf Hess urodzony w Egipcie, a więc na obszarze Imperium Brytyjskiego i w zasięgu jego wpływów, najlepiej się do takiej misji nadawał.

Zebrał u Adolfa Hitlera dostojnicy nie wiedzieli jeszcze, czy czyn Rudolfa Hessa powiódł się, czy dotarł on do Szkocji i nawiązał kontakt z Anglikami i jak został przyjęty. Była niedziela i w Szkocji trwały pierwsze rozmowy z Rudolfem Hessem, jeszcze o jego lądowaniu w Szkocji nie wiedział nawet Winston Churchill. Należało więc czekać na reakcję Anglików. Taką podjęto wówczas decyzję.

„Ale też należało przygotować się i na taką ewentualność, że Rudolf Hess dotarł do Szkocji i przedstawił Anglikom swój pokojowy plan. Wtedy należało Rudolfa Hessa przedstawić jako człowieka chorego umysłowo.”

„Dziś wydaje mi się — napisał w 1955 roku Otto Dietrich — Czego wówczas nawet nie przypuszczaliśmy, że Hitler po to kładł tak duży nacisk na rzekomo niepoczytalność Hessa, aby z góry podważyć zaufanie Anglików do wszystkiego, co powie. A Hitlerowi bardzo na tym zależało, obawiał się bowiem, że Hess, który doskonale znał zamiar napaści Hitlera na Rosję, zdradził cały ten plan Anglikom”.

Rudolf Hess nie zdradził Anglikom planu napaści na ZSRR, natomiast gazety i radio Trzeciej Rzeszy okrzyknęły go niepoczytalnym.

Walter Schellenberg — szef wywiadu w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) — pisał później, że skutki tej decyzji były wręcz odwrotne od zamierzonych.

— Jak to możliwe — pytali ludzie — aby wariat był przez tyle czasu zastępcą wodza Trzeciej Rzeszy?

Walter Schellenberg zwrócił się nawet ze swoimi wątpliwościami do Heinricha Himmlera, a ten odpowiedział mu, że jego zdaniem „naród niemiecki jest zbyt inteligentny, aby w to

miarą nie wolno tego kroku poczytywać za ucieczkę, jako że dla podjęcia tak niebezpiecznego, z lotniczego punktu widzenia, zadania trzeba więcej odwagi i zdecydowania niżeli to, by pozostać w Niemczech”.

Rudolf Hess tłumaczył dalej polityczne motywy swego czynu — wolę nawiązania porozumienia i doprowadzenia do zakończenia wojny w drodze rokowań z pokojowo nastawionymi siłami w Anglii. Powoływał się na takie same dążenia Adolfa Hitlera wyrażane w różnych rozmowach. Jego zdaniem, on — Rudolf Hess urodzony w Egipcie, a więc na obszarze Imperium Brytyjskiego i w zasięgu jego wpływów, najlepiej się do takiej misji nadawał.

Zebrał u Adolfa Hitlera dostojnicy nie wiedzieli jeszcze, czy czyn Rudolfa Hessa powiódł się, czy dotarł on do Szkocji i nawiązał kontakt z Anglikami i jak został przyjęty. Była niedziela i w Szkocji trwały pierwsze rozmowy z Rudolfem Hessem, jeszcze o jego lądowaniu w Szkocji nie wiedział nawet Winston Churchill. Należało więc czekać na reakcję Anglików. Taką podjęto wówczas decyzję.

„Ale też należało przygotować się i na taką ewentualność, że Rudolf Hess dotarł do Szkocji i przedstawił Anglikom swój pokojowy plan. Wtedy należało Rudolfa Hessa przedstawić jako człowieka chorego umysłowo.”

„Dziś wydaje mi się — napisał w 1955 roku Otto Dietrich — Czego wówczas nawet nie przypuszczaliśmy, że Hitler po to kładł tak duży nacisk na rzekomo niepoczytalność Hessa, aby z góry podważyć zaufanie Anglików do wszystkiego, co powie. A Hitlerowi bardzo na tym zależało, obawiał się bowiem, że Hess, który doskonale znał zamiar napaści Hitlera na Rosję, zdradził cały ten plan Anglikom”.

Rudolf Hess nie zdradził Anglikom planu napaści na ZSRR, natomiast gazety i radio Trzeciej Rzeszy okrzyknęły go niepoczytalnym.

Walter Schellenberg — szef wywiadu w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) — pisał później, że skutki tej decyzji były wręcz odwrotne od zamierzonych.

— Jak to możliwe — pytali ludzie — aby wariat był przez tyle czasu zastępcą wodza Trzeciej Rzeszy?

Walter Schellenberg zwrócił się nawet ze swoimi wątpliwościami do Heinricha Himmlera, a ten odpowiedział mu, że jego zdaniem „naród niemiecki jest zbyt inteligentny, aby w to

miarą nie wolno tego kroku poczytywać za ucieczkę, jako że dla podjęcia tak niebezpiecznego, z lotniczego punktu widzenia, zadania trzeba więcej odwagi i zdecydowania niżeli to, by pozostać w Niemczech”.

Rudolf Hess tłumaczył dalej polityczne motywy swego czynu — wolę nawiązania porozumienia i doprowadzenia do zakończenia wojny w drodze rokowań z pokojowo nastawionymi siłami w Anglii. Powoływał się na takie same dążenia Adolfa Hitlera wyrażane w różnych rozmowach. Jego zdaniem, on — Rudolf Hess urodzony w Egipcie, a więc na obszarze Imperium Brytyjskiego i w zasięgu jego wpływów, najlepiej się do takiej misji nadawał.

Zebrał u Adolfa Hitlera dostojnicy nie wiedzieli jeszcze, czy czyn Rudolfa Hessa powiódł się, czy dotarł on do Szkocji i nawiązał kontakt z Anglikami i jak został przyjęty. Była niedziela i w Szkocji trwały pierwsze rozmowy z Rudolfem Hessem, jeszcze o jego lądowaniu w Szkocji nie wiedział nawet Winston Churchill. Należało więc czekać na reakcję Anglików. Taką podjęto wówczas decyzję.

„Ale też należało przygotować się i na taką ewentualność, że Rudolf Hess dotarł do Szkocji i przedstawił Anglikom swój pokojowy plan. Wtedy należało Rudolfa Hessa przedstawić jako człowieka chorego umysłowo.”

„Dziś wydaje mi się — napisał w 1955 roku Otto Dietrich — Czego wówczas nawet nie przypuszczaliśmy, że Hitler po to kładł tak duży nacisk na rzekomo niepoczytalność Hessa, aby z góry podważyć zaufanie Anglików do wszystkiego, co powie. A Hitlerowi bardzo na tym zależało, obawiał się bowiem, że Hess, który doskonale znał zamiar napaści Hitlera na Rosję, zdradził cały ten plan Anglikom”.

Rudolf Hess nie zdradził Anglikom planu napaści na ZSRR, natomiast gazety i radio Trzeciej Rzeszy okrzyknęły go niepoczytalnym.

Walter Schellenberg — szef wywiadu w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) — pisał później, że skutki tej decyzji były wręcz odwrotne od zamierzonych.

— Jak to możliwe — pytali ludzie — aby wariat był przez tyle czasu zastępcą wodza Trzeciej Rzeszy?

80-letni Rudolf Hess ogląda w więzieniu w Spandau swój oficcerski mundur i kombinezon lotniczy, jaki miał na sobie w czasie lotu do Wielkiej Brytanii. Taką to niespodzianką sprawił swemu podopiecznemu troskliwy pułkownik Bird.

Sporu nie tylko o kawę ciąg dalszy

Autoraki tytuł nad uwagami o handlowaniu kawą („Odgłosy” nr 31/83) brzmiał: „Nad kawiarniami zmiłuj się Panie (Ministrze)”. Redakcja uznała za stosowne kawiarnie zastąpić „kawiarniami”, grzeczniej pacząc sens wypowiedzi. Mnie, autorkę, chodziło o dole indywidualnych młóśników czarnego napoju; Redakcja zaś dała do zrozumienia, iż pożałowania godny jest los kawiarni.

Tymczasem kawiarnie mają się dobrze. Otrzymują bowiem prawie wszystkie kawę, importowaną przez MHZ, sprzedając ją po ok. 20 tys. zł/kg. Zysk nieżyły na mieleniu i wodzie, zważywszy na oficjalną cenę kawy ziarnistej, tj. 3200 zł/kg. Gorzej natomiast mają się kawiarnie, ponieważ im pozostaje albo płacić rozbójnicze ceny kawiarniane, albo kupować kawę po 5400 zł w sklepie E-my „Leonard” („Express Ilustrowany” nr 145/83).

Mogą jeszcze nabywać kawę w „Pewexie”, idąc za radą dyrektora Głównego Urzędu Cel („Prawo i Życie” nr 24/83). Gdyby jeszcze dyrektor doradził, jak wzbudzić zainteresowanie „Pewexu” złotówką, to już prawie wszystko byłoby w porządku.

Redakcja nadtytułem „Sporu nie tylko o kawę” sugeruje, że spieram się z Lucjanem Boguszem, który tytułem „Litować się nad takimi koncepcjami” daje z kolei do zrozumienia, iż wysuwam jakieś koncepcje. Koncepcji ja otóż żadnych nie wysuwam — stwierdzając jedynie fakty; z Lucjanem Boguszem nie spieram się. Inteligentny spór bowiem, czyli „ostra dyskusja na łamach”, zakłada, że obie strony przestrzegają reguł gry polemicznej, obie strony mówią o tym samym, pojmują wagę wzajemnych argumentów, i na pytania konkretne — konkretnie odpowiadają.

Tymczasem Lucjan Bogusz holduje zasadzie wstępnego spręparowania sprawy wielkości komara do wielkości problemu: „słoń a sprawa polska”, by następnie móc w komara tego rodzajem palic z grubych rur racji najwyższych państwowych. Metodę taką nazywa się również ustawianiem do ciosu. Co podaje gwoli uproszczenia sprawy polemiste, któremu: „nie tylko o kawę chodzi, bo kawa jest jedynie pretekstem do rozważań o metodzie”.

Pisałem o kawie i o niczym więcej, co by z kawą bezpośrednio nie wiązało się. Tym samym wypowiedź Lucjana Bogusza, który zakłada, że mnie „chodzą nie tylko o niedostatek kawy, ale o sprawy znacznie bardziej skomplikowane” — jest pozbawiona sensu jako oparta na fałszywej przesłance. Z logicznego i merytorycznego punktu widzenia nie ma więc „sprawy”.

Niemniej, skoro do stanu takiej mizerii już doszliśmy, że gdy pyta ktoś o kawę to zarzuci mu się demagogię, przypisuje mu się przejadanie z przepijaniem, czyni nieledwie odpowiedzialnym za kryzys, klucze w oczy Reaganem wraz z NATO, posadza o zawężeniu z zasklepieniem i dlatego „wyjaśnia”, dlaczego to mianowicie nie stać nas na mieszkania — to tekstu takiego nie można pozostawić bez najniebezpieczniejszych słów komentarda.

Zatrzymam się na sprawach zasadniczych. Pomiję przyszywane mi łaki, przypisywane mi sądy i przyklepane etykiety-epitetyki. Dla przykładu, także bym uznał za „prerażającą naiwność” próby leczenia ospałości „powszechnie wprowadzonym nakazem picia kawy”. A za takim nakazem ja się ponoć opowiadam! Takiej bzdury to zaiste nie wymyślił nawet „paru durniów”, którym picie kawy w niezłym im pomoże” z kregu znajomych Lucjana Bogusza; coś takiego wymyślić może wyłącznie sam mistrz polemicznego pióra.

1. NIE „ZIELONE” LECZ ŻŁOTE SZANOWAĆ

Choć Lucjan Bogusz troszczy się o wysychanie źródeł dopływu dolarów do Polski, to wartość dolara w złotych nie interesuje go. A szkoda, bo jest to klucz do wielu zapartych drzwi. Gdyby pokusił się o wyjaśnienie, dlaczego dolar według NBP wart jest 95 zł, na czarnym rynku kosztuje 570 zł, a w kasach biur turystycznych i central handlowych ma kilka kursów pośrednich — to może bym zrozumiał jedną z najważniejszych przyczyn braku dolara w skarbcu państwowym. To nie długi spowodowały kryzys, lecz szaleńcza beztroška o złotówkę; i taka sama beztroška o pracę i jej owoce, wyrażane i wyceniane w tej złotówce.

Jedno z potencjalnie niewyczerpywalnych źródeł dewiz Lucjanowi Boguszowi wskazuje Dariusz Dorczyński, który na sąsiedniej stronie tych samych „Odgłosów” opisuje, w repertoarzu „Garb Edisonsa”, sposoby traktowania wynalazców i wynalazków. Taki np. pulsometr: mógł kosztować 70 tys. zł w czasach, gdy kosztował ok. 4 tys. dolarów. Dawałoby to 17,30 zł za dolara. Lecz (oczywiście?) pulsometru nie produkujemy, ani dla kraju ani na eksport, chociaż puls trzeba mierzyć każdemu. Po co produkować, skoro łatwiej mówić o (cytuje): „braku źródeł dopływu dewiz do skarbu państwowego”?

Pulsometr to tylko pierwszy z brzegu przykład z tysięcy przykładów marnowania polskiej myśli, wynalazków, ulepszeń, pomysłów, a także wytworów zręcznych rąk. Niektórzy jeszcze pamiętają sprawę „kreta”, tj. urządzenia do rybia kanałów pod jezdniami. Przed czterdziestu laty, opatentował go w 1928 r. w dziedzinie na własne oczy, jak zakłada się przewoży pod autostadami w Sydney. Czyni się to właśnie przy pomocy dzisiejszej elektronicznej wersji „kreta”, bez groźnego miastu młotkami i bez hamowania ruchu, czysto i szybko, tanio. Można powiedzieć, że Australijczycy mają „kreta”, ponieważ nie mają kryzysu; ja, pozostając w zgodzie z faktami powiem, że oni nie mają kryzysu, ponieważ mają „kreta” i nie zwykli byli uważać wynalazków za — jak to określa rozmówca D. Dorczyńskiego — „niepotrzebny nikomu zaleńców”.

Już nie wspominamy o polskiej metodzie otrzymywania gliny z gliny — bo metody tej nie wykorzystaliśmy, chociaż glinę mamy, a garneków aluminiowych nie mamy mimo importowaną boksytów. Nie wspominamy też o naszych wynalazkach elektronikach — hodujących trzode chlewną; bo to zakrawa na ponurą anegdotę, choć jest prawdą. Nie wspominamy, że zamiast węgla w czarnych bryłach, moglibyśmy węgiel eksportować pod postacią kolorowych pastylek — biorąc tysiącokrotnie wyższe ceny (i zostawiając trochę węgla dla wnuków; oni chyba też powinni z czegoś żyć).

Byśmy mogli — gdybyśmy w porę poszli po rozum własny do głów własnych. Skoro nie poszliśmy, to chyba czas już nastal, aby wrzescie pójść. Teraz.

Mimo usilnych prób betonowania, czopowania i tłumienia — źródło rozumu własnego ani nie wyschło, ani nie wyschnie. Nie uschła też nadzieja, że wrzescie doczeka się rozum należny mu cenny — w złotychkach! Gdy się doczeka, to i zaczyna biec źródła dewiz nad Wisłą — jak biją wielu narodom, pozbawionym surowców lecz nie wycytym z rozsądku i umiejętności liczenia: co się najbardziej opłaca na jutro, czyli właśnie na dziś.

2. DEWIZY W PROSKACH = ZAŁOGA „W PROSZKU”

Pyta Lucjan Bogusz, dlaczego nie współczuję ministrowi, dla czego nie boli mnie głowa o to, skąd minister ma brać miliony na zakup kawy? Toż ja właśnie podalem, jak te pieniądze zdobyć: wiedząc, że kawa rozpuszczalna kosztuje kilkakrotnie drożej od surowca, należy importować kawę niepaloną, przerabiać na tasmach dawniej produkujących „marago” i eksportować — z sowitym zyskiem. Skoro polemista szermuje Ronaldem Reaganem, to nie musimy eksportować do USA. Wystarczy, że wyeksportujemy do Bułgarii za kalkulatory, do Węgier za au-

4 ODGŁOSY

Z małej kawy wielki problem

tobusy, do ZSRR za bawełnę, wreszcie do Nowej Zelandii za masło czy do Australii za skóry i wełnę. Wszystkie te kraje kawę importują. Zamiast importować „neskę” ze Szwajcarii (w której kawa także nie rośnie!) — zaimportuj z Polski, jeżeli zaoferujemy lepszą jakość za podobną cenę; a zaimportuj nawet gorzej jakością za podobną cenę, jeżeli zgodzimy się brać towar za towar. Lecz jest to pomysł tak trywialny że, jak się wydaje, zupełnie „nierealny” i „absurdalny”.

Albo inaczej: zamiast importować gotowy sznurzek szalowy z Brazylii po zniżkach w Polsce (casus AD 1983), czy nie lepiej produkować tenże sznurzek z konopi i lnu (mamy już 3-letnie zapasy surowca) lub polipropylenu (mamy własną technologię i góry surowca!) — i tym sposobem zaspokoić w porę nie tylko potrzeby rolników, ale i wyeksportować nadwyżki? Wcześniej zadbać należy, aby ludziami opłaćo się stać przy maszynach sznurkarskich, aby TVP nie musieli pokazywać maszyn idących na półpary. Lecz takie rozwiązanie jest znów zbyt proste, a sugestia „prerażająca naiwna” i krótkowzroczna — bo cóż by to było, gdybyśmy się wrzescie uporali z „tematem sznurka”? Tragedia by to była — jak smętnie „Nessie” swanej także potworem z jeziora Loch Ness.

Poza tym, jak tu współczuć ministrowi, skoro on importuje w 1983 roku proszki do prania za 20 miliardów dolarów — powodując tym samym zaburzenia rynkowe i groźny przestój w wydajkiej „Polenite”? Załoga tej fabryki grubo wcześniej mówiła, że potrafi wyprodukować proszku na opranie całego kraju. Załoga nie tylko mówiła, lecz i dotrzymała słowa — co dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem, jako iż załogi zwykle dotrzymują danego przez siebie słowa. No i mamy nadprodukcję. Teraz członkowie załogi rozglądają się za inną pracą, żywiąc uzasadniony żal w sercach. A za rok będziemy mieć znów krych w „temacie proszku”. Powie polemista, tem demagog; a ja mam realista tylko — płaski, bo trzymający się wyłącznie faktów, takich jakie one są, a nie takich jakie one „być powinny”.

Import proszku to też tylko drobny przykład, ilustrujący bezholowie planistyczna i importowe; oraz przykład wykazujący, jak „bezcenne dewizy” wykorzystywać można tak do wyciągnięcia nie mniej cennych złotych z obywatelskich kieszeni, jak i do wyjątkowo skutecznego podrywania autorytetu władzy.

3. LEPIJ NĘDZĘ DZIELIĆ, NIŻ ZARABIAĆ MILIONY!

Zdaniem Lucjana Bogusza kawa mi tak bardzo padła na mózg i tak bardzo „przesłania horyzonty myślowe”, że docho- dzie do „absurdalnych wniosków”. Jeden z tych wniosków to stwierdzenie, że profesor w Polsce powinien mieć milionową pensję.

Po pierwsze, to nie ja powiedziałem, że profesor w Polsce powinien zarabiać po milione złotych miesięcznie (choć znam paru naukowców, którzy chętnie chętnie zapłacono by miliony, ale dolarów). Ta wartość „wyszia” po prostu z bałaganu, jaki panuje u nas w dziedzinie parytetu złotych oraz dowolności cen i pensji. Wszak to nie ja ustaliłem cenę kawy na 3200 zł/kg, co daje 1600 zł za dolara z jednej strony, a z drugiej strony realną cenę kawy dla realnego obywatela na realnym rynku — równą ok. 5500 zł/kg. Nie ja stworzyłem „humor i satyrę” pod taką postacią, że pensja profesora stanowi równowartość 6 kg kawy. Nie tylko my przeliczamy, jak chce polemista. Ludzie „w świecie” także przeliczają — i to oni pierwsi wycyżliły, właśnie z kawy, ile warta jest praca w Polsce. — Na ten śmiech, co się przetacza po świecie, „my” oczywiście reagować nie musimy; możemy udawać, że go nie słyszymy...

Także nie ja ustalałem taryfikator, zgodnie z którym: „specjalista od ekonomiki rolnej z profesorskim tytułem w Polskiej Akademii Nauk zarabia trochę więcej, niż sprzątacza na pół etatu w spółdzielni produkcyjnej” („Przeгляд Tygodniowy” nr 27/83). W tym kontekście przyjmujemy bez uwag uchwałę Rady Państwa z 7 kwietnia 1983 r., zgodnie z którą, jak podaje „Prawo i Życie” (nr 31/83): „wynagrodzenie dyrektora departamentu w Prokuraturze Generalnej wynosi (włącznie z dodatkami funkcyjnymi) od 13,6 do 19 tys. zł, a naczelnika wydziału od 9,700 do 16,500 zł. Naczelnik wydziału w prokuraturze wojewódzkiej zarabia od 8,900 zł do 13,5 tys. zł, a referendarz prokuratury rejonowej od 8,400 do 12 tys. zł.” Rzecz dotyczy prokuratury — powołanej do zwalczania m.in. milionowych malwersacji i spekulacji; ile w tym samym czasie wynosi średnia pensja w przemyśle — każdy dowie się z komunikatów GUS, interpretowanych na łamach „Polityki”. Dura lex sed lex!

Pyta też Lucjan Bogusz, ile zarabiać powinni inni („Przepraszam, a inni?”). Odpowiadam: nie wiem, ile powinni zarabiać w Polsce tak profesorowie jak i „inni”. Moim zdaniem każdy powinien zarabiać nie tylko proporcjonalnie do zarobków w krajach ościennych — skoro bez międzynarodowej kooperacji niemożliwe jest istnienie pod koniec XX wieku, ale i proporcjonalnie do unikalności, jakości i ilości swojej — społecznie użytecznej — pracy. Na pewno nie powinno być tak jak teraz, że stypendium studenta przewyższa pensję magistrów; i tak, że inżynier dorówna zarobkami rówieśnikowi-robotnikowi dopiero po czterdziestu latach pracy inżynierskiej (przypominam: PRL istnie- nie 38 lat.). Wiem również, że moja profesorska pensja, po pięciu latach studiów i ćwierci wieku pracy zawodowej zwień- czonej umieszczeniem mego zdjęcia we wszystkich śmiesz- czych wydawnictwach typu „Who's Who in the World”, starca wyłącznie na „opędzenie” najbardziej podstawowych biologicz- nych i szkolnych potrzeb moich dwóch córek (przyszłość narodu). Przetę z nieklamana przyjemnością czytam wynurzenia ministra: „A skąd u diabła każdy profesor w Polsce ma samo- chód, a co któryś wybudował sobie wille? Moi zagraniczni znajomi dziwią się: jak to się dzieje, że w dolarach prawie nie nie zarabia, a standard macie jak geniusze!” („Veto” nr 27 83). Samochodu nie mam; wille także. Reszta zaś zgadza się co do joty, zwłaszcza gdy przypominamy sobie standard życiowy konkretnych geniuszy polskich. Toż nie bez kozery istniejący do dziś polonijny przytułek w Paryżu szczył się goszczeniem Nor- wida!

Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego: ponieważ nie osiągnęliśmy jeszcze takiego stopnia sublimacji społecznej, iżby zdezaktu- alizować się miało powiedzenie „być określa świadomość” to nie dziwi, że co bardziej rozzagnięta, utalentowana i najzdolniej-

ssa młodzież nie garnie się do studiowania ostatnia, jakoś. Na razie to nie martwi. Na razie mamy nadprodukcję inżynierów i magistrów, a deficyt rąk do łopaty, i to ostrzy. Tak przynaj- mniej piszą publicyści, a wtórują im polemisci. No to poczekaj- my jeszcze trochę, a będziemy mieć kolejny kryzys — tym razem kryzys braku głów do myślenia. Można nawet precyzyjnie obliczyć datę krachu: będzie to wiosna 1997 roku. Póki co, pro- szę przyjąć tę datę na wiarę, z dobrą wiarą.

Zaś póki co, to miliony płacimy — za kopanie w piłkę (óds- ki „Express Ilustrowany” dnia 1.8.1983 donosi, że Łódzki „Wi- dzew” za transfer piłkarza Dariusza D. płaci 21 milionów).

4. JAK WYCHODZIĆ JAK ZABŁOCKI NA MYDLE!

Zarzuca mi polemista, że: „problem kawy widzę tylko w ska- li rynku wewnętrznego, jako sposób na ściąganie pieniędzy z rynku”. — Jeśli nie są to kpiny lecz o drogie pytanie to przypo- minam: Toż to właśnie ja pytałem, jak można było pisać w „Głosie Robotniczym”, że to dzięki podwyżce cen kawy (o 22% procent) ściągamy pieniądze z rynku i przeznaczamy je na ważne cele społeczne — skoro jednocześnie kawa znika z sklepów uspołecznionych? Skoro kawy nie ma, to z rynku nie- czego się nie ściąganie.

Minister Z. Krasinski uzasadniał, że cenę kawy trzeba było podwyższyć m.in. dlatego, że na handlu nią prywatnie osoby „zbijali fortunę”. A dzisiaj to nie zbijają (i to w tempie przyspieszonym)? Poza tym chciałbym wrzescie usłyszeć wyjaś- nienie, dlaczego uspołecznionemu handlowi nie opłaca się to, co opłaca się handlowi prywatnemu? Chciałbym też wiedzieć, dlaczego firmie polonijno-zagranicznej nie wydano licencji na sprzedaż kawy po ok. 2800 zł/kg w I kwartale 1983 r., by w II kwartale tego samego roku podnieść cenę do 3200 zł/kg i usta- nowić cło 1500 zł/kg? Jaki jest sens nakładania cła wwozowe- go na coś, co w Polsce nie rosło i rosnąć nie będzie? Wytłuma- czenie mi sensu tego, co ja odbieram jako bezsens.

Gdy się pisze o kryzysie i rynku dowodząc, że Polska nie stać na wydanie 1,68 dolara rocznie na głowę Polaka, aby zaimporto- wować kawę, to należałoby uwzględnić w rachunkach chociażby najnowsze konsekwencje tej oszczędności. Pomijamy mniej us- chwytny związek — jak np. wzrost wypadków przy pracy i na- szosach spowodowany uspienieniem uwagi lub „marnym samo- pocięciem” milionów ludzi z podciśnieniem krwi. Ale dla polemisty powinno być jasne, że deficyt kawy spowoduje wzrost po- ppytu na herbatę, także importowaną. Za dowód prawdy niechaj posłużą wypowiedzi dyrektora Zakładu Handlu Artykułami Spoży- wczymi PSS „Społem” w Katowicach. W wywiadzie opubliko- wanym na łamach „Trybuny Ludu” (nr 127/83) informuje on, że sprzedaż kawy w Katowicach wynosiła ok. 400 ton miesięcz- nie, a herbaty ok. 280 ton. „Teraz dostawy kawy sięgają w naj- lepszym razie ok. 30 ton, co wystarcza w zasadzie tylko na za- spokojenie potrzeb zakładów gastronomicznych. Parzona moc- niej herbata staje się więc substytutem kawy. Można by jej sprzedawać po ok. 500 ton miesięcznie.”

Lecz nie sprzedaje się. Jednocześnie bowiem z drastycznymi ograniczeniami importu kawy, zmniejszono również import her- baty (na rok 1983 potrzeba byłoby ok. 28 tys. ton — i to bez uwzględnienia popytu zastępczego ze strony byłych kawiarzy, a zakontraktowano tylko 20 tys. ton). Co razem wzięte rujnowa- ło rynek „użytkowy”.

Przykład Katowic przytoczyłem tu nie bez kozery. Jest to centrum przemysłu ciężkiego — kawę piją tam hutnicy i me- chanicy precyzyjni. Zaś termos z kawą stanowił tradycyjny ek- wipunek górnika na sygnale, co wiemy nie tylko z telewizyjnego serialu o XIX-wiecznym rodzie Cameronów! Przypomnieć też warto wywiad, przeprowadzone przez Łódzki TV tuż po decy- zji podniesienia cen na kawę. Występujące tam robotnicie stwierdzały, że bez pokrzepienia się kawą w polowie dniówki, nie sposób dotrwać do końca dnia przy pracy przy krosnie.

Nie jest więc kawa napojem wyłącznie gryzieliorków! Skoro Polemista twierdzi, że nie stać nas na import kawy, to niechaj powie, co zrobić z pieniędzmi, wydawanymi dotąd na kawę? Pieniądże te trzeba wydać na coś innego, skoro PKO ich nie chce oferując 6 procent odsetków, podczas gdy oficjalna inflacja wynosi 24,5 procent (minister Z. Krasinski, „TR” nr 177 83). Tak więc pieniądze tu muszą być wydane na coś innego, np. na buty, ubrania, meble, lodówki czy dywany: w których znajduje się także „wsad dewizowy”. W takich np. butach mamy zarówno importowaną skórę, jak i importowane chemikalia do wyprawiania i uszlachetniania, jak i importowane kleje, nie- licząc importowanej ropy.

Nie stać więc „nas” na wydanie dolara na kawę; za to stać nas na wydanie dziesiątków dolarów i rubli na import innych rzeczy — na import zastępczy, bo wymuszony „oszczędnościami” kawowymi. Oto i jest sposobem myślenia i działania — typowy, niewstydy nie tylko dla Lucjana Bogusza lecz i dla niektórych (jeszcze) — decydentów. I jest to także jego i ich recepta na kryzys — tj. przepis, jak kryzys uczynić wiecznotrwałym.

5. LICZĄ — DURNIE TYLKO!

„Nieszczęście Polaków polega na tym, że wszystko przeliczają na dolary, nie biorąc pod uwagę żadnych innych relacji” — pi- sze Lucjan Bogusz.

Po pierwsze — na dolary przelicza również Francuz, Szwed, Hindus i każdy, kto chce wiedzieć, ile właściwie coś jest warte. Nie na to nie poradzimy, że to dolar a nie złotówka stał się walutą odniesienia i porównania. I chociaż smutno nam, to mu- simy, niestety, wartość zielonego „szopena” odnosić do wartości zielono-czarnego „washingtona”.

Skoro już jednak Lucjan Bogusz żąda innych relacji, to pro- szę bardzo: np. bułgarskie lewy. Bułgaria odkryła otóż, że ka- wa rośnie nie tylko w dolarowej Brazylii, ale również w Afry- ce i Azji. W rezultacie tego odkrycia w Bułgarii kawa importo- wana z Wietnamu (!) — palona i mielona, oferowana jest po jednym lewie i 30 stolinek. Ponieważ lewa po kursie turystycz- nym kosztuje ok. 62 zł, a po kursie NBP warta jest ok. 49 zł, to łatwo wycyżlić, ile w Bułgarii kosztuje wietnamska kawa w ekwiwalencie złotówkowym. Oczywiście, kawy „zachodnie” czy- li przerabiane w Szwajcarii, Holandii, Anglii czy RFN są w Bułgarii droższe, ale żaden nie sięga pułapu 3200 zł za kilogram.

Kawa jako napój pierwszej potrzeby jest wszędzie dostępna i tania. To tylko u nas kawa — napój przyczajony! — awansu- je do miana luksusowego równego oliwce Lukulliusa. Oliwek zresz- ta także nie mamy: „nie stać nas”!

6. ABSURD CZY ISTOTA SPRAWY!

Lucjan Bogusz za „absurdalne” uważa moje twierdzenie, że Polak może oszczędzać jak Szkot i pracować jak Japończyk; śmieje się też do rozpuku z możliwości dania mieszkania „dzi- śniaj”, do splacenia w ciągu 25 lat pracy. I podaje, że na ponad milionową Łódź w 1983 roku wybuduje się 5300 mieszkań. Do- wodzi tym samym mego „całkowitego braku orientacji w pro- blemach naszej gospodarki będącej w kryzysie”.

Każdy ma prawo śmiać się ze wszystkiego, co uważa za śmie- szące; ma także prawo śmiać się do wszystkiego, co go cieszy; i ma prawo uważać za absurdalne twierdzenie Kopernika, że Ziemia wokół Słońca krąży, gdy „każdy widzi” odwrotnie. Śmiać się więc można i z obrazu Polaka oszczędnego, pracowitego i rozumnego. Co nie zmienia faktu, że miliony Polaków pracują

lepiej od Japończyków — bo myślą przy pracy; i oszczędzają efektywniej — bo rozsądniej, od przysłówiowych Szkotów. Pod warunkiem: że im w pracy nikt nie przeszkadza i owoców nie marnuje; i że widzą sens oszczędzania tak dla siebie jak i dla społeczeństwa, t.j. gdy widzą, że to, co oni oszczędzą nie zostanie zmarnowane przez „innego” a mocnego, lub zjedzone przez inflację.

Ze nie są to puste słowa wie każdy, kto widział Polaków np. przy odbudowie Warszawy, i kto widzi Polaka pracującego za granicą: gdzie mu właśnie kawę oferują, aby pracował jeszcze lepiej, i gdzie mu właśnie podsuwają różności dzisiaj — do spłacenia jutro.

Jeżeli my obecnie wyśmiewać będziemy idee, że jest możliwe dać pracownikom mieszkania „dzisiaj” do spłacenia jutro, to mamy przed sobą wręcz nieskończone daleką perspektywę siedzenia w kryzysie. O tym, że idea ta nie jest mrzonką świadczy przykład wielu społeczeństw, które funkcjonują właśnie na zasadzie spłacania latami przez lata pracy dóbr, pobranych dzisiaj. Jakoś tak się dziwnie składa, że to właśnie od tych społeczeństw kupujemy technologie i wynalazki — które niedługo wymyślono w Polsce. Ale jakoś nikomu nie powstało w głowie, by wynalazcy zapłacić milion złotych za jego pracę, a na jego pracy zarobić miliony dolarów i rubli.

Lucjan Bogusz przekonuje, że nie stać nas na kawę ponieważ znajdujemy się w kryzysie i musimy oszczędzać. Ja śmiem twierdzić, że znajdujemy się permanentnie w kryzysie, ponieważ stać nas było (i jest!) na robienie oszczędności takich właśnie, jak teraz na kawie.

J. STANISŁAW KNYPL

Czy chodzi tylko o kawę?

Moja polemika z poglądami J. Stanisława Knypla nie tylko w sprawie kawy doczekała się odpowiedzi. Sądzę, że ta odpowiedź też wymaga polemiki. Postaram się ująć to w kilku punktach.

1. Redakcja nie zmieniła tytułu artykułu J. Stanisława Knypla, bo i o krecie, wynalazcach, proszku do prania, importach, dolarach i placach profesorów. Więc jednak miałem rację, że spór dotyczy bardziej metody niż kawy, choć z poglądem moim nie zgadza się J. Stanisław Knypl. Ma do tego prawo.

2. Rozmiary polemiki J. Stanisława Knypla dowodzą, że nie tylko o kawę tu chodzi. Potwierdza to również uważna lektura tej polemiki. Bo i o krecie, wynalazcach, proszku do prania, importach, dolarach i placach profesorów. Więc jednak miałem rację, że spór dotyczy bardziej metody niż kawy, choć z poglądem moim nie zgadza się J. Stanisław Knypl. Ma do tego prawo.

3. O co spór się toczy? J. Stanisław Knypl uważa, że można i trzeba więcej kawy importować, a nawet ją przerabiać w kraju i wzorem innych państw eksportować. Ja natomiast skromnie zauważam, że aby kawę importować trzeba mieć na to wolne dewizy. Tych dewiz nie posiadamy. A z pustego i Salomon nie należy. Nie mam zamiaru przeczyć, że gdybyśmy mogli importować ziarno kawowe, przerabiać je w kraju i eksportować, moglibyśmy na tym zarobić sporo dolarów. Ale — po pierwsze — trzeba mieć pieniądze na kupno tego ziarna, a — po drugie — mieć zapewnione rynki zbytu. A nie mamy ani jednego, ani drugiego.

4. Zgodziłem się z J. Stanisławem Knyplem, że mamy irracjonalny system plac. Ten system plac moim zdaniem budowlaliśmy latami, teraz trzeba czasu i dobrego namysłu, aby zbudować go na racjonalnych zasadach. Czynnione do tej pory próby i przymiarki nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Niektóre przedsiębiorstwa, jak na przykład LZPB im. Obrońców Pokoju czy ZPB im. J. Marchlewskiego czynią je na własną rękę. Też niezbędny jest czas, aby stwierdzić, jak próby te sprawdzają się w praktyce.

5. Nadal uważam, że mechaniczne przeliczanie wszystkiego na dolary do niczego nie prowadzi. W każdym kraju występują relacje między cenami różnych artykułów, usług i zarobkami. O takie relacje pytałem. A tych na ogół przy mechanicznym przeliczeniu wszystkiego na dolary po dowolnym kursie nie bierze się pod uwagę i dzięki temu dochodzi się do zadziwiających i mylących wniosków.

6. Sama zasada „mieszkanie dziś a spłata na 25 lat” nawet mi się podoba. Ale, aby ją móc wprowadzić w życie — potrzeba drobności — takiej ilości gotowych mieszkań, aby każdy, kto zechce wziąć mieszkanie „na spłaty” mógł je dostać. Niestety, obecnie jest to niemożliwe. Po prostu nie ma mieszkań. Trzeba je najpierw wybudować. Tak więc póki co musimy pozostać przy zasadzie dziś wpłata, mieszkanie za 10 lat. Nikomu to się nie podoba, ale takie są realia. Po co więc balamucić ludziom w głowach nieracjonalnymi obietnicami? Myślę, że najpierw trzeba zrobić wszystko, aby okres oczekiwania na mieszkanie skrócić z 10 do 2-3 lat. To już będzie wiele!

7. Sprawę wykorzystywania wynalazków — skandaliczna wręcz — udziału nauki w rozwoju gospodarki, jak też sprawę grożącego nam „kryzysu braku głów do myślenia”, potraktowałbym jako nadająca się do osobnej dyskusji. Jest to zagadnienie zbyt poważne, aby można je było skwitować kilkoma złośliwościami.

8. J. Stanisławowi Knyplowi gospodarka nasza widzi się pełną niewykorzystanych możliwości. Jest to bez wątpienia prawda. Różniny się wprowadzić co do sposobów uruchomienia tych możliwości. J. Stanisław Knypl leży na cudo. Ja natomiast na uruchomienie mechanizmów ekonomicznych. I zdaje sobie sprawę, że nie może się to odbyć ani bez walki z wszystkim, co tę gospodarkę hamuje, a więc i ze starymi nawykami, nieracjonalnym myśleniem, ani tym bardziej nie stanie się to nagle, z dnia na dzień. Reforma gospodarcza bardzo powoli i ciągle jeszcze niedostatecznie daje o sobie znać. Z tego to powodu nie wszystkie decyzje, nawet te bardzo niepopularne, uważam za absurdalne. A sądzę, że przyjdzie nam jeszcze przeżyć kilka niepopularnych decyzji. Niestety. Uzdrawianie gospodarki nie może się odbywać na zasadzie endu.

9. W ocenie przeszłości też byłbym bardziej ostrożny. Nie wszystko, co do tej pory robiliśmy było złe, co nie znaczy, że nie powinniśmy widzieć naszych błędów i umieć je przezwyciężać.

10. Sądzę, że na tym spór nie tylko o kawę możemy zamknąć.

LUCJAN BOGUSZ

Nie tak znowu dawno, bo za ledwie kilkanaście miesięcy temu, wszystkie wskazywało na to, że — jeśli sytuacja społeczna i gospodarcza rozwijać się będzie w niezmiennym kierunku — bez kartek i w dowolnych ilościach będziemy mogli korzystać jedynie z uroków przyrody. Na odcinki kart zaopatrzenia nabywalimy większość podstawowych artykułów spożywczych, najbardziej niezbędne środki czystości, buty, a nawet, co już było całkowicie bezsensowne, alkohol. To była

TERESA JERZYKOWSKA

Kartkowe bagno

reglamentacja centralna, obowiązująca w całym kraju. Niezależnie od niej w poszczególnych województwach obowiązywały rozmaite kartki i bony lokalne: a to skarpetki mogli kupować — po okazaniu dowodu osobistego — tylko mieszkańcy danej gminy, to znowu pracownicy jakiegoś zakładu dostawali talony na rajstopy, albo wszyscy zatrudnieni w jakiejś miejscowości korzystali z przywileju nabywania pięciu jajek. Sytuacja i tragiczna, i śmieszna zarazem.

Powoli jednak z „tycia na kartki” zaczęliśmy się wydobywać. Po zniesieniu reglamentacji mydła i proszków przez kilka dni w sklepach ustawiały się długie kolejki — mimo to zapasy okazały się wystarczające. Z przywróceniem normalnej — tzn. wolnej — sprzedaży papierosów, alkoholu, cukierków, masła poszło już łatwiej. Te produkty kupujemy bez trudu, w potrzebnych każdemu ilościach i jakoś dla wszystkich starcza. Dość powszechna jest opinia o bliskim zawieszeniu lub zlikwidowaniu sprzedaży reglamentowanej produktów zbożowych, pozostaną więc — w grupie artykułów spożywczych — tylko kartki na mięso (można przypuszczać, że tymi posługiwali się będziemy jeszcze długie lata) i na cukier, którego co prawda mamy sporo, ale ponów zniesienie reglamentacji przyczyniłoby się do znacznego zwiększenia চালупniczej produkcji alkoholu.

Wydawałoby się, że nic, tylko się cieszyć z faktu, że zmora reglamentowanej sprzedaży zmniejszyła się tak wyraźnie. Tymczasem wzrastają naciski na ponowne rozszerzenie tej formy. Tym razem chodzi już nie o podstawowe artykuły spożywcze, lecz o towary przemysłowe, zwłaszcza artykuły tzw. trwałego użytku. Rzeczywiście, braki na rynku są w tej dziedzinie bardzo duże, choć nie aż tak duże, jak można by sądzić na podstawie długości kolejek przed sklepami z meblami, sprzętem gospodarstwa domowego, firankami itp. W stosobowej kolejce np. po koldry z pewnością nie ma ani jednego człowieka, który dotychczas przykrywał się starą jesienką, podobnie w przypadku innych artykułów — nabywają je, lub, nie szczedząc czasu i wysiłku usiłują nabyć, ludzie którym artykuł ten nie jest potrzebny, a już z pewnością nie muszą go mieć na tychmiast. Część z nich to spekulanci, pozostali — pozbawieni rozsądku właściciele pieniędzy, z którymi nie wiadomo co zrobić. Wołanie o objęcie reglamentacji kolejnych artykułów przemysłowych rozlega się więc pod hasłami sprawiedliwego podziału tych dóbr, stworzenia możliwości nabywania ich przez ludzi rzeczywiście potrzebujących oraz walki ze spekulacją. Resort handlu — a także władze administracyjne wielu (na szczęście nie wszystkich) województw dają się, niestety, na te wołania nabrać, stosując co prawda już nie reglamentację, ale różne formy tzw. sprzedaży sterowanej.

ŚLEPY LOS CZY KOMPUTER!

Na kolejnym konwencie wojewodów, który odbył się początkiem lata w Warszawie próbowano ujednocnić stanowisko w sprawie reglamentacji, bądź sprzedaży sterowanej artykułów przemysłowych, co nie w pełni się udało. W każdym razie, reglamentacja sensu stricto nie istnieje obecnie nigdzie. Również — jak zapewniają przedstawiciele MHWIU — nie przewiduje się w tym roku objęcia centralnie tą for-

ma sprzedaży żadnych towarów przemysłowych. Sprzedaż sterowana natomiast zależy od decyzji władz wojewódzkich: czy będzie ona wprowadzona, w jakiej formie i jakie przedmioty obejmie. Próby opracowania centralnego systemu sterowania jak dotąd nie przyniosły większych efektów. Rozpatrywano kilka możliwości. Propozycja systemu punktowego, w uproszczeniu polegająca na tym, że każdemu z ustalonej listy artykułów odpowiada wartość punktowa. Klient

dysponujący talonem na określoną liczbę punktów, może dokonywać wyboru np. kupić jedną maszynę do szycia, lub — za tę samą ilość punktów — cztery sokowirówki lub dwa dziesiąta par skarpet. Założenia tego systemu konsultowane były w dużych, zatrudniających przede wszystkim kobiety, zakładach pracy i wszędzie oceniono je negatywnie.

Podjęto również próby wprowadzenia systemu, funkcjonującego dotychczas — podobno ku zadowoleniu mieszkańców — w Szczecinie: przedpłaty na towary w sklepach, następnie losowanie „szczęśliwych nabywców”. W innych województwach nie uzyskał on akceptacji. Argumentowano, że taka forma sprzedaży sprzyja jedynie większej gotówką (możliwość dokonania wielu przedpłat, co zwiększa szansę w losowaniu) w tym i spekulantom, nie uwzględnia faktycznych potrzeb potencjalnych nabywców.

Jeszcze inną koncepcją realizuje się — z zamiarem jej udoskonalenia i rozszerzenia — we Wrocławiu, pod patronatem organizacji konsumenckiej. Za podstawę koncepcji przyjęto tu prowadzenie kontroli popytu w całym województwie, a na tej podstawie ustalanie rozdzielnic towarów. Klienci w dowolnym sklepie mogą zapisywać się na towar, podając swoje dane na kartach pocztowych, przesyłanych do centralnej komisji w mieście. Ta z kolei zajmuje się eliminacją podwójnych zamówień i kartę wraz z numerem miejsca w kolejce odsyła pod adresem zwrótnym zamawiającego.

Plany komisja ma szerokie — w przyszłości, aby wyeliminować wady systemu i pomyślnie planuje się do eliminacji podwójnych zamówień wykorzystanie systemu OMC.

Również we Wrocławiu upowszechnia się system sprzedaży przez zakłady pracy. W ten sposób dzieli się 50 proc. masy towarowej, trafiającej do handlu. Najpierw — z listy 9 towarów, objętych tą formą sprzedaży — zaopatrywano zakłady duże, po 2-3 miesiącach, przy kolejnych dostawach, także i niewielkie. Te ostatnie otrzymywały oczywiście odpowiednio mniej, proporcjonalnie do liczebności załogi. Kto z pracowników dostanie np. żelazko — to już kłopot zakładu. Kłopot zresztą poważny. Wprowadza się więc losowanie, ale nie wśród wszystkich. Każdy, ubiegający się o ten upragniony przedmiot musi napisać podanie, wraz ze zobowiązaniem, że jest jedyną osobą z gospodarstwa domowego, ubiegającą się o ten artykuł, dotychczas go nie posiada, będzie użytkował go wyłącznie osobiście, a ponadto zgadza się (jeśli zostanie wylosowany) na niespodziewaną kontrolę w domu,

czy wszystkie te warunki skrupulatnie wypełni. Realizacja „szczęśliwego losu” następuje w sklepie, na podstawie talonu opatrzonego pieczęcią zakładu, nazwiskiem, adresem i numerem dowodu osobistego klienta. Mimo to handel talonami istnieje. Szacuje się, że wynosi on około 15 proc.

Z propozycją objęcia sprzedaży sterowaną 11 artykułów — m.in. mebli, zamrażarek, maszyn do szycia, sprzętu stereo, dywanów — wystąpiła warszawska organizacja konsu-

mentów. Rozdzielanie talonów miało odbywać się przez zakłady pracy. Po konsultacjach w 50 zakładach i w dzielnicach propozycja zyskała poparcie. Na pierwszy ogień poszły dywany. W dużych zakładach rozdzielono — drogą losowania — 4 tys. talonów. Wkrótce sprzedano... 500 dywanów. Sklepy i magazyny pękają w szwach.

W warszawskim FSO z 12 osób, które wylosowały talony 10 miało dywany we wszystkich pomieszczeniach (co sprawdzono na podstawie decyzji prokuratora). Żadna z nich z talonu zrezygnować nie chciała, oświadczając, że zamienia je na co innego. Na wolnym rynku taki „papiererek” kosztuje kilkanaście tysięcy zł.

Brak na razie decyzji, co będzie z dalszym rozwojem tak dobrze rozpoczętego systemu sprzedaży sterowanej w Warszawie.

O takich paradoksach mówi się dość powszechnie. Większość zainteresowanych — nie tylko wśród decydentów czy w handlu — ale i wśród potencjalnych nabywców widzi i podkreśla wady kolejnych, różnych systemów, a mimo to naciska na sprzedaż sterowaną. Jaka miałaby być jej idealna forma — na dobrą sprawę nie wie nikt. Większość jednak wydaje się być zgodna w jednym punkcie: wszystko lepsze, niż normalny, wolny rynek.

NIE WSZYSTKO MUSI BYĆ TANIE

Czy rzeczywiście przy obecnym stanie zaopatrzenia w artykuły przemysłowe sprzedaż sterowana jest najlepszym wyjściem? Przede wszystkim wydaje się, że z bagna reglamentacji towarów przemysłowych, w którą niestety brniemy, będzie znacznie trudniej wydobyć się, niż z kartek na podstawowe artykuły spożywcze, a ponadto — że przyniesie ona szkody nie tylko w dziedzinie gospodarczej (sterowanie sprzedażą oznacza w praktyce torpedowanie reformy gospodarczej, znaczne opóźnienie właściwego funkcjonowania jej mechanizmów), ale także w sferze społecznej. Zarówno bandelowcy, jak i klienci coraz bardziej odzwyczajają się od normalnego funkcjonowania rynku. Jedni — spychani są do roli pośredników w związku wytwórcą a odbiorcą, urzędników, rejestrujących rozmaite kartki i talony, niepotrzebnego ognia na drodze zakładu — klient, bez żadnego wpływu na to, kto i w jakich warunkach dokona zakupów. Drugi — przywykają do myśli, że kupić nic nie można, a państwo jest zobowiązane

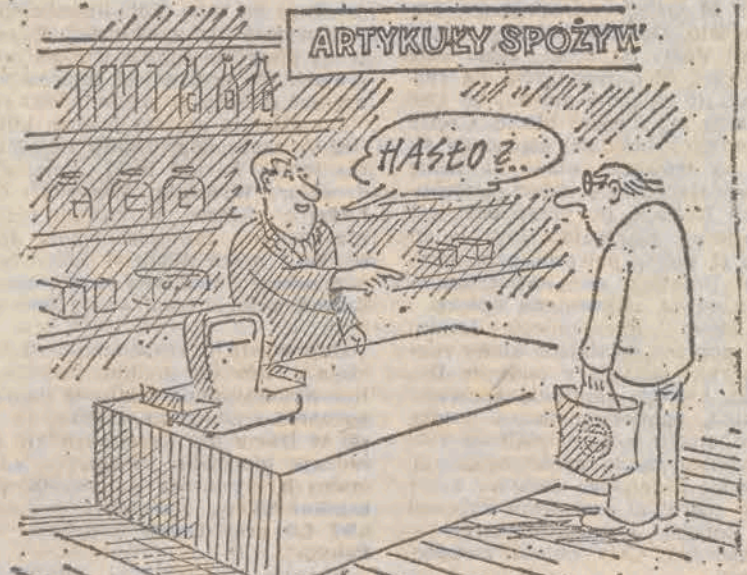
zapewnić każdemu „dać”, to co chciałby mieć, niejako wyręcza ludzi w zakupach. Przy obecnym poziomie produkcji, bez względu na obowiązujący system dystrybucji, nie ma szansa na to, aby wszyscy ludzie dostali pożądaną przez nich dobrą. Powstaje więc problem — komu dać, prowokując do nieustającej dyskusji o sprawiedliwości społecznej. Dyskusja ta nie dotyczy pryncypiów, lecz spraw drobiazgowych: czy bardziej sprawiedliwe będzie, jeśli odkurzacze dostanie w zakładzie wzorowy robotnik z długim stażem, czy też młody mistrz — ojciec bliźniaków, przy założeniu, że obaj mają taki sam sprzęt w domu, ale już mocno wyeksploatowany? A może powinien otrzymać go zastępca dyrektora (też w końcu pracownik zakładu), który odkurzacza nie ma w ogóle? Każda decyzja, bez względu na to, jak liczna i w jakim składzie komisja ją podejmie będzie przez znaczną część załogi komentowana jako niesprawiedliwa, stronnicza. Nie rozwiąza tych problemów również losowanie, przeciwnie, przyczyni się do powstania różnego rodzaju antagonizmów między członkami załogi, zwłaszcza, jeśli posiadacz szczęśliwego losu nie potrzebuje wylosowanego przedmiotu i wobec tego odstąpi talon, oczywiście z zyskiem. Przypadki takie są bardzo częste.

Kolejny aspekt sprzedaży sterowanej poprzez zakłady pracy to wielkość dostaw. Jeszcze wiadomo, że np. na 1000 pracowników każdego roku trafia do zakładu 3 prakki oraz dwie zamrażarki a 4 lata — to państwo, akceptując taką formę sprzedaży, niejako zobowiązuje się do „dania” tracąc wiarygodność. Po cóż więc stwarzać iluzję, że różne, ciągle zmieniane, lecz ciągle nie normalne formy dystrybucji wpłyną na poprawę zaopatrzenia? Nie wpłyną. Jedynie zwiększenie produkcji stworzy taką możliwość, co powinno się konsekwentnie, nawet dość bolesnymi metodami, uświadomić wszystkim, zarówno producentom, jak i odbiorcom.

Następne pytanie, na które warto byłoby odpowiedzieć przed wciągnięciem na listę artykułów sterowanych kolejnego przedmiotu, to: czy faktycznie jest to towar niezbędny? Pytanie takie, w odniesieniu do podstawowych artykułów spożywczych nie budziło wątpliwości. Jest sprawą oczywistą, że każdy musi mieć mąkę, cukier i jakiś tłuszcz. W odniesieniu do prakki automatacyjnej, dywanu, sprzętu stereo oczywiście taka już nie istnieje. Wydaje się więc, że nie istnieje również konieczność ich reglamentacji i „sprawiedliwego” podziału.

Niech sprzyty, potrzebne, lecz nie niezbędne do życia, kupują ludzie w normalny sposób, w normalnych sklepach, nawet jeżeli wiąże się to z wielodniowymi wędrownkami po mieście. Instrumentem za mało dotychczas wykorzystywanym w dziedzinie przywracania ładu na rynku są ceny równowagi rynkowej. Na towary, niekoniecznie luksusowe, ale przecież takie, bez których można żyć normalnie, można by ustalić obowiązkowo. Aby zapobiec nieuzasadnionym zyskom z zakładów, produkujących te dobra, można przeciw kwocie, wynikającej z różnicy między ceną, ustaloną przez zakład, a tą, która gwarantuje równowagę między podażą i popytem odprowadzać do budżetu państwa. Jako przykład ustalenia takich cen można podać m.in. kolorowe telewizory. Od kiedy znacznie zdrożały, okazało się, że dla wielu ludzi, gotowych jeszcze parę miesięcy temu stać przez parę dni w kolejce, czy też ubiegać się o talon, nie są przedmiotem niezbędnym. Przykładów takich jest zbyt mało. A szkoda, bo tego rodzaju działania nie tylko przyczyniłyby się do ograniczenia różnic w obrotu reglamentacji, ale także do znacznego zmniejszenia zjawiska spekulacji.

Oczywiście działania takie mogą być podejmowane tylko w odniesieniu do towarów, które rzeczywiście nie są niezbędne. Trudno wyobrazić sobie sytuację, że ktoś zrezygnuje z bielizny osobistej czy zimowego płaszcza, ponieważ cena przekroczy jego możliwości nabywcze. Z pewnością jednak można zastosować je do praktycznych, zamrażarek, sprzętu RTV, dywanów i wszystkich innych towarów, znajdujących się na listach objętych sprzedażą sterowaną.



Rys. Z. Jujka

Transport dla zdrowia

EDWARD BRYL

Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego w Łodzi jeszcze spełnia swoje zadania — dostarcza leki, sprzęt do szpitali, wozy ludzi, zapewnia karetki Stacji Pogotowia Ratunkowego, zaopatruje w żywność wszystkie placówki opieki zamkowej — ale trzeba powiedzieć prawdę, iż w najbliższych kilku latach stanie się niewygodna. Łodzi w tym czasie ma przybyć około 3,5 tys. nowych łóżek szpitalnych! Zatem musi proporcjonalnie zwiększyć się liczba samochodów z krzyżem, potrzebne są warsztaty naprawcze, garaże. Należy o tym pomyśleć, zanim ruszy Szpital-Pomnik, Matki Polki, Centrum AM — jest pięć przed dwunastą, pora najwyższa!

W ŁODZI

WKTS — nowoczesna placówka, z piętrowymi garażami została wybudowana na 250 samochodów, a już obecnie posiada ich dwa razy tyle. Część garaży na wolnym powietrzu — cały tabor dostawczy, nawet na ulicy. Tylko „fiaty” i „nysy” — karetki są pod dachem. Mimo zupełnie znośnego porządku jest tak ciasno, że w razie pożaru ewakuacja byłaby niemożliwa.

W PABIANICACH

Rejonowa Kolumna Transportu Sanitarnego w Pabianicach znajduje się w centrum miasta, w dwupiętrowym budynku typowo mieszkaniowym (140 m kw. powierzchni na każdym piętrze). Gdy wieczorem samochody zjeżdżają, male podwórko nie jest w stanie ich pomieścić. Stoją na zewnątrz nie zabezpieczone. Zimą odkopuje się je ze śniegu, ile trzeba dodatkowo paliwa na uruchomienie. Na polecenie „sarnepidu” zamknięto lakiernię, przez to wydłużony się znacznie cykl napraw. Część wozów po remoncie lakieruje obecnie Wojewódzka Kolumna, trochę „Polmozybit”. Mimo ogromnej ciasnoty, ład i porządek w pabianickiej kolumnie panuje wzorowy, a ludzie nawet w tak prymitywnych warunkach wykonują także naprawy główne. Budynek wymaga remontu kapitalnego, konstrukcja słaba, stropy i mury odmawiają posłuszeństwa. A sama wymiana węża ciepłego będzie kosztować 9-10 mln zł. Takie remonty w przypadku pabianickiej placówki, to pieniądze wyrzucone w błoto. Miejsca będzie nadal brakowało.

Na peryferiach Pabianic

znajdował się obiekt nadający się doskonale dla potrzeb kolumny. Można go było wykonać niewielkim kosztem. Ale chętnych do zagospodarowania zgłosiło się kilku, między innymi przedsiębiorstwo polonijne. KTS nie miała pieniędzy, brakowało jej siły przebicia. Na podjęcie ostatecznej decyzji Wojewódzkiej Komisji Planowania nie miały wpływu względy społeczne — przeważało tradycyjne „kto da więcej”. Kolumna obiektu nie otrzymała. Szkoda, że wysiłki WKTS nie zostały poparte przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej, który się w sprawie zupełnie nie włączył, mimo że leżała w interesie jego własnych transportowców.

W ZGIERZU

W Zgierzu Rejonowa Kolumna mieści się w samym środku szpitala. Trudno o bardziej uciążliwe usytuowanie! Brak zaplecza technicznego, garaży, nie mówiąc już o warunkach socjalnych dla pracowników. Wozów jest 85, obsługują jedną trzecią województwa łódzkiego. W dużej mierze jest załuga kierownika, Andrzeja Chwałkowskiego, że w każdym GOZ — i Większym Ośrodku Zdrowia jest codziennie samochód do dyspozycji personelu średniego.

Od zaraz potrzebna jest jeszcze jedna kolumna rejonowa dla dzielnicy Łódź-Widzew, z zasięgiem na gminy Brójce, Andrespol, Nowosolna Zmniejszłyby się radykalnie liczby pustych przebiegów, zużycie paliwa. Ciasnota przy ul. Warczyńskiej częściowo by się rozlaźwała. Lekarz wojewódzki powinien się zająć problemem póki czas, aby w przyszłości, zresztą niedalekiej, nie doszło z transportem do takiego krachu jak obecnie z pielęgniarstwem.

KILKA PRZYKŁADÓW

Jeżeli chodzi o liczbę samochodów, usługi przewozowe, sytuacja w służbie zdrowia ostatecznie uległa znacznej zmianie na lepsze, ale jednak występują jeszcze spore niedomaganie.

Mówi dr Jerzy Okładczyk — dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi:

— Wszystkie nasze próby WKTS zatłwia pozytywnie. Nawet, gdy zachodzi taka potrzeba, otrzymujemy karetki „ekstra”. Poprawiła się bardzo dyscyplina kierowców. Współpraca z Kolumną układa się dobrze.

Dr Jerzy Pastuski — dyrektor ZOZ w Zgierzu:

— Nie ma żadnych problemów z karetkami pogotowiarskimi i wizytowymi. Gorzej mamy z samochodami ciężkimi i zaopatrzeniem. Tabor ten jest w znacznej części zużyty, niepełnosprawny. Wóz wyjeżdża i nie dojeżdża. Zakłóca to normalną pracę szpitala, ośrodków zdrowia. Ze szpitala wojewódzkiego dowozi się posiłki do szpitala miejskiego, szpitala rehabilitacyjnego w Łudmierzu, domu dziennego pobytu itp.

Także źle jest z transportem pracowników, których znaczna część dojeżdża z Łodzi. Jeden kurs zaliczają PKS, jeden WKTS, a to za mało! Od września ruszy oddział ginekologiczno-polożniczy w szpitalu miejskim, będzie obsługiwał część największej dzielnicy Łodzi — Bałut. Kłopoty z komunikacją jeszcze się powiększą.

Włodzimierz Chulewicz — naczelny dyrektor Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego w Łodzi:

— Problemy z oponami, akumulatorami, częściami zamiennymi, jakie w ostatnich latach występowały, należą do przeszłości. Sprawy tych braków zaliczył definitywnie resort. Tabor w całości jest sprawny, żaden samochód nie stoi „na kołkach”, chociaż najbardziej „spracowane” są wozy ciężarowe, z których większość już się do remontu nie nadaje. Zgierz w kwietniu dostał „Zulka” i „Stara” oraz autobus na 31 osób. Na pewno nie jest to wystarczająca ilość, ale praktycznie tego taboru nie otrzymaliśmy przez ostatnie 8-10 lat. Na rok 1983 złożyliśmy zamówienie na 150 nowych samochodów, gdyż planujemy w tym czasie wycofać 100 zużytych. Zapotrzebowanie jak dotąd realizowane jest przez ministerstwo zgodnie z naszymi sugestiami. W pierwszym kwartale otrzymaliśmy już 79 szt., w tym dwa samochody marki „Avia” — dobre czeskie ropniaki, z dwukrotnie większą trwałością, bardzo ekonomiczne w użytkowaniu.

Andrzej Głowacki — zastępca dyrektora WKTS w Łodzi:

— Wręcz alarmująca sytuacja jest z „nysami”. Mamy nadal duże braki. Fabryka Samochodów w Nysie od ubiegłego roku zalega nam z ośmioma sztukami. Możemy obecnie dostać tylko wozy wysokotonażowe, ale tego taboru jest dość, natomiast potrzebujemy „żuków”, „nysek”. Brakuje woźów na karetki „R” i „K”. My póki mieliśmy z czego przystosowy-

wałśmy sposobem prawie chałupniczym normalne samochody dla potrzeb reanimacyjnych, ale to prowizorka. Strach wyśłać do człowieka ciężko chorego taki wóz.

KRÓTKI ZASIĘG „R”

Łodzi brakuje zespołów reanimacyjnych i kardiologicznych. W Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego są tylko dwa „K” i jeden „R”. Kursują prawie w obrębie miasta. Województwo je rzadko woźwa. Po co? Bywają skuteczne jedynie w Łodzi, w teren i tak w porę nie dojadą, nikomu życia nie zdają uratować! Oczywiście taki zespół, to nie tylko kwestia odpowiedniego samochodu, potrzebni są także odpowiednio przygotowani lekarze. O obydwu tych sprawach należałoby pomyśleć. Wysokospecjalizowana pomoc nie może być tylko przywilejem ludności miast.

SAMOCHÓD DLA LEKARZA

Ponad 350 wozów przydzielono w latach 1981-83 dla lekarzy rejonowych w miastach i gminach oraz wiejskich ośrodkach zdrowia województwa łódzkiego, ale nieczęsto do nich srenioło. Zapotrzebowanie na samochody osobowe w rejonach ciągle wzrasta. Niesłusznie, duża część przydzielonych, trafiła nie do tych, którzy ich najbardziej potrzebują — więc zostały upłynięte z ryzykiem, dostali je nawet tacy, co nie mieli prawa jazdy — teraz nadal korzystają z wozów KTS. Może więc lepiej wyposażyć kolumny nawet kosztem wygody indywidualnych obywateli, w tym także i lekarzy. Lub przemaczyć dla służby zdrowia taką liczbę samochodów, aby każdy lekarz realizujący wizyty domowe, każda pielęgniarka jeżdżąca na zabiegi, każda położna mająca tzw. patronaż, zarówno w mieście, jak i na wsi, pracownik socjalny dysponowali własnymi środkami lokomocji. KTS mogłaby wtedy ograniczyć transport sanitarno-osobowy do minimum, do sytuacji awaryjnych. Tym bardziej, że nie mogą w pełni zaspokoić użytkowników; brakuje etatów dla kierowców, fundusz płac nie pozwala na zatrudnienie większej liczby.

Sytuacja ta podsuwa inne rozwiązanie — można samochody osobowe jeźdzące w rejonach gminach i wsiach przydzielić na stałe poszczególnym jednostkom, ale bez kierowców. Przystosowaliśmy się do luksusu, dziś każdy „najdrobniejszy” nawet dyrektor nie może obejść się bez samochodu służbowego, koniecznie z kierowcą, sekretarką, etc. A np. w takim bogatym kraju jak USA, na podobną rozrzutność przedsiębiorstwa państwowe sobie nie pozwalają. Ostatnio publikatory zachodnie do-

nosili jako ewenement, iż jeden z doradców prezydenta Stanów Zjednoczonych dostał samochód z kierowcą. Dotąd służbowym wozem porusza się sam.

Można by podobną oszczędność zastosować i u nas. Na początek w służbie zdrowia. Zamiast dużych „fiatów” dla lecznictwa otwartego, dać „maluchy”. Bez kierowców najlepiej! Dwa razy taniej. Takie rozwiązanie winno podjąć ministerstwo.

CO DLA PIELEGIARSKI

Osobną sprawą jest kwestia prawidłowego wykorzystania sanitarek w terenie. Większość gminnych i wiejskich ośrodków zdrowia ma na kilka godzin dziennie samochody przeznaczone dla użytku personelu średniego. Podbijają je lekarze, którzy z reguły posiadają samochody z przydziału z ryzykiem na benzynie. Czynnikiem do kosztów ludzi — maleńkich dzieci, do których nie może dotrzeć położna, chorzy czekających na zabiegi domowe, niepełnosprawnych starych pentów opieki społecznej... Np. w GOZ Andrespol, ZOZ Łódź-Widzew, któraś z pielęgniarek powiedziała:

— A w tym tygodniu nie mamy kłopotów z załatwianiem spraw w terenie, bo dr Rzepecka jest chora i nikt nam samochodem nie zabiera.

Dr Rzepecka ma oczywiście swój wóz z przydziału, ale woli jeździć służbowym z KTS — z którego korzystać — zgodnie z zarządzeniem — mają tam dwie pielęgniarki środowiskowe, położne i dwóch pracowników socjalnych. Rejon jednej pielęgniarki środowiskowej wynosi 7,5 tys. mieszkańców — teren ogromny, odległości.

W GOZ Parzęczew doktorstwo Winiarscy mają dla swojego użytku dwa samochody prywatne i ryczałt na benzynę, ale jak tylko mogą, jeżdżą służbowym, oczywiście kosztem pielęgniarki środowiskowej, pracownika socjalnego — czyli kosztem pacjentów.

W Grodnikach, ZOZ — Zgierz, jest też sanitarka służbowa. Jeździ nią wyłącznie stomatolog i jej asystentka. I bardzo dobrze, tyle, że pielęgniarka środowiskowa jest już cztery lata na urlopie wychowawczym, położnej nie było nigdy.

— Po co nam one, niepotrzebne w naszym terenie — powiedziała pani asystentka.

Czyby załatwiała także pracę położną, a może obawia się tylko konkurentek do korzystania z samochodu służbowego?

Są i inne przykłady złego gospodarowania samochodami służbowymi. W Gminnym Ośrodku Zdrowia Kurowice, ZOZ — Widzew, raz w tygodniu jest sanitarka do dyspozycji personelu średniego, wykorzystuje się ją prawidłowo, ale już dr E. Tymowski, oprócz

wozu prywatnego i ryczałtu, ma „malucha” z KTS, którym wyłącznie jeździ na wizyty (dla wyjaśnienia — „fiak” jest tankowany w Kolumnie Transportu Sanitarnego, także tam naprawiany, myty). Czy nie słałoby dobrego dla jednego?

BEZ PRZYWILEJÓW

WKTS nie ma żadnych przywilejów, aczkolwiek pełni bardzo istotną rolę w prawidłowym funkcjonowaniu służby zdrowia. Jest dużym nieporozumieniem, że nie posiada udogodnień w CPN przy pobieraniu paliwa, ani w „Polmozybit”. Obydwie te instytucje traktują transport sanitarny jak każdą inną jednostkę. Jeżeli już raz zdecydowano się zaliczyć karetki pogotowia do wozów uprzywilejowanych, to dlaczego Kolumna Transportu Sanitarnego, która jest ich właścicielem, nie ma najmniejszych uprawnień, nawet prawa pierwszeństwa przed detalicznym odbiorcą?

Transport sanitarny nie był nigdy rozpieszczany. Najniższe płace nie przyciągały dobrych fachowców. Ostatnio wiele zmieniło się na korzyść. Uposażenie jest na poziomie innych przedsiębiorstw transportowych. Ale nadal istnieje spore niedomównienie.

Mówi zastępca dyrektora WKTS, Marek Szczeciński:

— Płacimy kierowcom na podstawie zarządzenia ministra zdrowia i opieki społecznej z 12 listopada 1982 r. Maksymalna stawka wynosi 28 zł na godzinę. Tymczasem, według uśrednionej wydanej „Dziennika Urzędowego ministra pracy, płacy i spraw socjalnych” nr 7 z 10 września 1982 roku, kierowcy z odpowiednimi kwalifikacjami mogą dostać 32 zł na godzinę.

Jak to może być, aby ministerstwa wydawały dubiujące się i sprzeczne zarządzenia? KTS nie może wywiązać się z odpowiedzialności za interesy pracownika i być w zgodzie z paragrafem, szkopił nawet w tym, że którym?

Czyby praca kierowcy w transporcie sanitarnym była łatwiejsza? Minister zdrowia, Tadeusz Szlachowski, musi sprawę wynagrodzeń w KTS niezwłocznie uregulować. Najwyższy czas, aby ze szczebla centralnego nie napływały zarządzenia wprowadzające totalny bałagan i wywołujące słusze niezadowolenie ludzi.

Poza tym dodatki i przywileje kierowców jeżdżących w transporcie sanitarnym AM, PKP też powodują niezadowolenie. I tu, i tam za kółkiem siedzi się jednakowo. Kłopoty zawodowe te same, skąd więc bierze się „lepszość”, czyli płynięcie tylko z nazwy instytucji, w której się jeździ, jeśli tak, to zupełnie bezzasadnie!

Rozpoczęto budowę, która okazała się... niepotrzebna

Niewielki czworobok otoczony blokami przy ul. Rajdowej. W założeniach przeznaczony był na teren rekreacyjny Osiedla Retkinia — Piaski. Prawdopodobnie w otoczeniu zieleni pojawiłyby się huśtawki, karuzela, ławki, może ścieżka zdrowia lub wioska dziecięca. Pojawilyby się? Czyżby to znaczyło, że już się nie pojawia? Tak. Czas przeszły jest w tym przypadku całkowicie uzasadniony. Obecnie ten czworobok zamienili się w plac budowy, na którym wznoszą się dwupiętrowe bloki i niski pawilon. Ruch na budowie raczej niewielki. Prawdopodobnie słońce. Wyglądający przez okna mieszkańcy, zamiast cieszyć się widokiem zieleni, siłą wstrząsają elementami wielkiej płyty.

A cała historia zaczęła się gdzieś trzy lata temu. Urząd Miasta zaproponował Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie” zbudowanie placówki służącej mieszkańcom w wieku poprodukcyjnym. Być może i obiecywał pomoc oraz poparcie, ale teraz nikt do tego nie dojdzie. Spółdzielnia chętnie podchwyciła propozycję, bo ta wychodziła naprzeciw potrzebom jej członków. I tak powstała idea Domu dla Samotnych na Retkini.

Wiadomo, że Retkinia, to obecnie 80 tysięcy mieszkańców. Sama w sobie stanowi więc spore miasto. Odsetek ludzi w wieku emerytalnym, często samotnych, jest duży. Są bloki, gdzie całe partery zamieszkuje emeryci i renciści. Słodkiego życia na retkińskiej pustyni nie mają. Wiadomo, do sklepów daleko, bo sieć handlowa jest nie za gęsta. Do lekarza też niezbyt blisko. Często odległość te, obecnie normalne w nowych osiedlach są ponad siły starszych mieszkańców, którzy są wówczas zdani na łaskę i niełaskę sąsiadów lub rzadko zjawiających się dzieci. Opiekunowie społeczni nie zawsze do nich trafiają, bo przypadek jest akurat nie tak drastyczny, żeby docierały alarmujące sygnały do służb społecznych. Ale jakże często ci ludzie potrzebują pomocy, zainteresowania i ludzkiej obecności. Niektórzy chcą nawet zamienić mieszkanie na miejsce w zamian za zapewnioną opiekę.

Ten katastrofalny obraz „złotej jesieni” mieszkańców Retkini docierał do Zarządu RSM „Polesie” poprzez działające kluby rencistów i emerytów. Zapadła więc szybko decyzja o budowie Domu dla Samotnych. Powstał projekt, którego założenia architektoniczne przewidują część mieszkalną, pomieszczenia na opiekę medyczną, stołówkę z zapleczem kuchennym oraz działalność kulturalno-oświatową. Dla lepszego wykorzystania części socjalnej, spółdzielnia planuje otworzenie Domu Dziennego Pobytu, który umożliwiłby korzystanie z usług tej placówki szerszemu kręgowi ludzi samotnych — mieszkańców Retkini. Jest nawet teren — wolny plac w okolicach ulicy Rajdowej. Cały obiekt zostałby wkomponowany w otaczające go bloki.

I tu historia zaczyna się po raz drugi. Sprzeciw podnosi Komitet Osiedlowy Retkinia-Piaski. Ludzie słusznie domagają się

zaplanowanych wcześniej terenów zielonych. Nie chcą mieszkać na betonowym pustyni. Nie chcą przez swoje okna oglądać smolowanych dachów nagle wyrosłych pawilonów. Wzmagają się protesty i interwencje na wszystkich szczeblach. Sprawa retkińskiego kawałka ziemi trafiła nawet do stolicy. Ale na nie zdają się wszelkie zabiegi samorządu. Odpowiedź wszędzie brzmi jednakowo. Taka placówka jest potrzebna i musi stać. Państwo ma obowiązek zatroszczyć się o spokojną jesień życia swoich obywateli. A tymczasem rok 1982 ogłoszono Międzynarodowym Rokiem Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych. Mieszkańcy poczuli się bezradni. Z administracją mogli jeszcze walczyć, ale z ONZ?

Na plac wjechały koparki i dźwigi. Teren ogrodzono. Wykopano fundamenty. Zaczęły rosnąć ściany i konstrukcje. Działalność samorządu dochodzi do wniosku, że już tu nie zmienia. Pogodził się z losem. Tymczasem do Zarządu RSM „Polesie” zgłaszają się zainteresowani budową Domu dla Samotnych, potencjalni przyszli jego mieszkańcy i klienci. Padają życzliwe pytania, zarzuty. Kiedy dom zostanie oddany do użytku? Jakóż za długo to trwa. Oni już chcieliby się przeprowadzić. Chętnych jest więcej niż możliwości. Zapewne trzeba więc przeprowadzić jakąś klasyfikację, ale trudno już mówić o jakichkolwiek propozycjach. Po prostu jest jeszcze trochę czasu. Dom dla Samotnych ma być oddany w grudniu 1983 roku.

Do grudnia zostało jeszcze kilka miesięcy, ale już trzeba myśleć o zagospodarowaniu obiektu. I tu historia zaczyna się po raz trzeci. Zarząd RSM „Polesie” 2 maja 1983 r. zwrócił się do dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi z pismem, w którym poinformował o terminie ukończenia budowy, zapotrzebowaniu społecznym na tego rodzaju placówkę i prosił Wydział Zdrowia z uwagi na jego kompetencje o przejęcie inicjatywy zorganizowania Domu Dziennego Pobytu. Zarząd zadeklarował swoją pomoc w charakterze współorganizatora.

Odpowiedź na to pismo dotarła do RSM „Polesie” w końcu maja i stała się wielkim szokiem. Otóż „z przeprowadzonej analizy wykorzystania miejsc w domach dziennego pobytu oraz z rozpoznania środowiska wynika, że na terenie osiedla Retkinia-Piaski w Domu dla Samotnych nie ma potrzeby organizowania tego rodzaju placówki. Planowana część socjalna w Domu dla Samotnych wystarcza do zabezpieczenia potrzeb przyszłych jego użytkowników. Natomiast w sąsiedztwie przy ul. Krzemienieckiej 7/9 przy Domu Rencistów — funkcjonuje Dom Dziennego Pobytu”.

Okazuje się więc, że cała inicjatywa jest mało interesująca lub wręcz nieinteresująca dla Wydziału Zdrowia. Szkoda tylko, że dopiero wtedy, gdy całe przedsięwzięcie pociągnęło już za sobą

przynajmniej kilkadziesiąt milionów złotych. Co więcej, Wydział Zdrowia nie widzi zapotrzebowania społecznego na tego typu placówkę. Ciekawa jestem w jaki sposób osiągnięto opinię środowiska, bo o żadnym sondażu nikt na Retkini nie słyszał. A w ogóle jak to się dzieje, że trzy lata temu była taka potrzeba, a teraz już nie? W rozmowach ustnych przedstawicielom RSM „Polesie” sugerowano, że Urząd Miasta w ogóle nie o tej sprawie nie wiedział. Więc kto był ten ktoś, co wiedział i podawał się za Urząd Miasta? Może krasnoludki? Śmieszna jest argumentacja, że tego typu placówka istnieje przy ulicy Krzemienieckiej. Czy ktoś w Wydziale Zdrowia zdaje sobie sprawę, że jest dość istotna odległość między ulicą Krzemieniecką a ulicą S. Allende, czy Maratońska? A zresztą, gdyby nawet wszyscy zainteresowani byli w stanie dotrzeć do placówki przy ul. Krzemienieckiej, to jednak nie wyobrażam sobie, żeby była ona w stanie przyjąć bez kłopotów wszystkich chętnych z 80-tysięcznego osiedla, nie licząc dotychczasowych bywalców ze starszych osiedli.

Rozwiązaniem w tej sytuacji jest zorganizowanie drugiej takiej placówki, właśnie na Retkini w centrum zainteresowanego środowiska. A Dom dla Samotnych, chociaż formalnie znajduje się na terenie Retkini-Piaski, ma służyć całej Retkini, a nie tylko temu osiedlu, jak sugeruje pismo z Wydziału Zdrowia. Jeśli nawet rzeczywiście niepotrzebny jest Dom Dziennego Pobytu i dlatego Wydział Zdrowia nie widzi potrzeby zainwestowania w ten interes swoich środków, to dziwić może fakt, że nie wypowiedzi się na temat pomocy w zorganizowaniu samego Domu dla Samotnych od strony socjalnej, dla stałych jego mieszkańców. Spółdzielnia może zbudować pawilony, zagospodarować część mieszkalną i gospodarczą. Ale nie wyobrażam sobie, skąd ma brać fundusze i fachowców na zorganizowanie opieki lekarskiej, sprzętu medycznego, obsługi socjalnej. Wychodzi bowiem na to, że Zarząd RSM „Polesie” powinien zatrudnić lekarzy, pielęgniarki, kucharzy i Bóg wie jeszcze kogo. Czy komuś nie pomylił się zakres obowiązków? Bo w końcu kto jest od zapewnienia opieki zdrowotnej i społecznej: spółdzielnia mieszkaniowa, czy Wydział Zdrowia?

Zarząd RSM „Polesie” zaskoczony postawą Wydziału Zdrowia nie podjął jeszcze ostatecznych decyzji co do dalszych losów obiektu. Są różne propozycje. Najbardziej prawdopodobne jest zakwaterowanie części mieszkalnej bez zapewnienia opieki jej mieszkańcom. Pierwotny pawilon socjalny zostanie przekształcony w dom kultury. Spółdzielców bowiem nie stać na samodzielne zagospodarowanie części socjalnej, która notabene bez jednoczesnego funkcjonowania Domu Dziennego Pobytu wydaje się przedsięwzięciem nierentownym. Termin oddania obiektu przesunął się na I kwartał 1984 roku. Roboty posuwają się powoli, ale i nie ma się do czego spieszyć, skoro nie wiadomo co z tego będzie. Zarząd RSM „Polesie” nadal nie rezygnuje i trudno się temu dziwić. Walczy przecież o miliony złotych, wysilek ludzi i materiały, z którymi teraz raczej kruchno. Nie powinny się więc marnować.

EWA LACHOWSKA

Dokończenie ze strony 1

pagandy, upowszechnienia lotnictwa, głównie wśród młodzieży. Muszę podkreślić, iż

AL należy do przodujących w kraju. Przez cztery ostatnie lata we współzawodnictwie zajmował I miejsce w Polsce. Wiele jego sekcji rozwija się wspaniale, dyskontując krajowe i międzynarodowe zwycięstwa. Słabość to za mały postęp w rozwoju nowej dziedziny sportu — sekcji lotniskowej (m. in. z przyczyn obiektywnych — brak w pobliżu gór) oraz brak sekcji balonowej. Podejmujemy w tym zakresie działania.

Pisałem o tym niedawno w „Odgłosach” (23. VII. br.) w artykule pt. „Latająca kula”, poświęconym narodzinom i dziejom balonu, historii tego sportu w świecie w 200 rocznicę wlotu człowieka na aerostacie. Tekst był obszerny, ale wielu czytelników go przebrnęło, jak wnoszę z telefonów. Zaciekawienie tematem wzbudziły zapewne wznowione, rozegrane w czerwcu w Paryżu, Międzynarodowe Zawody Balonowe o puchar Gordon Benneta, w których zwyciężyli Polacy. W artykule wspominałem o roli, jaką przez 150 lat balony odgrywały w wojnach, o ich służbie dla nauki, m. in. w badaniach stratosfery, o zastosowaniu „latającej bali” w transporcie i komunikacji pasażerskiej oraz o wielkiej szansie, jaką znów pojawia się przed aerostatami w dobie kryzysu energetycznego. Zainspirowany zostałem, aby tematykę tę rozwinąć.

ZACZEŁO SIĘ DO AEROSTIERÓW

Ze służby w Wojsku Polskim balony odwołano dopiero w ... 1955 roku! Tak. Formacje balonów obserwacyjnych i zaporowych mieliśmy

przez cały okres międzywojenny. Zorganizowano je też w I Armii Ludowego Wojska Polskiego w 1944 r. W rejonie Lublina powstał Samodzielny Dywizjon Balonów Zaporowych z obsadą 280 oficerów i żołnierzy. Wyposażony został w sprzęt radziecki, także w balony obserwacyjne, które posłużyły jednak głównie do szkolenia skoczków spadochronowych. Balony zaporowe natomiast w II wojnie światowej odegrały jeszcze dużą rolę broniąc — baz i miast przed samolotami i raketami typu V-1.

Mając zaledwie 11 lat balon został powołany do służby wojskowej. Zanim się zresztą narodził, już mu taka rola projektowano. W 1709 roku książę de Gusmao obiecywał królowi Portugalii zbudowanie latającej armady, nowej potężnej broni. W kwietniu 1794 roku Francuzi, jako pierwsi w historii, utworzyli kompanię balonową. Już w czerwcu owego roku pole bitwy pod Maubeuge obserwowali z balonu na wieży ruchy wojsk przeciwnika i wskazywali cele dla własnej artylerii. Pod Fleurus ta metoda przyczyniła się walenie do ich zwycięstwa. Dwie kompanie aerostierów, jak zwano nowe formacje, brały udział przy oblężeniu Moguncji. Później sam Napoleon rozmyślał niejednokrotnie, jak z pomocą balonów dokonać inwazji na Wielką Brytanię.

Po raz pierwszy do bombardowania przeciwnika z powietrza użył balonów Austriacy podczas oblężenia zbuntowanej Wenecji w 1849 r. Do papierowych balonów na ogrzane powietrze przyczepiono bomby. Wysłano ich kilkadziesiąt, ale nie wyrządziły większej szkody, poza kilkoma pożarami, zrobiły jednak wielkie wrażenie psychologiczne, nopolch wśród mieszkańców. W 1885 roku balonów obserwacyjnych użył Rosjanin oblężeniu w Sewastopolu. Sledzili ruchy floty morskiej przeciwnika. Pod Solferino, krwawej bitwie, po której narodziła się idea powołania Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (1864 r.), po raz pierwszy wykonano zdjęcia z powietrza. Do fotografowania położenia wojsk balonów używano także w wojnie secesyjnej w Ameryce Północnej. Warto tu zresztą podkreślić, iż dowódca pierwszego oddziału balonowego był tam Polak, inżynier Tadeusz Sobieski, mianowany przez prezydenta Lincolna. Pod jego kierunkiem zbudowano kilka balonów, w tym olbrzymia „Great Western” (240 tys. m sześciu pojemności, 6,5 m wysokości). Odbłył na nim lot z Filadelfii do Nowego Jorku. Wyprawa przez Atlantyk do Europy nie doszła do skutku.

Inny Polak, ppłk. Robert Chodasiewicz, przeszedł do historii Argentyny i Brazylii, jako pierwszy tam aeronauta. Organizował wojska balonowe, w czasie wojny z Paragwajem w 1866 roku sam wzniósł się nad polem bitwy zdobywając cenne informacje o przeciwniku.

Duże korzyści z zastosowania balonów uzyskali Francuzi w czasie oblężenia Paryża przez Prusaków w 1871 r. W ciągu 4 miesięcy zbudowali i wysłali 68 balonów, przesyłając ponad głowami wroga 3 miliony listów i depesz, 168 ludzi i 400 pocztowych gołębi, z których wróciło tylko 57, ale przyniosły aż 100 tys. informacji, dzięki zastosowaniu po raz pierwszy na szeroka skalę techniki mikrofilmów.

W armii carskiej oddział aeronautów powołano w 1895 r. w Petersburgu. Na szerszą skalę balonów użyto w wojnie z Japonią.

Balon obserwacyjny w służbie wojskowej był coraz bardziej doskonały. Wyposażony został w mechaniczną śledzarkę, by szybko można było go przyłapać w razie ostrzału artylerii, broni maszynowej, a później ataku samolotów myśliwskich. Urządzano zresztą na nie pułapki balony natadowane dynamitem. Poza tym balon obserwacyjny zmieniał swój kształt i otrzymał sterowanie. Zamiast kuli, mocno kołysanej przez wiatr, a więc o ograniczonym zastosowaniu, oficer francuski A. Caquot w 1916 roku wprowadził kształt poduszki balonu i powietrzne worki sterujące. Powstał wygląd kiełbasy i tak też te aerostaty, używane w Polsce aż do II wojny światowej, nazywano.

W czasie I wojny światowej Niemcy, Francja i Rosja miały łącznie 5500 balonów obserwacyjnych. Unosiły się one nad wszystkimi frontami. W bitwach pozycyjnych dawały wielkie usługi, dostarczając informacji o tym, co się dzieje u przeciwnika, o jego stanowiskach ogniowych i korwając strzelanie własnej artylerii. Zawieszony 1500 m nad ziemią obserwator przez lornetkę kontrolował teren na odległość 15 km i telefonicznie, bądź na kartce przekazywał swoim władcom. Na obserwatorów polowano więc w rozmaity sposób, była to służba niebezpieczna.

W tym czasie aerostaty służyły nie tylko do obserwacji, ale również do ataku, do bombardowania i prowadzenia ognia z karabinów maszynowych, siejąc prawdziwy postrach. Do



Sterowiec na celowniku

walki zastosowano sterowce, balony napędzane silnikami, kierowane niezależnie od wiatru, statki ogromnych rozmiarów (do 240 m długości), o wielkim udźwigu, z węgla przypominające cygara lub ryby. Trudno się dziwić, że na taki widok strach żył włosy. Francuzi swój sterowiec sami zestrzelili pod Reims. W I wojnie mieli ich 52. Osobne formacje w wojskach lądowych i marynarskich. Sterowce patrolowe typu „Zodiac” Francuzi sprzedawali wielu innym krajom.

Anglia zbudowała w czasie wojny 213 sterowców, z czego 110 straciła. Włosi mieli 28 sterowców, wykonali na nich 200 lotów bojowych, zrzucając 130 ton materiałów wybuchowych. W 1914 roku Rosja rozpoczęła wojnę z 14 aerostatami. W czasie wojny domowej Armia Czerwona rozbudowała powietrzne formacje. Pociąg pancerny towarzyszył balo-

ZEPELINY NAD LONDYNEM

W Niemczech były trzy fabryki sterowców, użycie w armii znalazły jednak tylko statki z firmy hrabiego von Zeppelina. Dla wojska dostarczone ich 114 sztuk. Na początku, w 1914 roku, latały nad Francją, głównie w celach patrolowych. Wkrótce jednak trzy z nich zestrzelono. Była to wielka strata materiału, jako że były one bardzo drogie. Dowództwo postanowiło więc używać zeppelinów tylko do bombardowań, zwłaszcza, że kolejne typy miały coraz większy udźwig. Jeśli w 1915 roku zabierały 200 kg bomb, to pod koniec wojny już po kilka ton. Powierzono im więc taką samą rolę, jak V-1 i V-2 w czasie ostatniej wojny światowej. Miały rzucić na kolana Wielką Brytanię, a przede wszystkim zrujnować Londyn.

Ataków tych było wiele, zawsze nocą. Na początku stanowiły dużą groźbę — bomby zabijały, raniły, rujnowały, zapalały. W miarę rozwoju artylerii przeciwlotniczej, reflektorów oświetlających cel na niebie, samolotów, napaady te więcej straciły na skuteczności. Oto jak wyglądał jeden z ostatnich nalotów, 19 października 1917 roku. Nad Anglią zawisło 11 najnowszymi zeppelinów. Nie poradziły sobie jednak z... mgłą, nie mogły trafić na Londyn. Nie zdradziły go tym razem też reflektory, przeznaczone nie użyte. Po zrzuceniu ładunku na oślep, sterowce wracały do baz. Poblądziły w chmurach. Cztery przypadły nad Francją, piątą rozbił się przy lądowaniu u siebie, w Turyni. Nie opaciła się więc skórka za wyprawkę. Coraz częściej też sterowce niszczone były w bazach przez samoloty przeciwnika. A także w powietrzu, choć sterowce posiadały wiele karabinów maszynowych i odpędzały samoloty. By „cygaro” dopaść, trzeba było z góry zrzucać bombę. Pierwszy dokonał tego pilot angielski, Warneford, zdobywając najwyższe odznaczenie — Krzyż Wiktorii.

Nie ataki bombowe przeszły do historii jako sukces zeppelinów, ale lot jednego z nich do niemieckich wojsk w Afryce i powrót bez lądowania. Spóźnił się z dostawą kilkunastu ton amunicji. Przeleciał 6.500 km.

W czasie II wojny światowej sterowce nie

odegrały już większej roli, choć stosowane były do różnych zadań. USA posiadały ich aż 200, wykonały one 58 tys. lotów operacyjnych, patrolując wybrzeża obu Ameryk, Morza Śródziemnego, rejon Gibraltar, Kanalu Panamskiego. Sterowce szukały pól minowych i okrętów podwodnych, z którymi potrafiły skutecznie walczyć, posiadając dużo większą szybkość i potężną porcję bomb głębinowych oraz min. Sterowce były prawie bezbronne wobec szybkich i zwrotnych samolotów. Mogły się oganiać tylko ogniem własnych wielolufowych WKM i liczyć na osłonę zenitówek ze statków. Mimo wszystko ochraniały w czasie wojny rejsy 89 tys. statków.

W Związku Radzieckim sterowce były stosowane do podobnych celów plus łączność i zapatrzenie placówek wojskowych w bezdrożnych okolicach. W czasie wojny przeleciały łącznie 3 mln kilometrów.

Inny rodzaj balonu — zaporowy na wieży — był również wykorzystywany, tak jak pod koniec I wojny światowej, z tym, że w systemie udoskonalonym, m. in. w tzw. tandemie, jeden nad drugim do wysokości 6 km. 2000 balonów ochraniało Londyn w 1944 roku, zagrażając drogę nurkującym bombowcom i pociskom V-1, z których 15 proc. o nie zawadziło i spadło przed celem. Tak chronione były większe miasta radzieckie, w tym Moskwa i Leningrad oraz bazy morskie. Bardzo skutecznie bronili dostępu do okrętów w Odesie. Zapory balonowe unosiły się także nad... konwojami statków i rejonem desantów wojsk w Normandii i na Sycylii.

Zapory można było niespodziewanie opuścić i wznosić, chowając balony aż w chmurach. Zapora składała się z szeregu balonów rozstawionych co 250—300 m, połączonych stalowymi linami, od których zwisały siatki lub liny z minami. Przy gorszej pogodzie lub nocą pilot bardzo się ich obawiali. Trzeba było latać wysoko, atakować niecelnie lub zachodzić od strony, gdzie nie było zapór, ale tu czyhała zmasowana artyleria.

JAPOŃSKI ATAK NA USA

Jeśli idzie o nasze podwórko, Polskę, to w 1939 roku mieliśmy 8 kompanii balonów obserwacyjnych i kilka plutonów zaporowych. Blitzkrieg nie dawał szans na ich zastosowanie, nie było wojny pozycyjnej. Tylko w rejonie Modlina wznosił się raz polski balon obserwacyjny, ale wkrótce kulę go podziurawiły. Operowały tam natomiast dwa balony niemieckie. Plutony zaporowe skierowano do Warszawy, gdzie osłaniały mosty i lotnisko Okęcie, do czasu kiedy one z kolei były chronione przez zenitówki i myśliwce. Kiedy te ewakuowały się na wschód, Niemcy szybko poradzili sobie z balonami. Zresztą brakło też wodoru do ich napełniania. Wkrótce, w 1940 roku, Polska Eskadra Balonowa utworzona została w Szkocji, bronila Glasgow, Londynu i innych miast. Nasi specjaliści zaprojektowali tam nawet nowe rodzaje balonów.

I jeszcze ciekawostki militarne. W czasie wojny Japończycy przeprowadzili wielką operację balonową przeciwko USA. Korzystając z tzw. prądów strumieniowych występujących na dużych wysokościach, wypuścili 9.000 balonów z bombami burzącymi i zapalającymi. Tylko część z nich osiągnęła cel, wywołując niewielkie straty, głównie pożary lasów. Był to jedyny przypadek, kiedy Amerykanie poczuli zagrożenie nad głową i z niepokojem spoglądali w niebo. Prasa zresztą najpierw przemilczała ten atak, „by nie powodować paniki”. Korzystając z tych samych prądów powietrznych, w latach 1952—58 wywiad USA wypuścił nad kraje socjalistyczne setki balonów szpiegowskich, które automatycznie, na szerokich taśmach, fotografowały pas ziemi o zasięgu 100 km. W razie awarii i opadania balonu niszczone wszystko było środkiem wybuchowym. Podobnie się działo, gdy aparat dostał się w ręce niepowołane. Balony te spowodowały kilka katastrof, m. in. pasażerskiego samolotu CSRS i polskiego myśliwca wojskowego koło Sochaczewa. W obu przypadkach zginęli ludzie. Amerykanie nie przyznawali się do niczego, póki w Moskwie nie zademonstrowano dziennikarzom całego kompletu szpiegowskiego przechwyconego nad ZSRR na wysokości 10 km. Okazało się, później, że był to cały program szpiegowania pod kryptonimem „Boby Dick”. Do podobnych celów posłużył hitlerowcom jeden z ostatnich zeppelinów. Wyposażony w najnowszą aparaturę wtelkie anteny znalazł się, tuż przed wojną, w pobliżu Anglii, by wywęszyć system radarowy, okryty wówczas wielką tajemnicą. Zrobił się skandal. Goebbels oświadczył, że to tylko wina... zlych wiatrów.

NIE PÓJDZIE DO REZERWY

... co obecnie wojskowi myślą o zastosowaniu aerostatów do celów militarnych? Zadań bojowych spełniać one nie

moga, natomiast wiele pomocniczych — tak, zwłaszcza kiedy powstanie nowa generacja sterowców. Projektów i koncepcji jest bardzo wiele, w tym absolutnie nowe rozwiązania-hybridy. Idzie o połączenie w jednej konstrukcji zalet balonu i samolotu, czy śmigłowca, albo wszystkich razem. Jest szereg gotowych projektów, w tym gigantycznych statków powietrznych, jak amerykański Aereon-340, czy Skys-hip. Ten ostatni w wersji wojskowej mógłby naraz zabrać dwie kompanie wojska z całym sprzętem, a więc 1600 ludzi, 70 samochodów terenowych, 14 ciężarówek, 60 naczip samochodowych plus jeszcze 100 ton innych materiałów. Do tego celu potrzeba dziś 105 dużych samolotów transportowych. I jeszcze drobnotka — wszystko trzeba dowieźć na lotnisko i z niego odebrać. Sterowiec natomiast może startować i lądować wprost przy koszarach lub na ich terenie, co oszczędza za- i wydłunek, a czas przetrzeczenia wojsk skraca wielokrotnie. To oczywiście już głęboko zastanawia sztabowców, tym bardziej, że całe oddziały można byłoby podrzucać wprost na pole walki, przy błyskawicznie zmieniającej się sytuacji. Poza tym taki kolos o wysokości 63 m i szerokości 213, długości do 300 m, mógłby przenosić konstrukcje mostów, wyrzutni rakietowych, wyposażenie fabryk, czy warsztatów remontowych, a także zabrać cały ciężki sprzęt do naprawy na tył. Projektuje się wiele typów sterowców, różnej wielkości, z różnymi napędami i do różnych celów. Wojskowi myślą o ich służbie w rozpoznawaniu akwenów morskich, dozoruwanu, jako latająca w pobliżu przeciwnika stacja radiolokacyjna wczesnego ostrzeżenia, jak i przeciwdziałania elektronicznego. Sterowce wyposażone w rakiety powietrze-woda, bomby głębinowe, torpedy i miny, mogą skutecznie przydusić okręty podwodne. Na fantazję prawie zakrawają pomysły, choć technicznie realne, budowy powietrznych platform do startu rakiet, lotnisk dla samolotów i helikopterów.

Nad sterowcami nowej generacji, w tym napędzanymi silnikami odrzutowymi i energią atomową, pracują biura projektowe w wielu krajach, przy czym wyróżnia się Kanada, a w niej syn polskiej ziemi, inż. Alfred Lenarciak. W USA inż. Feliks Piasecki, konstruktor śmigłowców, zaprojektował „Piasecki — Helistat”, hybrydę helikoptera i balonu. Gaz uniesie ją w powietrze, a do przodu pognają silniki turbiny. Balon nie zużywa energii na dźwiganie tylko na ruch do przodu, stąd powstaje wielka oszczędność, na co ostatnio świat zwrócił wiele uwagi. To otwiera szeroko wrota przed powietrznymi kolosami — dźwigami, transportowcami, platformami.

Czy to tylko fantazja? Nie, dla rozwiania wątpliwości podajemy tylko jeden fakt. Stary, przedwojenny. Otóż w 1931 roku firma Akron w USA zbudowała dla US Navy sterowiec długości 240 m, o udźwigu 86 ton, szybkości 125 km/godz., zasięgu do 17.000 km. I w tym nie było nic dziwnego, gdyż — w jego brzuchu nie było hangaru i pięciu samolotów, które startowały z wysuwanej platformy i wracały na nią, jak pszczoły w ulu. Było to pierwsze tego typu rozwiązanie. 52 lata temu! Na co więc dziś stać technikę?

Do czego jeszcze się może staruszek-balon przydać? Do... odkrywania pilotów! Lotnik stracony nad terenem nieprzyjaciela wyskakuje z balonem-spadochronem. Balon wypełnia się powietrzem, które podgrzewa butlą z propanem. Pilot może się unosić na wysokość nawet 7 km i czekać na wezwany przez radio samolot ratunkowy, który umożliwi mu wejście na pokład lub holuje w powietrzu „do domu”. Narazie na tę sztukę zostaje tylko 30 minut, ale szare komórki pracują nadal. Pilot, ze względu na ogromny koszt wyszkolenia, jest cenniejszy niż stracony samolot.

Wobec rozwoju nowych technik rakietowych, a zwłaszcza pocisków manewrujących „Cruise”, niespodziewany renesans czeka być może stare przeciwlotnicze balony zaporowe. Sieć takich balonów może zmilczyć pocisk, który ma w swym pokładowym komputerze mapę terenu i kieruje się dokładnym naprowadzaniem radarowym. Wprowadzona w ostatniej chwili przeszkoda może spowodować dezorientację układu sterującego, co sprawi, że „cruise” po prostu „zgłupieje” i zbrocy z drogi do celu.

Tyle na dziś. Na zaś została nam jeszcze sterowcowa komunikacja pasażerska, w tym przedwojenna, przez oceany i badania stratosfery. Został nam polski sterowiec „Lech” i pechowy stratostat „Gwiazda Polski”.

ZDZISŁAW STRZEPEK

W czerwcu br. został rozstrzygnięty Konkurs Literacki dla prozaików debiutantów, organizowany (z okazji Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy) przez: Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Górna, Dzielnicy Dom Kultury Łódź-Górna i Grupę Literacką „Centaur”.

Jury pod przewodnictwem dr Grażyny Szymczyk-Kluszczyńskiej postanowiło nie przyznać I nagrody. Dwie II nagrody po 4.000 zł otrzymali: URSZULA ZAJKIEWICZ, BOHDAN ZAJKIEWICZ — godło „Pajak” za pracę pt. „Powrócić w obieg przemian” oraz

MAREK GZELLA godło „Wilga” za pracę pt. „Opowiadanie starego Karla”. Dwie III nagrody po 3.000 złotych otrzymali: URSZULA BOCZEK godło „Saxon” za pracę pt. „Listy do Cortazara” oraz JADWIGA IGNACZAK — godło „Zwiastun” za pracę pt. „Nie-dziennik czyli czekanie na sobotę”. Ponadto jury przyznało 5 wyróżnień po 1.500 zł, które otrzymali: JANUSZ BARTEWICZ — godło „Jankanty” za pracę pt. „Judaszem byłem”, BARBARA NADGÓRSKA — godło „Marina” za pracę pt. „Dobry początek opowiadania”, BOŻENA PAWEŁCZYK —

PIECHULSKA — godło „Post scriptum” za pracę pt. „Czekanie w Nieskończoność”, JACEK GŁĘBSKI — godło „Popiel” za pracę pt. „Zamknięty krąg” oraz MAREK MARCIN GŁOWACKI — godło „MMG” za pracę pt. „Kolejkowe przejścia”. Na konkurs napłynęło 27 prac.

Jury nie wzięło pod uwagę przy rozdzielaniu nagród pracy oznaczonej godłem „Maj” jako niezgodnej z §§ 1 i 2 regulaminu konkursu.

Był późny wieczór. Siedzieliśmy na werandzie drewnianego domu porośniętego dzikim winem. Rozmawialiśmy o muzyce, malarstwie, poezji. W pobliżu pracowali rolnicy. Czy oni wiedzą, że orząc pole — tworzą? Nastuchiwaliśmy, jak skiby ziemi śpiją. Rozmawialiśmy obraz poletka ograniczonego kępami drzew, na których płactwo ma swój raj. Było zupełnie cicho, wiał lekki, ciepły wiatr, w oddali zaszczekał pies. Słychać było szum górskiego potoku, którego woda płynęła warkotem, jakby się spieszyła. Dokąd, dlaczego? Nikt z nas tego nie wiedział. Postanowiliśmy czekać do wschodu słońca, słońca dnia następnego. Chcieliśmy posłuchać odgłosów pierwszych jego zwiastunów — żuraw, przemysł, twarz, rosa poranna, zerwać dopiero co rozbudzone polne kwiaty. Teraz rozmawialiśmy o filozofii jako sztuce życia, wiecznego oczekiwania przepojonego nadzieją, nasyconego nieustannym wytwarzaniem dóbr materialnych i duchowych, obciążonego ogromnym bagażem cywilizacyjnym minionego czasu. My przychodzimy, by go jeszcze bardziej obciążyć. Nie chcemy ciągle się nateżać, walczyć z czasem, czasem nieubłagany. Odpoczywamy. Zespaliśmy się z przyrodą, grającymi żurawiami, pięknymi polnymi kwiatami zlanymi kroplami porannej rosy, która mieni się tysiącem barw, barw rozbudzonego słońca, jego promienie wspinają się po pnączach dzikiego wina, rozjaśniając werandę drewnianego domu, w którym mieszka Karzeł.

Zaczynamy słuchać jego opowieści: Malowałem pejzaż. Było to pole przeorane, pocięte kilkoma liniami. Linie miały symbolizować drogi. Do linii horyzontu było jeszcze daleko. Drogi łączyły się przechodząc w jedną już bardzo prostą drogę. Rosło przy niej drzewo bezlistne, pod którym odpoczywali zmęczeni wędrowcy, drzewo samobójców, drzewo roztania, drzewo radości. Dalej była przestrzeń ograniczona murem, który zlewał się z jasnym błękitnym niebem. Niebem bezchmurnym. Do muru jeszcze nikt nie doszedł. Świadczą o tym bielejące kości ludzkie i zwierzęce, strzępy ubrań i resztki dobytek ludzkiego, tysiące krzyży i tabliczka z napisem w dwunastu językach: „Dalej drogi nie ma”. Tu kończą się wszystkie cele, pragnienia i marzenia. Z boku stoi skarabka, której zawartość przeznacza się na konserwację zaoranego pola.

Karzeł zamilkł. Opowiadanie wszystkich poruszyło. Ktoś zakaszał. Znowu zaczął opowiadać: Byłem raz w dziwnym domu. Mieszkanie było ciemne. Po łbie rozchodzili się wóń ziół, stęchlizny i siarki. Rozejrzałem się po pokoju. Dziwili mnie wszystko: sznury suszonych ziół, pajęczyny, jakies naczynia, stary zegar. Okna uszczelnione szmatami. Na podłodze obok rozrzucone drewna wyłęgłał się szary kot. W rogu leżały jakieś znozone ubrania i narzędzia ogrodnicze. Dalej kosze wypełnione darami lasu. Obok stała rozlatująca się i rozszacha bezczka, stary kufer oraz mój pejsz w starych rzeźbionych ramach. Wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu. Do łbie weszła stara kobieta. Twarz miała przeorana zmarszczkami, oczy zapadnięte, głębokie, zamysłone. Z twarzy promieniła dobroć, spokój i nadzieja. Kiedy wracałem do siebie, przypomniałem sobie słowa kobiety i całą tę niesamowitą scenę. Mówiła o jakiejś przyjaźni, o miłości z losem. Ostrzegła przed złym człowiekiem. Namawiała bym tworzył rzeczy piękne. Jeszcze raz wspomniała o przyjaźni, wielkim dziele i przeznaczeniu. Płem też jakieś zioła. Chwilami przeżywałem to, co mówiła kobieta, czasami się uśmiechałem, nieraz uciekałem w przeszłość. Twarz kobiety nagle się zmieniła. Wyrażała ból, zaniepokojenie. Głos jej drżał, jakby coś przeżywała. Mówiła o moich wzięciach i przeznaczeniu, o misji, jaką mam spełnić. Nic więcej z rozmowy tej nie mogłem sobie przypomnieć. Walczyłem ze swoimi myślami.

Szedłem leśną drogą, przechodziłem koło starego zapomnianego cmentarzyska, potem znowu był las. Do domu było jeszcze daleko. Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy prosiące o pomoc, prosiące o modlitwę i zbawienie. Wydawało mi się, że widzę za drzewami czarne madonny, postacie aniołów i świętych. Przykłąknąłem, zacząłem się modlić, aż wreszcie wstałem, zacząłem biec. Biec coraz szybciej, biec z wiatrem i leśnym szumem, aż upadłem. Przez kilka następnych dni z nikim się nie widziałem. Gdy się pojawiłem, byłem bardzo spokojny, jakby oczyszczony. Twarz moja promieniała. Byłem bogatszy o jedno przeżycie. Następnego dnia wyjechałem. Nikt nie wiedział dokąd. Parę dni później wybuchła wojna... Karzeł znowu na chwilę zamilkł. Nikt nie odrywał od niego oczu. Wszyscy byli wstrząśnięci jego opowieścią.

MAREK GZELLA

Opowiadanie starego Karla

Po chwili zaczął mówić dalej: Pierwsze dni pobytu w zakładzie dla obłąkanych były koszmarem. Ciągłe wpatrzony w niego oczy. Każdy ruch śledzony milionem obłąkanych oczu, oczu bez wyrazu, oczu pustych, przesywających na wylot. Oczu niezrozumiałych, a zarazem współczujących, wyrażających uczucia, które trudno nazwać, oczekujących jakby wzajemności i współuczucia. Z pierwszych chwil pobytu zapamiętałem też napis nad salą operacyjną: „Wchodząc tu w czerni swoich przeżyć, aby stanąć przed obliczem w białej sukni ślubnej, aby stąpić po ziemi soli czarnej, jako wybraniec naznaczony piętnem przenikania przez mur duszy ludzi, którym będziesz od tej pory pomagał”. Był tam człowiek, z którym się zaprzyjaźniłem. Kilka miesięcy leżał w bezruchu, wpatrzony w jeden punkt. Dostatecznie dobrze przemyślał swoje życie i postępowanie. Dostatecznie dobrze przemyślał zapamiętany również i przez niego napis nad salą operacyjną. Obmyślił plany swej przyszłości. Następnie stawiał pierwsze kroki przy pomocy siostr zakonnych, tych samych, co karmili go chlebem i słowem nadziei. Teraz już mogliśmy obserwować życie zakładu. Robiliśmy po nim długie spacerowanie, bacznie patrząc na zachowanie się innych. Po korytarzach snuły się postacie odrętwiałe, senne, obarczone wadami wrodzonymi, narzniętymi i guzami, zniekształceniami, o twarzach tępych, wykrzywionych grymasem przestrachu lub obojętności. Każda z postaci była jakby historią świata. Był tam król, wódz, galernicy i skazańcy. Był Zawisza Czarny z rycerzami, damy dworu, boginie egipskie, Stańczyk i Don Kichot. O stałej porze wszystko jakby się ożywiało. Słychać było okrzyki, halasy, burzliwe dyskusje i klótnie. Słychać było bicie dzwonów na Anioł Pański. Snuły się wtedy po korytarzach panny w białych welonach, rozsypujące polne zasuszone kwiaty, które zbierał panowie w czarnych długich smokingach, ofiarowując zebrane

kwiaty swym wyśnionym wybrankom. Byli też ludzie milczący, samotni walczący ze swoimi myślami. Ci albo stali w bezruchu, albo miotali się po całym korytarzu, zaczepiając wszystkich napotykanych. Ci też pierwsi z wybielaniem następnej godziny znikali w swych ciemnych i chłodnych salach, pograżeni w mocnym beznadziejnym śnie, śnie przepojonym marami oczekiwania następnej pory ich ożywienia. Za nimi oddalały się wraz z zapachem zasuszonych kwiatów panny w białych królowie i boginie. Następowala kilkugodzinna cisza przerywana niekiedy wyciem wilków, wilków szpitalnych, które to w mekach swych widzi jęczały, krzyczały i kształtowały się własnymi przeżyciami. Wtedy to przed oczami mego towarzysza pojawił się znów napis nad salą operacyjną. Dalej części mogłem się tylko domyślać. Napis powoli zaczął falować, rozpyływał się, aż znikł całkowicie w jasności światła lamp operacyjnych. Wtedy otworzył się drzwi do jego wolności i usłyszał głos: Już zrzuciłeś czarną szatę wizerunku i masz mar, jesteś naznaczony piętnem, idź i walc z tym. Dwa dni później odbył się jego pogrzeb. Tylko ja wiedziałem, że operacja się nie udała, i że był to tylko eksperyment naukowy.

Karzeł wstał i chciał odejść. Powstrzymał go jednak prośba słuchaczy, aby dalej opowiadał. Usiadł więc znowu na progu domu i mówił dalej: Belki stropowe połączone były ściecia pajęczyn, po których biegały brońce swych terytoriów tłuste, włochate pajęki. Co chwila któraś z pajęczyn poruszała się i dopiero energiczne działanie pajęki ją uspokajało. Pająk powoli, z ogromnym okrucieństwem pozbawiał życia małe muszki, komary i cmy, które trzepocząc skrzydłami chciały się wyrwać z groźnych, ostrego szpon władcy podstropowych belek. Rozkoszował się walką. Obserwacje życia pajęków przerywały mi odgłosy zbliżającej się burzy. Pomyślałem przez chwilę o czasie spędzonym w zakładzie, o makabrycznych eksperymentach naukowych przeprowadzanych na pacjentach. Sam uniknąłem wszelkich badań i eksperymentów z tego tylko powodu, że znalazłem się tam tuż po wybuchu wojny. W zakładzie panował wielki bałagan i nieład, dzięki któremu, przy pomocy jednej z siostr udało mi się z niego wydostać. Kilka lat później podjąłem studia filozoficzne, zacząłem pisać i malować w domu, w którym obecnie jesteście. Przerwałem swe rozmyślenia i udałem się do pracowni kończącej zaczęty obraz: — hiperrealistyczne ujęcie przestrzeni widzianej z okna zakładu zaraz po wybuchu granatu na podwórzu zakładu dla obłąkanych. Malowałem przez kilka godzin bez wychodzenia. Głowa moja zaprzęgnięta była myślami, które koncentrowały się wokół pewnej wspólnej idei. Przetrawiałem wszelką cenę, aby ukazać innym, czego dokonuje przemoc niszcząca centralne i kierownicze ogniw człowieka, jakim jest jego mózg. W pracowni zaczęło się dziać coś dziwnego. Dopiero po chwili zauważyłem jakąś postać — widmo. — Kim jesteś tajemniczy przybysz i czego chcesz? — spytałem. — Przychodzę z twoich myśli, więc jestem tobą, przychodzę ze snu i jestem więc twą twórczością i twą drogą. Przychodzę tu, bo jestem twoimi pragnieniami. Przychodzę tu... ale już go nie słuchałem, poszedłem na poddasze i poprzedziłem wszystkie nici wielkiej pajęczyny, po której biegały rozbudzone tłuste i włochate pajęki z błyszczącymi krzyżami na wierzchniej stronie swych pancerzy. Karzeł skończył swe opowiadanie i zaczął płakać. Nikt nie starał się mu w tym przeszkadzać. Wszyscy spojrzeli na dom porośnięty dzikim winem, przepojony muzyką, poezją i malarstwem. Na dom z żurawiem dnia porannego i w kwiatkach polnych zlanych rosą, gdzie słońce świeci jaśnie.

LIST I

Pan zupełnie nic o mnie nie wie. Ja zresztą też niewiele wiem o Panu. Czytam Pana książki... „Wielkie wygrane” udało mi się ukraść. Tak... To akurat nie świadczy o mnie najlepiej. Aha — uczyłam się dla Pana hiszpańskiego, ale zapamiętałem nie wystarczyło mi na długo. No i to też właściwie...

Wie Pan? Trudno mówić o sobie. Serio. No, jeszcze gdy się mówi do tych, którzy nas znają, którzy mają własną koncepcję nas. Wtedy mówienie o sobie jest bezkarnie. Ja na przykład zakładam, że niewiele to zmieni. Joachim — sypiałam z nim — powtarzał, że byś nie wiem co mówiła, to ja i tak mam taki, a nie inny obraz ciebie”. No — on może mnie znał. Pan mnie nie zna. Stwarzał siebie. Tak jakbym malowała obraz, pisała wiersz. Dlatego potrzebni mi są ludzie. Gdy nie nie mogę już stworzyć, zostawiam, szukam nowych scen. Wiem, że mam nieograniczone możliwości kreowania. Mogę wszystko.

Na imię mi Joanna. Mniej więcej na tej zasadzie, na jakiej Ania z Wyspy Księcia Edwarda mogła być Kordelia. Joanna... Przywołał na myśl trochę ciemnych mocy, materiału na czarownicę.

Mieszkam w małym miasteczku w środkowej Polsce. Tu jest doprawdy nie mniej egzotycznie niż u Was.

Miasteczko ciąży ku stolicy naszego wiókiennictwa. Pan był w Polsce, prawda?

Wszyscy mieszkańcy Miasteczka noszą wysoko podniesioną głowę, bo mamy tu jedyną w kraju fabrykę kwasu cytrynowego. Więc mimo codziennych wypraw do Łodzi, do pracy, mimo codziennego mieszania się z jej mieszkańcami — świadomość istnienia kwasu cytrynowego daje wszystkim Miasteczkowiczom poczucie odrębności. Dopóki nie zamiesz-

kałam tu, nie miałam pojęcia, czym może być kwas cytrynowy. W sensie ideologicznym rzecz jasna, bo tak w ogóle to świetnie funkcjonuje w charakterze zmywacza do zapuszczonych zwierząt. Ale to go nie degraduje do poziomu Javoxu. Javox nie jednoczy. Rozumie Pan?

LIST II

Wie Pan — kocham takie dni, w których nie jestem zdana na oczekiwanie — na telefon, na list... Na przyjazd...

Jest pięknie, gdy rano w drodze do sklepu, na spadzistej, brukowanej uliczce — u którejś stóp czerwony kościół i wieża rozmyta we mgłę — nagle ze zgrzytem hamulców mijają mnie czarne mercedesy i przepada w drugiej też kociołkiej, która dla odmiany prowadzi w górę — choć to rzecz dyskusyjna — a jest jedną z trzech bliźniaczek. Przy każdej z nich niskie domy, zielone pompy na chodnikach... A wiosną można się odurzyć widokiem kasztanowców i bżów w ogrodach.

Dziś jest pochmurno, wiatr. Nie, wiatr nie huczy, nie świszczę i nie wyje. To jest jak zwielokrotniony monolog siupów telegraficznych na otwartej przestrzeni. A w topolach daje mrok i siłę — większą moc ma tylko burza w górach.

Wiatr jest oczyszczający. Palono czarownice, a wiatr też oczyszcza. Wywiewa mi z włosów smutek, który się tam czasem zaszyje, przenika mnie, szarpie piaseczem, zrywa moje maski. Deszcz kończy misteryum — zmywa dzienny makijaż i wyplukuje z oczu obrazy.

LIST III

Oprócz ludzi są jeszcze iluzje. Otaczają mnie w drodze do domu i z domu, w kinie.

Ludzie z czarnego samochodu. Pan z Pańskim Persjem, Silva... A zawsze pęta się koło mnie rudy Pies. Ma bezczelną mordę złodzieja i wólczykija i, założę się, przepada za Tatrami... Tak w ogóle to jest biedny — ma sporą ranę na szyi, kawał wychapanej sierści na piacie zdartej skóry. Zwisła to beznadziejnie, ale Pies nie pozwala się dotknąć, warczy, gdy próbuje coś zrobić, chociaż lubi mnie. Nawet na pewno.

URSZULA BOCZEK

Do Cortazara

Pierwsze spotkanie — rudy strzep lisiego futra leżący doskonale obojętnie na samym środku uliczki i — Zejście. Gdy wracałam uliczka Do — leżał właśnie na środku Do. Lizal ranę i lypał złymi oczyma. Oczyma, nie ślepiami. Może dlatego, zabieram go wszędzie ze sobą. Tak już to trwa — od tamtego mglistego ranka, z którego wypełzła rozszniewiona populudnie... Cały czas wtedy, gdy byłam w czytelnym myśleniu o Psie w ulicy Zejście. Podchodziłam do okna, choć stąd ani Zejście, ani Do, ani Olimpu nie są widoczne. To wszystko przez magnolloby, których kwiaty z mlecznego szkła zachłannie zabierają w siebie cały krajobraz. Magnolloby — niedziela — chłód — witrażowe msze — jakaś doskonała całość. Witraż z chabrami w większym kościele. Wie Pan, jeżeli wiara jest wyznaniem piękna i dobra, to ja, zapatrzona w chabry modle się najszczerzej. Piszę. Pies lypie podejrzliwie lewym okiem, sie-

dzę przy stole, za oknem w symbiozie rynek Kazimierza z Gabriela od Renoira, w tle Tatry, o szybę opierają się ciężko słoneczniki i malwy. Kot który Pana zna mruczy na półce w cieniu lampy. Tak, teraz jest miódowe południe, a on nie lubi słońca. Wieczorem też tam śpiał, bo ciepły. Kot i Pies żyją jak pies z kotem i nie ma Pan pojęcia, ile dyplomacji i taktu wymaga ode mnie ta sytuacja. Żeby nie o-

kreśla — do łagodnych należy sformułowanie „dopusz Boży” (to jest chyba nie przełamaczką). Moja siostra jest inteligentną nastolatka o budzącym respekt wygadzie. Dziś weszła na wagę przy Placu Wolności. Wyleciało razem pięć kartoników. Podliczyłam. 87,5 plus 77,5 plus 63 plus 89,5 plus 78,5 razem 396. To jednak gruba przesada.

„Pieśń o spustoszeniu Podola” posłużyła jej do rozważań nad zjawiskiem kanibalizmu wśród nierządnic, co podparła cytata „...a nas nierządnie, ach nierządnie jedzą”. Czy lubi Pan drób? Bo ona przepada, o ile ją da się go w domu nie utrudniają nozem i widelcem. Wyznała mi to, gdy wracając z kina zatrzymałam się przy małym czerwonym fiacie, w środku którego miotała się biała kura. Okna zamknięte, uderza beśzelnie skrzydłami o szyby... Lubię ranki — słońca mniej. Powód prosty — ona musi wstawać, a ja chcę. Rano coś się jeszcze dzieje. Są jeszcze momenty ciszy i spokój tam i w nas samych. Można dojrzeć otwarty właz do kanału, sypułkę... Nie porusza się tak miękkim jak Kot i po tych przeprowadzkach zdarza mi się zmieniać szkło żarówki. To są dni czytania Dygata i Szekspira. On to bardzo lubi. Z czasopism wyróżnia „Politykę” i „Forum”. Dawniej i „Perspektywy”, ale teraz ledwo je toleruje. Odkryłam coś dziwnego — rumieni się, gdy przypadkiem zobaczy zdjęcie roznieglowanej panienci z okładki „Forum”. Spuszcza nawet oczy. Zastanawiam się... Tak, na pewno jest w tym sporo poży. Wiemy o tym oboje — i on wie, że ja wiem — milcząca zgoda.

LIST IV

Wie Pan, co to jest młodsze rodzeństwo? Różnie się to

kie, że gęsta korona nie zatrzymuje ich, nie stanowi przeszkody. Spadają mi na głowę i ramiona, płyną po twarzy jeszcze grubiejsze, cięższe. Włosy mam miedziane od wody. Przy najłżejszym poruszeniu głowa w gęście zaprzeczona kropie spływają mi na szyję. Chłodne, nie zimne. Więc poruszam głowę i chlonę to chwilę. Świeci słońce, zapach lipy — mokra jak nieszczęście (oto ma Pan slogan) przeżywa szczęśliwą chwilę autentyczności.

Dawno temu przeżyłam coś podobnego. Też była ciecia, ale nie ja mokłam i nie o to też chodziło. Koleżanka, mała skarżypytka z warkoczkami miała oisniewającą biały kolmierzyk i moją bijatykę z chłopakami na końcu języka. Spokojnie i metodycznie obalałam ją atramentem z pojemnego kalamarza. Przed tym wycyznem byłam zdziwiona, że wpadło mi to do głowy, po — że realizowałam pomysły. W międzyczasie byłam autentyczna. Pan chyba zawsze jest autentyczny. Szczęściarzem z Pana. Mnie się to zaledwie zdarza. Coraz częściej... Przesztaje odczuwać gład nowych scen. Wprowadzam zaskoczenie... Pan jest moją najważniejszą sceną. A ja? Dalejzego dał mi Pan imię Persja i o moich pociągach mówił ktoś wymyślony? Dlaczego zabrał Pan sobie moje obrazy z przed-sennych gonitw myśli? To ma być fikcja literacka?... Jeżeli to tylko fikcja... Jeżeli można wymyślać mnie, jeżeli można mnie stworzyć... Ale niech Pan uważa. Dałam dziś ogłoszenie. Poszukuję wszystkich, którzy odnaleźli się u Cortazara. Zgłoszenia mają napływać na hasło „Manipulacja” lub telefonicznie. Jest popołudnie, a ogłoszenie było w porannej prasie. Tak... Właśnie dzwoni telefon...

„Pieśń o spustoszeniu Podola” posłużyła jej do rozważań nad zjawiskiem kanibalizmu wśród nierządnic, co podparła cytata „...a nas nierządnie, ach nierządnie jedzą”. Czy lubi Pan drób? Bo ona przepada, o ile ją da się go w domu nie utrudniają nozem i widelcem. Wyznała mi to, gdy wracając z kina zatrzymałam się przy małym czerwonym fiacie, w środku którego miotała się biała kura. Okna zamknięte, uderza beśzelnie skrzydłami o szyby... Lubię ranki — słońca mniej. Powód prosty — ona musi wstawać, a ja chcę. Rano coś się jeszcze dzieje. Są jeszcze momenty ciszy i spokój tam i w nas samych. Można dojrzeć otwarty właz do kanału, sypułkę... Nie porusza się tak miękkim jak Kot i po tych przeprowadzkach zdarza mi się zmieniać szkło żarówki. To są dni czytania Dygata i Szekspira. On to bardzo lubi. Z czasopism wyróżnia „Politykę” i „Forum”. Dawniej i „Perspektywy”, ale teraz ledwo je toleruje. Odkryłam coś dziwnego — rumieni się, gdy przypadkiem zobaczy zdjęcie roznieglowanej panienci z okładki „Forum”. Spuszcza nawet oczy. Zastanawiam się... Tak, na pewno jest w tym sporo poży. Wiemy o tym oboje — i on wie, że ja wiem — milcząca zgoda.

„Pieśń o spustoszeniu Podola” posłużyła jej do rozważań nad zjawiskiem kanibalizmu wśród nierządnic, co podparła cytata „...a nas nierządnie, ach nierządnie jedzą”. Czy lubi Pan drób? Bo ona przepada, o ile ją da się go w domu nie utrudniają nozem i widelcem. Wyznała mi to, gdy wracając z kina zatrzymałam się przy małym czerwonym fiacie, w środku którego miotała się biała kura. Okna zamknięte, uderza beśzelnie skrzydłami o szyby... Lubię ranki — słońca mniej. Powód prosty — ona musi wstawać, a ja chcę. Rano coś się jeszcze dzieje. Są jeszcze momenty ciszy i spokój tam i w nas samych. Można dojrzeć otwarty właz do kanału, sypułkę... Nie porusza się tak miękkim jak Kot i po tych przeprowadzkach zdarza mi się zmieniać szkło żarówki. To są dni czytania Dygata i Szekspira. On to bardzo lubi. Z czasopism wyróżnia „Politykę” i „Forum”. Dawniej i „Perspektywy”, ale teraz ledwo je toleruje. Odkryłam coś dziwnego — rumieni się, gdy przypadkiem zobaczy zdjęcie roznieglowanej panienci z okładki „Forum”. Spuszcza nawet oczy. Zastanawiam się... Tak, na pewno jest w tym sporo poży. Wiemy o tym oboje — i on wie, że ja wiem — milcząca zgoda.

LIST V

Kto to wymyślił, że bardziej godne utrwalenia jest bohaterstwo, śmierć za Ojczyznę, piramidy — niż wszechogarniająca radość z deszczu w czerwcu? Pamiętam —

Czekałam na taksówkę, gdy lunęło. Próbowałam ukryć się pod lipą. Ten nasz plac jest naprawdę sympatyczny, gdy mamy czas. Lipa już kwitła... Ciepły zapach, kropki tak cięż-

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO-OBYCZAJOWA

DZIWOTWÓR NA KAMPAMENCIE

Słynne manewry, zwane z łacińska kampamentem, urządził August II Sas po raz pierwszy na brzegach Elby w okolicach Milberga w czerwcu 1730 r. Zjechał się zaproszeni goście z całej Europy, a wśród nich niemal wszyscy polscy senatorowie. Wśród przegladów wojsk, parad i ówczesnych rycerskich biesiadowano hucznie i weselo, na jeden zaś traktament dla strudzonego żołnierza było 80 wólow, przed każdym regimenciem wieszano ctery ćwierci woty, a każdemu żołnierzowi dawano trzy stopy piwa miary saskiej i dwa stopy wina.

„Tęgod dnia — pisał Jakub Kazimierz Rubinowski, rajca i postmagister toruński, relacjonując w 1742 r. przebieg kampamentu — przywieziono na wozie 10 łokci szerokim, w osiem koni zaprzężonym strudel takiej wielkości, jakiej podobno świat nie miał nigdy. Na ten chleb w piecu umyślnie nań wystawionym upieczony, wyszło półtora sta korcy mąki berlińskiej miary, jej kop 82, dwie beczki mleka, beczka masła i beczka drożdży, było go zatem wzdłuż łokci 6, grubość we środku pół łokcia przeszła. Gdy prątomne państwo temu obrządkowi między chlebem z smiechem się przypatrywało, kazał go król Jegomość przy gościach krajać, wyszedł zatem in medium (na środek) architekt z cedią, który miał nóż trykocikowy, s rekołecią zakrzywioną, tę na ramię złożony, tak wielką we środku kukielki owej wyrznął za rozkazem architekta dziurę, że w niej commode (wygodnie) stanął, dopiero ze środka, wedle wymiaru (pomiaru) architekta wzdłuż i w poprzek tymże ją krajał nożem, że materia superabat opus (dzieło przewyższło materiał), w tej stygnący ten był chleb, że go tylko prima nota (znamiennym) ludziom rozdawano pro speciali (jako osobliwość), i ci go tylko kosztowali, którzy chleba nie głodni byli.”

O PLESZCE

Pleszka w amaczny paniencie kasek ugodziła, A przez włosiany guik w brzeg ją zakasila. Cruje, że gonić miłano, kes niżej uskokczy. Panienska ją namaca, chocia ciemno w noocy. Wnet jej łamże haniebną zaraz śmierć zadala, Któręj Wenus nagrobek taki napisała: „Tu leży pleszka, nędznie tak zamordowana, A jest mogiła wyżej, w której pochowana.” Adam Władysław (XVI/XVII w.)

POSZUKIWACZE SKARBÓW

Oto, w jakich nadzwyczajnych opalach znalazł się pewien przemysłowy pleban, pragnący ukryć najcenniejsze z posiadanych precjozów przed zuchannoscia rabusiozów.

Wiem zaś to (Wspominał pamiętnikarz Stanisław Morawski), że za Kościuszki, kiedy go na wsi w plebani czy w beneficjum jego napadli kozacy i zrabowali do szczętu, Włazewicz ostatnia już rzecz, która mu była została, bogaty pierścień, chroniąc przed okiem rabusiozów, do gęby włożył. Tymczasem kozak jeden, wystąpiwszy z tłumy i nie podejrzewając zgola księżego fortelu, wpadł na niego samego, żeby go obedrzeć, i wszystkie obrewidował kieszenie. Zajęto mu to nieco czasu, a nie znalazł nic. Rycerz rozgniewany, że się darmo trudził, powiedziałszy wiadomy juron, którego ciągle używają Rosjanie, mszcząc się za swą daremną fatygę, uderzył Włazewicza w twarz niespodzianie. Aż tu mu z gęby na ziemię drogi pierścień wyleciał... Jakże to zobaczyli kozacy, myśląc i wierząc nalwnie, bo do tego zmierzła ta powiastka, że gęba Włazewicza jest magazynem drogich pierścieni, obstarpił go w kółko jak Amerykanie Kolumba i nuż mu wkładać palec do gęby. Ale nie znajdując niczego, posłuchali rady starego asaury, żeby użyć pierwszego sposobu. Zaczęli go tedy, na szczęście każdego z nich, kolejką tuc po twarzy i ciągle pilnowali i oglądali, co z tej gęby wyleci. Wylatywały, niestety, ale wylatywały tylko jeden po drugim wszystkie tego nieboraka zęby.

Z EPIGRAMATÓW OWENA

Mało dziś znany poeta angielski John Owen (1568—1622) pozostawił po sobie kilkadziesiąt epigramatów, chętnie przed laty przekładanych na różne języki. W Polsce do grona tłumaczy poezji Owena zaliczali się J. A. Żaluzki, Minasowicz i Książmin. Fabian Teodor Turkowski ogłosił w dwóch tomach „Jana Owena Anglika Epigrammata zabawne, panegiryczne i moralne” (Warszawa 1773), zaś pisarz grodzki województwa brzeskiego Feliks Chrzanowski „Epigrammata wybrane Jana Owena poety angielskiego w późniejszym tłumaczeniu opuszczone” (Warszawa 1790). Spośród przekładów Chrzanowskiego wybieram trzy epigramaty gwoli uciecie miłośników literatury:

Na Kamille

Kamilla zywota dwóch amantów miała, Z których jeden był piękny, lecz małego ciała. Drugi zaś był niepiękny lecz wzrostu wielkiego. Spytała panna, z tych dwóch chciałaby którego? Rzecz nieraz na okiem i na barki długie, Na takież nos, golenie, rzeczy drugie. Odpowie, czy wstydiłwie, czy więcej wymownie: „Wolę tego długiego, gdy wszystko jest równie.”

Na Teodorze

Z wieku lat siedmiesiąt, król Dawid, przyczynny. Dla rozgrzania się pięknej używał dziewczynny. Ty chęć być Dawidowi podobny w tej porze, Stary pojajesz młodą żonę, Teodorze.

Na kobietę napisał ktoś

Co jest gorszym nad żniją? Tyrgys. A nad niego? Bies. Nad biesza? Kobieta. Nad tę? Nic gorszego.

O DŁUGOWIECZNOŚCI

Płast miał żyć lat 120, Paweł Sapieha wojewoda nowogrodzki lat 110, Genady Denhoff 130, Stanisław Dobrzelewski podstarosta sieradzki, 120 lat mając, Diechota chodził do kościoła, Mieliszko, ezlachcie piński, mając lat 100, zanotował w swym pamiętniku, że matka jego żyła lat 130, babka zaś 140, Wolowska, lat 123 licząc, codziennie ćwierć miły do Krakowa na targ chodziła, Iwanowska, doszedłszy do 156 lat, umarła dopiero ze strachu podczas obłożenia Torunia przez Szwedów, w Kościele pwna kucharka liczyła 108 lat, wybornie na senatorskie stoły gotowała, Napoleonowi przedstawiono szlachcica liczącego 114 lat, który pamiętał Jana III.

„Kurier Warszawski” 1864, nr 162

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że myśli napisania przez Mariana Brandysa interesującej książki o znakomitym kawalerzyste, bohaterze spod Somosierry — pułkowniku Janie Kozietulskim — narodziła się w Krośniewicach. Mowa tu o powieści wspomnianego autora pt. „Kozietulski i inni” (pierwsze wydanie ukazało się w roku 1967).

„Tytułowy bohater tej książki — pułkownik Jan Leon Hippolit Kozietulski — objawił mi się jako jednostka psychologiczna i uwarunkowana społecznie dopiero przed paru laty. Stało się to w Krośniewicach pod Kutnem, w gościnnym mieszkaniu-muzeum pana Jerzego Dunin-Borkowskiego, właściciela słynnych na cały

retoryczną w trwającym od wieku sporze o „kozietulszczyznę” — postacią jednego gestu z batalistycznych płócien Janausza Suchodolskiego i z wierszy Teofila Lenartowicza”. Dlatego, kiedy gospodarz krośniewickiego mieszkaniamuzeum położył przed Marianem Brandysem na stole pięć zielonych teczek z zachowaną korespondencją prywatną Jana Kozietulskiego i zaproponował mu wykorzystanie materiałów w nich zawartych do celów literackich, pierwszym odruchem pisarza było — jak podaje — „zdumienie graniczące z przestraszeniem”. Przyznaje on bowiem, że nie miał najmniejszej ochoty pisać o tym oficerze czasów napoleońskich i Królestwa Polskiego oraz narażać się na podwójny ostrzał — ze

wanie na światło dzienne prywatnych spraw Kozietulskiego — znakomitego szwoleżera — wydawało się początkowo pisarzowi niecelowym i niepotrzebnym „szarganiem świętości”.

Silniejsza od oporów wewnętrznych Brandysa okazała się jednak tajemna pokusa tkwiąca w krośniewickich zielonych teczkach. Rozpoczął studiowanie dokumentów stanowiących zawartość teczek. Było ich sporo — kilkadziesiąt listów Kozietulskiego z lat 1807 — 1812, pisanych przeważnie do siostry Klementyny Wallickiej, mieszkającej w Małej Wsi pod Grójcem, korespondencja otrzymywana w tym samym czasie przez naszego dzielnego szwoleżera od różnych osób, często bardzo znanych; rękopis

Tajemnice pięciu zielonych teczek

kraj abiorów historycznych” — stwierdza Marian Brandys we wstępnej części swej pracy. Do owej wizyty w Krośniewicach dowódca szarży somosierrskiej był dla pisarza „tylko figurą

strony zwolenników i przeciwników kozietulszczyzny. Poza tym Brandysa odświeżyła archiwalia sprzed półtora wieku, nie tknięte jeszcze ręką zawodowego historyka. Wydobycie

pracy pt. „Przepisy jeżdżenia na koniu i robienia pałasem i lanca dla lekkiej kawalerii” oraz trochę papierów z okresu Królestwa Polskiego.

Brandys stwierdza, że w miarę przebijania się przez staroświecką, nie zawsze łatwą do odczytania francuszczyznę Kozietulskiego, jego skrupuły nikły, a zakłopotanie ustępowało miejsca rozkosznej emocji. Odnajdywał w listach nazwiska starych znajomych z powieści historycznych Wacława Gasińskiego: „Huragan” i „Szwolekarstwo Gwardii”. Dowiadywał się z listów o bojach i trudach marszowych szwoleżerów. Pożółkłe kartki papieru zapisane przez żołnierza napoleońskiej, żywo przemawiające swą treścią do wyobraźni i uczuć dzisiejszego czytelnika, sprawiają, że „malowany szwoleżer z obrazka zmienia się w żywego człowieka z krwi i kości — bliskiego nam, zrozumiałego, niekiedy zadziwiająco współczesnego”.

Pisząc historyczną powieść o Kozietulskim, Brandys każdą informację wspaniałego szwoleżera konfrontował z relacjami dawnych pamiętnikarzy, z wiadomościami ze starych gazet i sądami historyków. Łuki w materiałach krośniewickich, pisarz uzupełnił innymi dokumentami z czasów napoleońskich i Królestwa Polskiego, tworząc interesującą książkę o dramatycznych losach bohatera, spod Somosierry, związanego swym życiem i pobytom z wieloma miejscowościami Polski środkowej.

HENRYK SZUBERT



Numery widzieć czyli sennik ludowy i egipski

Nie trzeba studiować teorii Freuda, nie trzeba zastanawiać się, co też może znaczyć, że przysnił nam się arcybiskup! Wychodząc naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu WGPIP w Szczecinie (a propos, co to jest WGPIP?) opublikował narazie sennik, w dwóch niedużych broszurach.

Oprócz naturalnego pożytku wynikającego z nabycia sennika — czyli porannego sprawdzenia co też oznacza marzenie sennie z ostatniej nocy, sama lektura sennika dostarcza miłych wrażeń, uczy i bawi. Oto np. zestaw snów dotyczących sfery finansowej — myślę, że powinna być to codzienna lektura ministra Nieckarza i Kraszińskiego, a także profesora Baki. Oto przykłady: Gruczoły jeść — bogactwo, Gospodarstwo mieć — miła wiadomość (pewnie!), Banknoty otrzymywać — strata w interesie (dziwne?), Kominy — zamożność (widocznie chodzi o kominy zarobkowe), Arcybiskup — zwiększy się majątek.

Ciekawe — być może jest to niedopatrzenie autora i wydawcy — że nie ma wcale hasła „Biskup” — co może oznaczać nieporozumienia. Czy ateista aby bez pudła odróżni, czy śniący mu się wysokiej rangi

duchowny jest biskupem, czy arcybiskupem?

Wiele hasel ma brzmienie pozytywne i mądrych sentencji. Baba, widzieć ją — nieporozumienie w małżeństwie. Asa trzymać — krótka radość (sic!), Araba śnić — długa choroba (zdarza się, zdarza). Podwiązki zgubić — rozwód w małżeństwie, Młójca — smutnienie i kara, Ropucha — nieprzyjazna sąsiadka, Bęben, bebnąć — awantura w rodzinie Dzieci — kłopot.

Do niezrozumiałych hasel, o bok wymienionego arcybiskupa, należy niestety, również kilka innych. Rabina widzieć — szczęście, Zaczynam mieć wątpliwość. Czy aby arcybiskup i rabin działają jednakowo pozytywnie bez względu na wyznaczenie śpiącego?

Inny przykład: Gruczoły — nieszczęśliwy wypadek. Jakże gruczoły? Jak wiadomo, mamy w organizmie najróżniejsze gruczoły, niektóre kłopotliwe, inne, wręcz przeciwnie, raczej sympatyczne. I niech mi ktoś powie jak wyglądają naprawdę gruczoły, bo nie wiem. Narazam się w ten sposób na utratę szansy uniknięcia nieszczyśliwego wypadku...

Wyodrębnić można również hasła, które najogólniej nazwałbym „bieszadnymi”:

Haftować — być w dobranym towarzystwie, Mazur tańiec — wesołość, Fijolki wjechać — przyjemne towarzystwo, Firanki wieszać — przybycie gości...

Trzeba jednak przyznać, że ogromna większość hasel oznacza różne choroby, kłopoty, straty i niepowodzenia. Autor, czy autorzy sennika nie należeli do optymistów...

Jeszcze dwa hasła: Sennik — popielniasz głupstwo, oraz Numery widzieć — złudzenie wygranej.

Obydwie broszurki kończą się tekstem: „...kto chce, niech wierzy, grający na loterii wierzy, że wygra. Coś w tym jest, że sny się sprawdzają”.

Tak. Każda z broszurek kosztuje 30 zł. Kto kupi, zgodnie z przytoczonym hasłem popielniasz głupstwo, widzimy te numery i nie mamy złudzenia wygranej. Ale wydawcom zapewne śni się arcybiskup...

KAROL

Sennik. Zestaw hasel zaczerpnięty ze zbioru sennika ludowego i egipskiego. Cz. 1 — 16 str., Cz. 2 — 16 str., cena każdej części — 30 zł. Wydawca: WGPIP Szczecin.

Z półki recenzenta

DZIECI ANNY

Jest to kontynuacja wydanego przed dwoma laty „Małżeństwa Anny”. Ale realia tej powieści są już nam współczesne, są historią losów ludzi i tych w kraju i tych wracających z emigracji na Zachodzie. Tak więc mamy wczesne lata pięćdziesiąte, polskie „polowanie na czarownicę”, październik 1956, stabilizacja, postawy moralne, oceny i wartościowania, wreszcie wybór jedyni i ostateczny, który, jak w całym piarstwie Dobraczyńskiego, jest związany z filozofią chrześcijańską, z wiarą.

Ta książka — znów jak u Dobraczyńskiego — posiada gębszą wymowę, dotyka spraw zupełnie nam bliskich i wręcz sensacyjno-dramatycznych. Ale o tym już w książce.

Jan Dobraczyński: Dzieci Anny IW „PAX” 1933 r. Str. 244. Cena 200 zł.

KRONIKA GETTA WARSZAWSKIEGO

Ostatnio obrodziły nam pamiętniki. To dobre. Są one zapisem czasu, który minął.

Dziś będzie o „Kronice getta warszawskiego” Emanuela Ringelbluma, archiwisty podziemnego archiwum w getcie warszawskim i jednocześnie historyka dziejów Żydów w Polsce.

Lektura pamiętnika Ringelbluma jest wstrząsająca nie tylko ze względu na skapę wiadomości o tym, co działo się za murami dzielnicą dwa światy: aryjski i żydowski. Jest to także odkrywanie prawdy o Żydach: smutnej, tragicznej, wstrząsającej ale także i okrutnej, mówiącej o Żydach jakimi byli naprawdę, a nie tylko jakimi stworzyła ich powojenna legenda.

Przekład z języka jidysz: Adam Rutkowski.

Emanuel Ringelblum: Pamiętnik getta warszawskiego. Czytelnik 1983 r. Str. 642. Cena 350 zł.

TAKA PIĘKNA ŻALOBA

Bohumil Hrabal jest u nas znany przede wszystkim jako autor minipowieści pt. „Pociągi pod specjalnym nadzorem”, która doczekała się ekranizacji. Jak wszystkie jego książki ta, którą prezentujemy Czytelnikom, została nasycona specyficzną narracją, niecodziennych zdarzeń, osobliwych przypadków kształtujących psychikę i osobowość młodego człowieka, którym był autor. Jest to więc powrót do dzieciństwa, powrót dożalnego człowieka patrzącego na siebie z melancholią, ale bez specjalnego rozczulania się.

Powieść ukazała się w cyklu „Współczesna Proza Światowa” w przekładzie Andrzeja Czcibor-Piotrowskiego.

Bohumil Hrabal: Taka piękna żaloba. PIW 1983 r. Str. 208. Cena 150 zł.

Miodrag Bulatović: Tyrania. PIW 1983 r. Str. 116. Cena 60 zł.

TYRANIA

Miodrag Bulatović na dobre zadamował się w Polsce: co raz to na rynku księgarskim pojawia się ktoś z jego powieści. Teraz dla odmiany wydano „Tyranię”, jedno z opowiadań zawartych w tomie „Diabły nadchodzą”, który przyniósł mu tyleż słów zachwytu od czytelników co i obelg od krytyki. Ale czas przyznał rację Bulatovićowi.

„Tyrania” jest jednym z wcześniejszych utworów jugosłowiańskiego pisarza, ale jest w niej to wszystko, co jest tak charakterystyczne dla twórczości autora znanego u nas m.in. z takich książek jak: „Bohater na osie”, „Ludzie o czterech palcach” i „Czerwony kogut leci wprost do nieba”.

Przekład Danuty Cirić-Straszynskiej.

„LEŚNIK” KUNCEWICZOWEJ

Jak sama autorka wspomina, miało to być wpraw opowiadanie lub rozszerzona powieść. Pierwszy rozdział powstał w 1939 r., ostatni już po wojnie. Powieść dość szybko została przetłumaczona na angielski i zyskała przychylny zarówn tamtejszej krytyki jak i czytelników.

A przecież jest to książka niełatwa: drażnienie ludzkiej postaw, sięganie w głąb ich psychiki, ukazywanie ludzi na tle doniosłych zdarzeń (a takim było niewątpliwie Powstanie Styczniowe), dramaty jakim ulegają, wątpliwość od których nie zawsze potrafia się uwolnić. A przy tym specyficzny język polskich kresów (Kuncewiczowa jest mistrzynią w tym względzie) tworzą niepowtarzalny klimat tej przeuroczej książki.

Marla Kuncewiczowa: Leśnik. IW „PAX” 1983 r. Str. 140. Cena 120 zł.

Dokończenie ze str. 1

IV. TEORIA

Z teorią też nie było najlepiej. Np. egzamin z soflezu u doc. Flisa to bardzo poważny sprawdzian słuchu i pamięci muzycznej kandydata na śpiewaka. Tu nie się nie ukryje. Odpadał na tym egzaminie Janusz Marciniaś.

Tem ty do egzaminów ustnych były wcześniej podane, wystarczyło je solidnie opracować. W tematach egzaminu pisemnego znalazło się „Moniuszko i jego utwory” oraz problem: „Jakie warunki powinien spełniać artysta śpiewak we współczesnym teatrze”. No właśnie — jakie? Bardzo jestem ciekawy co napisali tegoroczni kandydaci na śpiewaków?

V. WYBRAŃCY

Obowiązywał system punktacyjny. Wysokie notowanie z pierwszego egzaminu (wokalnego) decydowało o pozycji kandydata, przysądzało o jego powodzeniu w dalszych etapach. Ostatnie obliczenia i lista wybrańców jest gotowa: PIOTR MICIŃSKI, SŁAWOMIR CZARNECKI, MAŁGORZATA DŁUGOSZ, WOJCIECH GRZELAK, DARIUSZ STACHURA to zdecydowana czołówka tegorocznych egzaminów. W dalszej kolejności (tyg punktacji) ELŻBIETA KOWALCZYK, MAŁGORZATA TANUZA, VIOLETTA RUTKOWSKA, ANNA DZIOŃEK, MAŁGORZATA RADWAŃSKA I PAWEŁ LEWIŃSKI.

Za nimi pierwszy bój, pierwszy sukces i wiara we własne siły. Przed nimi długie lata trudnych studiów, podczas których wszystko może się jeszcze zdarzyć.

VI. „NIE JESTEM OBJAWIENIEM...”

Co myśli i czuje, tuż po ogłoszeniu wyników, szczęśliwy wybrańca komisji i losu?

Rozmawiam z Wojciechem Grzelekiem (baryton), który był jednym z bohaterów tegorocznych egzaminów. Wyróżnił się nie tylko pięknym głosem, ale umiejętnością aktorskimi i wyjątkowym wprost utanczeniem.

— Gratuluje indeksu studenta I roku Wydziału Wokalno-Aktorskiego AM. Proszę powiedzieć — jak rozumie pan wybraną dziedzinę sztuki — wokalistykę?

— Aby być dobrym wokalistą, trzeba przede wszystkim kochać ten zawód, ale nie ograniczać się tylko do wąskiej specjalizacji, w tym wypadku śpiewu. Należy patrzeć szerzej, odwiedzać teatry dramatyczne i podglądać grę aktorów. Istotną sprawą jest odporność psychiczna, bo zawód śpiewaka to nie tylko same wloty i sukcesy, ale i momenty, w których miewa załamania i stresy. Bezpośredni kontakt ze sceną zawodową miałem przez rok jako chórzysta Teatru Muzycznego w Łodzi.

— Czyli, co powinien wiedzieć każdy kandydat na śpiewaka?

— Przede wszystkim powinien znać odpowiedź na pytanie — co chce osiągnąć w zawodzie śpiewaka, do czego w nim będzie dążył i czy sprosta wszystkim wymaganiom, które w tym zawodzie przestrzegane są z wielką ostrością. Na egzaminach wstępnych zauważyłem, że od kandydatów wymaga się świetnego, zdrowego materiału głosowego, dobrze zaśpiewanej arii lub pieśni, słuchu muzycznego. Pedagodzy wołają surowe głosy od tych pieczołowicie wyszkolonych w średnich szkołach muzycznych. Może więc lepiej zrobić, że nie rozpocząłem edukacji muzyczno-wokalnej od szkół niższego stopnia.

— No i osiągnął pan swój pierwszy tak poważny sukces życiowy?

— Uważam, że do sukcesu doszedłem całoroczną ciężką pracą pod kierunkiem takiego fachowca od prowadzenia głosów jakim jest Roman Werliński. Pedagog ten potrafił ze śpiewającego otwartym głosem tenora zrobić barytona w połowie postawionego. Jestem świadomy tego, że nie jestem objawieniem, że przede mną wielka praca. Wiele cennych wskazówek udzieliła mi także prof. Halina Romanowska. Cieszę się, że nie zawiodłem tych ludzi, którzy we mnie uwierzyli. W przyszłości chciałbym udowodnić, że jestem dobrym śpiewakiem.

— Kto pierwszy odkrył pana głos?

— W szkole podstawowej zauważono, że jestem muzykalny, co wykorzystano angażując mnie do chóru, podobnie było w liceum.

— Przed panem 6-letnie studia. Jest pan na wszystko przygotowany?

— Tak. Teraz nie boję się niczego i dołożę wszelkich starań, aby pedagogzy, którzy uwierzyli we mnie na egzaminach wstępnych nie zawiedli się podczas studiów.

— Czy wybrał pan już swego przyszłego pedagoga?

— Bardzo chciałbym pracować pod kierunkiem Zdzisława Krzywickiego, który słynie ze znakomitego prowadzenia barytonów.

VII. OPINIE PEDAGOGÓW

A co sądzi o tegorocznych talentach, o studiach wokalnych, o zawodzie śpiewaka dziekan Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Łodzi, doc. Adam Duliński, który jest również czynnym śpiewakiem-solistą Teatru Wielkiego w Łodzi i pedagogiem, w którego klasie kształcą się sopran, mezzosopran, tenorzy i jeden baryton? W środowisku muzycznym Adam Duliński słynie ze szczególnych zdolności organizacyjnych, jest znawcą głosów, prawdziwych talentów i wspaniałym ich opiekunem.

W rozmowie z dziekanem Dulińskim uczestniczyła również Halina Romanowska, znakomita sopranistka, gwiazda Teatru Wielkiego w Łodzi, od 6 lat jeden z najbardziej cenionych pedagogów łódzkiej uczelni, specjalistka od kształcenia głosów sopranowych.

— Jaką sztuką jest wokalistyka?

— Trudna i wszechstronna w znaczeniu predyspozycji psychicznych, fizycznych, głosowych (wrodzonych), dużej muzykalności, wrażliwości artystycznej. Bez tych wszystkich elementów nie ma prawdziwego artysty.

— Dziś patrzy pan na tę sztukę jako śpiewak, pedagog, dziekan Wydziału Wokalno-Aktorskiego. Te spojrzenia artysty i fachowca są jednakowe, czy też różnią się między sobą w sterze ocen i stosowanych w nich kryteriów?

— Jako dziekan mam nietatwe zadanie, bo jestem śpiewakiem, łatwiej mi więc zrozumieć i pomóc studentom w prawidłowym rozwoju uzdolnień. Stanowisko dziekana rozszerza moją obiektywność spojrzenia, bo jako pedagog na uczelni zawiązywałbym się tylko do swojej klasy. A tak interesuje się ponad 50 studentami, dla wszystkich muszę być prawdziwym opiekunem. Studenti ze swojej strony mają o tyle utrudnione zadanie, że mnie trudno oszukać, bowiem dobrze wiem czy student może czy nie może w danym okresie śpiewać. Jako pedagog dodam, że do każdego studenta trzeba stosować inne metody. Wrażliwość artystyczna jest u ludzi bardzo różna, kryteria też muszą być oddzielne.

— Czym powinien dysponować kandydat na śpiewaka?

JAK ZOSTAĆ ŚPIEWAKIEM

Czekając na piękne głosy

— Przede wszystkim głosem, słuchem muzycznym, wrażliwością artystyczną, muzykalnością, predyspozycjami aktorskimi, nienagannym zdrowiem, sprawnością fizyczną, dużą odpornością psychiczną. Musi bardzo chcieć śpiewać, mieć w sobie żarliwość, pasję, zaangażowanie w tym co robi, nie powinien kłaść się niepowodzeniem.

— Jakimi cechami dysponowali tegoroczni kandydaci?

— Poziom był dość zróżnicowany, od bardzo dobrych głosów do przeciętnych. Mężczyźni sprawdzili się lepiej niż kobiety. Nie najgorsze było przygotowanie muzyczne. Strona wizualna bez większych zastrzeżeń. Natomiast różnie było z przygotowaniem wokalnemu do egzaminu. Często były wykonywane bardzo trudne utwory, które przetrastały możliwości głosowe niektórych kandydatów.

— Miał jakis szczególne study?

— U chłopców zauważalna była wyjątkowo dobra aparycja połączone z dobrym głosem i już zauważalne predyspozycje do zawodu śpiewaka. Mielimy też bardzo ładne dziewczęta z tzw. sceniczną urodą. Do tej pory zdarzało się niezbyt często, aby uroda była połączona z głosem. Czekaliśmy na duży sopran dramatyczny, Violetta Rutkowska ma obecnie krótko-spięto, ale w przyszłości kto wie?

— A skazy kandydatów?

— Wady wymowy, na które jesteśmy szczególnie uczuleni, zdecydowały w tej sprawie pedagog wymowy i lekarz-foniatra. Przyszli do nas ludzie, którzy pomylili nasz wydział z wydziałem piosenkarstwa w Katowicach. Nie kształcimy w Łodzi piosenkarzy.

Halina Romanowska: — W dobranym przez kandydatów repertuarze nie widać często, jaką dysponują skalą głosu. Badamy więc skalę i zdarzają się tak mile niespodzianki jak w przypadku Elżbiety Kowalczyk, która zaśpiewała „fis”. Niestety, niektórzy kandydaci zbyt późno przygotowują się do egzaminów, wychodzi przeformowanie głosu, stresy. Ponadto łatwiej byłoby nam przekonać się o zdolnościach kandydatów, gdyby istniał rok zerowy. Byłby czas na sprawdzenie i mniej byłoby pomyłek, ale pomyślną prognozę na przyszłość stanowi fakt, że ten temat jest już we wstępnym omówieniu.

— Jakich głosów poszukujecie?

Adam Duliński: — Oczywiście sopranów dramatycznych, od lat nie mamy takiego głosu, podobnie jest z tenorami bohaterскими. Przeważają sopran liryczne. Powinien być na wydziale typowy zestaw głosów wszystkich gatunków, aby każda była wystawiać przedstawienia szkolne.

— Zdarzały się wielkie talenty wokalne?

— Nie było objawień w ostatnich latach. Może spośród tych absolwentów, którzy ukończyli studia z wyróżnieniem usłyszymy kogoś za 10 lat na europejskich scenach? Nasi dyplomanci śpiewają nie tylko w kraju, ale i za granicą. Tylko od nich samych zależy jak potoczy się ich kariera, bo od nas otrzymali solidne przygotowanie.

— Wróćmy do tych, którzy marzą, aby dostać się do Akademii Muzycznej w Łodzi. Zdają po raz drugi, trzeci, a nie posiadają predyspozycji, nie mówiąc już o talencie. Nie staracie się im wyłumaczyć mylności sądów na własny temat?

— Nikomu nie odbieramy szansy, przez rok można się solidnie przygotować i zrobić postępy. Jeżeli kandydat nie zwraca się do mnie z prośbą o wydanie opinii na swój temat — nie ingeruję w jego poczynania i starania. W tym roku zgłosiły się dwie osoby, którym powiedziałem, aby jeszcze się pouczyły i spróbowały za rok.

Halina Romanowska: — Nie jestem w stanie po jednym przesłuchaniu wydać wyroku — czy ktoś powinien czy nie powinien zdawać do tej uczelni. W trakcie pracy może się zdarzyć, że głos udaje się wydobyc i uszlachetnić. Jednak zainteresowani nie pytają nas, nie proszą o ocenę, a wystarczy tylko przyjść do nas.

— Zauważyłem, że wolicie głosy nie szkolone, świeże, prawie surowe?

— Egzamin na Wydział Wokalno-Aktorski jest na zasadzie

konkursu, a nie dyplomu ze szkoły średniej. Tak również bywa podczas przesłuchań do teatru. Inaczej ma się rzecz na Wydziale Instrumentalnym, gdzie uczy ci sami pedagogzy co w szkołach średnich i sami przygotowują sobie kandydatów. Przykładowo po dyplomie wokalnemu w średniej szkole muzycznej zdaje do nas 7 osób, z których przyjmujemy jedną! Ci ludzie mają już zawody i mogą pracować w teatrach, które nie wymagają dyplomów wyższych studiów i nie sprawdzają ocen na świadectwie. Po prostu trzeba stanąć i zaśpiewać.

— W swych dianozach opieracie się tylko na własnym słuchu i doświadczeniu?

— Każdy słyszy inaczej. Przy głosie przeciętnym widzi się bardzo różnie jego przydatność do zawodu. W wyjątkowych wypadkach oceny są zbliżone. Czasami 10 osób ocenia pozytywnie, a jedna na — nie.

Adam Duliński: — Opieramy się na własnych sądach przy wzajemnym do siebie zaufaniu. Nie odwołujemy się do innych autorytetów, bo to my nimi jesteśmy i powinniśmy właściwie oceniać.

— Podobno na IV-V roku zdarzają się tragedie, załamania wśród tak pracowicie szkolonych głosów?

— Zdarzają się, bo do błędów studentów przynajmniej się. Po każdym egzaminie zwracamy uwagę śpiewakowi co się nam nie podoba. Ale nie wszystko zależy wyłącznie od pedagogów, sami studenci też powinni włożyć pracę we własny rozwój. Na V roku występuje największy stopień trudności, śpiewa się oratoria, cykl pieśni, przedstawienia. Na VI roku student pisze pracę magisterską i przygotowuje recital. Jeżeli student widzi, że jego rozwój postępuje zbyt wolno, może przenieść się do innego pedagoga. Bywają takie przypadki, że sami studenci wymagają takich rzeczy od pedagogów, które przetrastają ich możliwości.

Halina Romanowska: — Znam przypadek studentki, która chciała zmienić swój tembre głosu, którego przecież nie można zmienić, bo to sprawa wrodzona.

— Czy wszyscy absolwenci naszej uczelni znajdują pracę w teatrach?

— Nie wszyscy i wielu nie nadaje się do pracy w teatrach muzycznych. Przygotowujemy śpiewaków dla oper, operetek, film-harmonii, oper kameralnych i na estradę. Każdy powinien znaleźć swoje właściwe miejsce, ale wiadomo, że każdy chce śpiewać w operze. Staramy się być wszechstronni, ale nie wszyscy studenci i absolwenci podążają za tą wszechstronnością.

— Zdarza się, że magistrzy sztuki wokalne śpiewają w chórach.

— Tak, np. po przebytej chorobie gardła. Każdy marzy o rolach solistów, lecz rzeczywistość bywa bezwzględna. Niektórzy z dyplomowanych śpiewaków wykazują brak predyspozycji do teatralnych ról i w ogóle do bycia solistą. Trzeba umieć swój zawód dostosować do własnych możliwości i zrezygnować z przerażeniem ambicji.

— Czekając na talenty, na piękne głosy, udaje się Wam w tym roku wyłowić te największe, najpiękniejsze?

— Z tych, którzy zdawali w tym roku — tak. Szukamy najbardziej zdolnych, ale i pod kątem zapotrzebowania na głosy w teatrach. Głosy idą falami, szukamy więc w terenie, po chórach, aby wyłowić najpiękniejsze, warte kształcenia.

— Bo co to jest ów talent wokalny?

Adam Duliński: — Trzeba się z nim urodzić. Nie sposób się go nauczyć, można z niego skorzystać, albo wszystko stracić. Bez pracy największy talent będzie mniej niż przeciętny.

Halina Romanowska: — Ale niczego nie należy robić na siłę, aby głosu starczyło na wiele lat. Dlatego tak ważna jest higiena w życiu śpiewaka, nie tylko głosowa. Nie wszystko pokryje się młodocia.

— Talent wokalny nie zawsze łączy w parze z aktorskim?

Halina Romanowska: — Talent aktorski to 50 procent powodzenia śpiewaka. Przy najpiękniejszym głosie a bez talentem aktorskim tadeń artysta nie da słuchaczom przystę arty- stycznych.

Adam Duliński: — Preferujemy głos, jeżeli rozwija się on i jest na tyle doskonały włączając w statyczny partię, to i tak się obroni. Trzeba szukać własnej indywidualności artystycznej, ukryć to, co nie powinno być pokazane, a wyeksponować to, co się podoba. U nas można otrzymać podstawy gry aktorskiej.

— Jakie prognozy dla tegorocznych wybrańców do kształcenia w Akademii Muzycznej w Łodzi?

— Optymistyczne dla wszystkich. Będziemy ich szkolić wszechstronnie i tylko przy odpowiednim zaangażowaniu z ich strony będzie można mówić o sukcesach.

VIII. KALKULACJA

Eliminacje w zmaganiach o indeks studenta wokalistyki już zakończono. Wybrańcy rozjechali na wakacje. Oglądając przez kilka dni ich głosowe boje doszedłem do wniosku, że wokalistyka jest naprawdę jedną z najtrudniejszych dyscyplin artystycznych. Uwielbiamy piękne głosy, chcemy ich słuchać, podziwiać... Przed tegoroczną dziesiątką długa droga.

Kto z nich przekona nas, pedagogów, samego siebie, że dana mu szansa bycia artystą nie zostanie zmarnowana? Osobiście liczę na kilka osób, na co liczą one?

BOHDAN GADOMSKI



Na zdjęciu: Najlepsi kandydaci na Wydział Wokalno-Aktorski Akademii Muzycznej w Łodzi: Sławomir Czarniecki, Małgorzata Długosz, Wojciech Grzelak, Dariusz Stachura i Piotr Miciński.

Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE O SPALE

W nr 31 z 30 lipca br., zamieściłście dwuspaltowy artykuł Jacka Binkowskiego „Dzień powszedni w mieście Spala”. Autor w 7 dygresjach poruszył 7 „koszmarek” życia w Spale, dotyczących w pierwszym rzędzie czasowiczów z domów FWP.

W ostatnich latach byłem kilkakrotnie na wczasach w Spale i do spostrzeżeń J. Binkowskiego dodam kilka, jak mi się wydaje, bardzo istotnych dla możliwości lepszego, niż to jest obecnie zorganizowania życia wczasowiczów.

1. Dla podtrzymania kondycji fizycznej w każdym wieku, ale przede wszystkim dla, a w nim piesze spacerowanie, najprzystępniejszym przedmiotem jest ruch, a w nim piesze spacerowanie. Dbając o FWP w Spale, organizując w czasie 14-dniowego turnusu i spacer po Spale, wycieczkę pieszą do tzw. bunkrów w Konewce, i do tzw. „Grzybka” nad Pilicą dla obejrzenia wątpliwej wartości monumentu z glazów, wzniesionego z poczuciem naszego wieku dla uczczenia sukcesów myśliwskich jednego z cesarów Rosji. Mało, dużo za mało...

Inne (2-3) wycieczki autokarowe dla kondycji nie nie dają poza pokonaniem zmęczenia (mają za to — prawda — wartości kulturowe). Nie chce przecie ich likwidacji. Co więc robi przeciętny wczasowicz dla osobistej kultury fizycznej? Chodzi, spaceruje, drapoc bez określonego celu tu i tam w pobliżu ośrodka FWP.

A jak by to można poprawić i uatrakcyjnić? Trzeba by podjąć prace nad terenem Spaly i fachowca z dziedziny rekreacji ruchowej przeliczyć plan tras spacerowych, który w kilku egzemplarzach rozłożony w budynkach wczasowych i paru punktach na zewnątrz ośrodka, dostatecznie informowałby wczasowiczów o tej formie indywidualnej rekreacji ruchowej.

Trasy te powinny być oznakowane w terenie, tam, gdzie to potrzebne, mogłyby być na trasie krótko informować: a) o tempie, w jakim się je powinno pokonywać w zależności od wieku i posiadanej sprawności ruchowej, b) o osobliwościach przyrody napotykanym po drodze, c) o „zdobycznych” punktach za pokonaniem trasy.

Przy okazji uwaga: a może by się znalazł spec opracowania tabelki punktów za pobyt potraktowany pod kątem poprawienia swej kondycji.

Sam „odkrywać” około 30 takich tras, co właściwie rozwiązuje sprawę indywidualnych spacerów. Indywidualnych to nie znaczy samotnych. Można to robić w małych grupkach wczasowych znajomości. I tak się najczęściej dzieje.

2. Drugą sprawę troski Ośrodka FWP o kulturę fizyczną wczasowiczów widzę w możliwości zachęty do podjęcia przez każdego indywidualnej próby — testu posiadanej sprawności fizycznej. Takie testy ma już opracowane TKKF. Trzeba by tylko dokonać w nich niewielkich zmian. Myślę, że cieszyłyby się dużym powodzeniem u wczasowiczów, a także stanowiłyby zachętę do uprawiania dostępnych form rekreacji ruchowej.

3. Najwyższy już czas, aby w dużych ośrodkach wczasowych, a takim jest Spala, był dla potrzeb rekreacji ruchowej (zwłaszcza indywidualnej i poradnictwa w tym zakresie) doświadczony instruktor WF. Pod jego kierunkiem i przy pomocy doświadczonych i zdolnych sportowców, dopiero pięknie by mogła wyglądać zorganizowana, w różnych formach, dla starszych i zwłaszcza dzieci — rekreacja fizyczna.

4. Dyrekcja Ośrodka FWP musi zacząć wykazywać większą dbałość o rodzaj, jakość i stan urządzeń rekreacyjnych. Najpierw słów parę o resztkach „koszmarek” pod nazwą „Ścieżka zdrowia”. To, co ktoś zbudował na ten temat w Spale, budzi zdumienie, wesołość i trwogę. Słupy w żelaznym okuciu do podnoszenia powodują chęć obejrzenia się wkoło za Herkulesem, który gdzieś odbiegał ze strachu i niechęcią do skienia, który grządzi i wyznacza miejsca do przeskoku do skienia użytkownikom do obojędzenia przeszkody zamiast jej pokonania. Różnej wysokości pale wbite w ziemię do ćwiczeń równowagi stanowią raczej narzędzie tortury do łamania nóg.

Bale o średnicy ok. 80 cm, rozstawione co parę metrów, mają służyć do wielokoku. Jeszcze mi się nie zdarzyło dostrzec tam jakiegoś śmiałka do wykonania ćwiczenia. Natomiast co starsze wczasowiczki przysiadają na owych balach dla wytchnienia, wydzwijając tylko: „po co oni te ławy ustawili tak bokiem do szosy; żeby mniej widzieć co się na niej dzieje?”

Ścieżka zdrowia, na szczęście, jest w rozpadzie i nikt już na niej nie ćwiczy, z wyjątkiem „pani k.o.”, która każdy turnus prowadzi tą trasą. Ten „koszmarek” należałoby zlikwidować. Ale o paru wariantach różnego stopnia trudności ścieżek warto by pomyśleć.

5. Osobny koszmarek w Spale stanowiły przez lata „przrzydła na wolnym powietrzu dla zabaw dziecięcych”. Na te „urządzenia” poszło parędziesiąt drzew i ponoć ok. 1 mln zł. Były to niebezpieczne już w projekcie, a pomocne w wykonaniu „piramidy” różnej wysokości słupów, przeraźliwie skrzyjące huśtawki na linach i łańcuchach, kładki ruchome itp.

Nie wiem, czy tam były „wypadki w ludziach”. Wiadę gminna niesie, że po cichu „to” rozebrano w ubiegłym roku, a obecnie szuka się winnych tego pomysłu i drewna, które gdzieś znikło.

Z tego, co o „Spale wczoraj i dziś” da się powiedzieć wynika, że nie tylko uczyliśmy się na błędach, ale starajmy się spojrzeć na nowe możliwości uczynienia ze Spaly przodującego w kraju wczasowiska dla dzieci i ludzi starszego wieku.

N. NONAS

„DWA SPOJRZENIA NA SIERADZ”

Zamieszczone na łamach tygodnika publikacje dotyczące funkcjonowania Ośrodka Sportu i Rekreacji w Sieradzu spowodowały decyzje zainteresowanych stanem ośrodka instytucji. Chcąc poinformować Towarzystwa Redaktora, że od dnia 4 sierpnia 1983 roku, decyzją dyrektora Wydziału Handlu, Przemysłu i Usług Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu zlikwidowano sprzedaż alkoholu w restauracji „Przystań”, zaś Komenda Miejska MO w Sieradzu spowodowała zwiększenie liczby patroli MO w godzinach wieczornych i nocnych. Ustanowienie patroli w siedzibie ośrodka stały posterunek ORMO.

Kierownictwu OSIR zwrócono uwagę na konieczność prowadzenia kontroli terenu zawrócono zabudowania hotelowe w godzinach nocnych.

Proszę także o przyjęcie podziękowań za sugestijne i skuteczne (jak się okazuje) prezentowanie sieradzkich problemów w publikacjach Waszych współpracowników.

Sieradz, dnia 3 sierpnia 1983 r.

JANUSZ ANDRZEJEWSKI
rzecznik prasowy
wojewody sieradzkiego

15 OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ POETYCKI I PLASTYCZNY O „ZŁOTĄ LAMPKĘ GÓRNICZĄ” WAŁBRZYCH 1983

XV Turniej Poetycki i Plastyczny o „Złotą Lampkę Górnica” ma na celu popularyzację poezji i plastyki w środowisku robotniczym, aktywizację kulturalną regionu oraz zainteresowanie twórców problematyką górniczej pracy.

Konkurs organizuje Wałbrzyskie Towarzystwo Kultury, przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, Górniczego Domu Kultury Kopalni „Wałbrzych” oraz redakcji „Trybuny Wałbrzyskiej”.

REGULAMIN TURNIEJU POETYCKIEGO O „ZŁOTĄ LAMPKĘ GÓRNICZĄ”

Turniej Poetycki o „Złotą Lampkę Górnica” ma charakter otwarty i mogą w nim wziąć udział zarówno pisarze profesjonalni, jak i amatorzy.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie maszynopisów dwóch nigdzie dotąd nie publikowanych, podpisanych godłem utworów literackich w sześciu egzemplarzach każdy. Do tekstów należy dołączyć zalakowaną kopertę zawierającą następujące dane: imię i nazwisko, wiek, wykształcenie oraz informację o ewentualnym dorobku twórczym.

Konkurs dojdzie do skutku i zostanie rozstrzygnięty pod warunkiem, że weźmie w nim udział co najmniej 30 autorów.

Organizatorzy nie narzucają tematyki, ale pożądane byłoby utwory oparte na motywach górniczych.

Prace należy nadsyłać w terminie do 30 września 1983 r., pod adresem: Górnicy Dom Kultury Kopalni „Wałbrzych”, aleja Wywolenia 21/23, 58-300 Wałbrzych.

Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym. Dla laureatów Turnieju Poetyckiego przewidziano następujące nagrody:

- I nagroda — 10.000 zł i Złota Lampka Górnica;
- II nagroda — 8.000 zł i Srebrna Lampka Górnica;
- III nagroda — 6.000 zł i Brązowa Lampka Górnica;
- nagroda specjalna w wysokości 6.000 zł za wiersz o tematyce górniczej;
- 3 wyróżnienia po 3.000 zł.

REGULAMIN TURNIEJU MALARSKIEGO DLA PROFESJONALISTÓW

Turniej Malarski o „Złotą Lampkę Górnica” ma na celu uzyskanie dzieł sztuki o wysokiej randze artystycznej.

W turnieju mogą wziąć udział wyłącznie artyści profesjonalni. Organizatorzy pozostawiają twórcom pełną swobodę wypowiedzi artystycznej oraz wyboru techniki i tematu.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie dowolnej liczby nigdzie dotąd nie eksponowanych prac, z których każda powinna być podpisana imieniem godłem. Do każdej pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą kartkę, na której należy podać: imię i nazwisko autora, tytuł pracy, jej cenę, adres autora, numer legitymacji ZPAP (absolwenci wyższych uczelni artystycznych zamieszczają nazwę ukończonej uczelni, rok ukończenia studiów i numer dyplomu), wkręćkę zgodę na ewentualny zakup prac.

Konkurs dojdzie do skutku i zostanie rozstrzygnięty pod warunkiem, że weźmie w nim udział co najmniej 30 prac.

Prace należy nadsyłać w terminie do 25 października 1983 roku pod adresem: Górnicy Dom Kultury Kopalni „Wałbrzych”, al. Wywolenia 21/23, 58-300 Wałbrzych. Na przesyłce należy nadawcę należy podać ten sam adres ZPAP, do którego należy autor (absolwenci wyższych szkół artystycznych podadzą imię, nazwisko i adres osoby zaufanej). Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym.

Dla laureatów Turnieju Malarskiego dla Profesjonalistów przewidziano następujące nagrody:

- I nagroda — 25.000 zł i Złota Lampka Górnica;
- II nagroda — 20.000 zł i Srebrna Lampka Górnica;
- III nagroda — 15.000 zł i Brązowa Lampka Górnica;
- nagroda specjalna w wysokości 15.000 zł za pracę o tematyce górniczej;
- 3 wyróżnienia po 8.000 zł.

Prace nagrodzone pozostają własnością autorów. Organizatorzy przewidują możliwość zakupu pewnej liczby nadesłanych prac.

Wszelkich informacji na temat turniejów udziela sekretariat GDK Kopalni „Wałbrzych” (tel. 241-01) w godzinach od 13 do 20.

WYPRAWA DO WÓD

Romantyczne wyprawy do wód skończyły się właściwie wraz z XIX wiekiem. Zaświadczenia, badania, skiterowania odary je z całego, secesyjnego wdziku. Obecnie, spragnieni nieskażonej natury, podróżujemy nad wodę. Do Sulejowa, nad Wartę, byle dalej od zchlorowanych basenów czy błotnistej brei stawów Stefańskich.

Pierwszym poważnym problemem jest podróż. Przeważająca część społeczeństwa nie jest, niestety, zmotoryzowana czy chociażby „zroweryzowana”, przeto zmuszona jest do korzystania ze środków komunikacji masowej. Jak więc wygląda podróż lodzianka anno domini 1983? gdy wybiera się on na przykład nad Zalew Sulejowski.

W pociągu do Tomaszowa wsiąść łatwo. Nawet w niedzielę poranek. Odległość pięćdziesięciu kilometrów przebiegliśmy w oszalałym tempie. Na pewno wyprzedzilibyśmy syna obuche bieszczańska. Ale z zaawansowanym turystą rowerowym bytyby kłopoty, mimo iż od Zakowice słynna owa torpeda nie zatrzymuje się na żadnej stacji. Zwykle w tej podróży ci, którzy mają lepszy wyrok, wypatrzą, czy w mijanych lasach czy przy grzybie, i tylko nadmiernym upałem chyba należy przypisać fakt, że nie udało się ich dotychczas zaobserwować.

I tak po dwóch godzinach oszalałającej jazdy przybyliśmy do Tomaszowa. Następnym etapem to Smardzewice, miejscowość położona

tuż przy zaprzę, ośrodek wczasowy i żeglarski. Niedługo zatem tu było dotrzeć wsiadając przy dworcu w odpowiedni (zwykłe zatłoczony) autobus. Obecnie ten niewielki etap trzeba rozbić na dwa. A w czym rzecz?

Dawniej trasa miejskiego autobusu wiodła przez most koło starych Niebieskich Zródeł. Ale teraz ow most, jedyny w Tomaszowie most przez Pilicę, jest zamknięty. Zbudowany lat temu... z hakiem, zaczął się po prostu rozsypywać. Trasy autobusowe „konczą więc się przed nim. Pasażerowie — amatorzy dalszej podróży — fundują sobie kilka minut grozy, czyli przechadzkę po rozsypujących się deskach. Idziemy za nimi. Na krańcówce linii do Smardzewic dowiadujemy się, że autobus właśnie odszedł, bo nikomu nie chce się synchronizować z przjazdów i odjazdów poszczególnych linii. A po czym?

Mięgło właśnie południe, a my już jesteśmy na smardzewickiej plaży. Właściwie to pobyt na niej można pominąć milczeniem. Sytuacja jak wszędzie. Tak samo nie można dostać nic do jedzenia, do picia tak samo dostać można tylko pepsa (bez lodu, oczywiście). A obok, jakby nigdy nic, stoi sobie budynek niedgdyjszej restauracji, zamknięty na cztery spusty. Idziemy więc nad wodę. Po chwili wiemy już dokładnie, że jest ona tego samego koloru i konsystencji co i ta ze wzgardzonych stawów Stefańskich.

Wieczorem wracamy. Ale oprócz nas wraca także kilka tysięcy innych plażowiczów. Więc, aby rozruszać rozleniwione nierobstwem na plaży mięśnie, fundujemy sobie piesze wycieczki do Tomaszowa. Jeśli mamy szczęście, to po drodze możemy załapać się na któryś z rzędu autobus. Jeśli nie, maszerujemy razem aż do Niebieskich Zródeł. Po czym, już komfortowo, autobusem, podjeżdżamy na dworzec szturmować kasy. Oczywiście daremnie.

Najwygodniejszy dla nas pociąg o dziesiętnej i minutami odjeżdża w stronę dalszą naszego przyswignowatego spaceru, mamy więc do wyboru autobus PKS o 21:20 lub pociąg o 22:30. Wybieramy oczywiście to pierwsze.

Na dworcu PKS oczekuje nas tłum żądnych powrotu lodzian, którym nie udało się dostać w wczesniejszej, przepięknie do granic możliwości autobusy. Nurkujemy więc w ciżbę, aby do przodu, ale utykamy bezładnie gdzieś pośrodku. Czekamy. Aleco przed planowaną godziną podjeżdża autobus. Pusty! Ale kierowca oświadcza, że sprzedano komplet biletów i on wpuszcza do środka tylko tych, którzy takowe posiadają. Od tłumy odrywa się kilkunastu szczęśliwców. Resztą kłęb się wokół pojazdu. Wreszcie kierowca, zniechęcony oczekiwaniami kandydatów na „wysprzedane”, zniechęca oraz ekscytowany przez tłum różnymi wyrazami, wyraża zgodę na „zakreślenie bezbiletowców”. Usiłują nawet sprzedawać im bilety. Ale nec Hercules... Po chwili do wnętrza nie wciśniesz nawet szpilki.

Kto od wód stojących woli biegać, ten wartko bieży nad Wartę. Ubiejowa lub Księżyce Młynów można dostać się bez większych kłopotów, ale wieczorem mamy do dyspozycji tylko jeden autobus, bierzemy ze sobą zgrabny i lekki plecaczek oraz wygodne buty. Nauczyla nas przedzić coś niecoś wypraw na zalew. Bierzymy ze sobą także coś do picia. Dzięki temu powrotny spacer w stronę Poddębicy wpływa na nieomal radosnym nastroju. Zwiastują, gdy okazuje się, że po drodze można załapać prawie pusty autobus jadący z innej miejscowości.

Radośnie, acz z pewną obawą brodzimy po kolana w wodzie. Czasami nurtuje nas bowiem przykra myśl, że te chwile ulotnej radości możemy przypłacić wizytą u dermatologa. Ale gdy popatrzymy na rozemsiane twarze bledzących wokół nas, od razu nabieramy optymizmu i z podniesioną głową przypatrujemy się okolicy. A jest na co popatrzeć. Na przykład: niedaleko brzegu stoi pawilon, gdzie spragnionym ustawuje się, oprócz niesmiertelnej pepsa (bez lodu — oczywiście), ciemne, pękate butelki piwa, a dla żądnych mocniejszej podniecy, wyświeżonej Polmos (wyłącznie na kieliszki). Niektórzy, bardziej doświadczeni plażowicze, by nie przepłacać, przywołują owe wyroby ze sobą, nie podlegając tym samym żadnym ograniczeniom w konsumpcji.

Na wyniki z reguły nie trzeba długo czekać. W ciągu jednego popołudnia można doliczyć się co najmniej kilku niedosytów topielców. Jaka to atrakcja dla tłumal Zręcznie innych atrakcji nie ma tu wcale. Toteż okrzyk: człowiek się topił sziaga nad brzegi nieprzełomione tłumy kajakowych.

Bywa, że nad rozbawionym brzegiem powieje groza. Wtedy, gdy topi się dziecko. Rozplotkowane mamusia przypomina sobie nagle, że gdzieś tu powinna być rodzona pociecha, która niepojętym sposobem wy dostała się spod opiekuńczych, acz rzekciwych skrzydeł. Zda się, że wtedy huragan uderza o brzegi rzeki, porusza brzoźdnie i z niesamowitą szybkością ludzkie tłumy, wykrzykujące rozpaczliwie imiona swych milusińskich. A gdy niesforne berbecie siedzą już bezpiecznie pod rodzicielskim okiem, wydelegowani przedstawiciele służby wyruszają przypatrzyć się akcję ratunkową.

A tymczasem kajak co źmielczych mężczyzn, plesze i w kajakach przyskokuje podwodne chaszcze. Wyłowili przed chwilą kilkuletniego szkraba, zdrowego i całego na szczęście, a teraz według jego wskazówek szukają drugiej osoby. Po chwili nieprzytomny, starszy pan jak bezwładny wór ładuje we wnętrzu kajaka. Wynoszą go na plażę, gdzie... nikt nie udziela mu pomocy. Tylko ktoś z rodziny pobiegł po pogotowie. A wokół leżącego gromadzi się i gęstnieje ciekawski, rozplotkowany bezduszny tłum. Po kilkunastu minutach poszkodowany podnosi się jednak sam. Chwiejnym krokiem brnie po plaży, byle dalej od wody. Zawiadzeni w oczekiwaniu na trupa komentują: patrz pan, jak się zatacza. Pewno za dużo wypił, hi, hi, hi!

STEFAN JOŹWIĄK

W TARNOWIE DLA MIŁOŚNIKÓW 2 PLUS 1

Informujemy, iż w Tarnowie pod patronatem Klubu „Metalowiec” Zakładów Mechanicznych „Tarnów” w Tarnowie powstał niedawno autoryzowany Fan-Club Grupy 2 Plus 1, działający na terenie całego kraju na zasadzie korespondencyjnej. Jest to jedyny oficjalny Fan-Club 2 Plus 1 w Polsce.

W związku z koniecznością poinformowania jak największej liczby miłośników Grupy 2 plus 1 serdecznie prosimy redakcję o podanie adresu naszego Fan-Clubu wraz z informacją o działalności.

Zadaniem Fan-Clubu 2 plus 1 jest ułatwienie wszystkim miłośnikom kontaktu z grupą, informowanie o aktualnych wydarzeniach zespołu, pomoc w nabyciu płyt Grupy 2 plus 1, a także dostarczanie wszystkim członkom Fan-Clubu bieżącego serwisu reklamowo-informacyjnego. Każdy członek Fan-Clubu otrzyma legitymację uprawniającą do uczestnictwa w pracach Fan-Clubu. W ramach opłacanej składki członkowskiej (rocznej) Fan-Club będzie wysyłał swoim członkom: barwne plakaty, foldery, reklamówki, naklejki oraz kwartalne pismo informacyjne zawierające zdjęcia, aktualne informacje, wywiady z grupą, teksty piosenek, a także rubrykę korespondencyjną typu „Zberamy, zamieniamy”.

Fan-Club organizuje comiesięczne spotkania swych członków. Serdecznie dziękujemy za pozytywne załatwienie naszej prośby. O ciekawych wydarzeniach i imprezach Fan-Clubu 2 Plus 1, będziemy waszą redakcję na bieżąco informować.

Z serdecznymi podziękowaniami prezes Fan-Clubu 2 Plus 1 i zarząd.

A oto adres: Fan-Club 2 plus 1, Klub „Metalowiec”, ul. Warszawska 2, 33-100 Tarnów, tel. 64-73.

Dokończenie ze strony 1

chem i później zabrakło właśnie 2 punktów do tytułu mistrza.

— Ruch był znakomicie przygotowany do tego spotkania. Nasza drużyna była rozkojarzona. Tak więc mistrzem Polski został Lech i zasłużył sobie na to. Był dobrze przygotowany.

— Czy po tym, co pan powiedział, wicemistrzostwo — znaczy sukces?

— Sukces, ale drużynę stać było na więcej. Przy tym nie można zapominać, że nasza drużyna doszła do półfinału w Pucharze Europy. To był ogromny sukces.

— Jeśli drużynę stać było na więcej, to gdzieś musi być błąd. W czym go pan upatruje?

— W niewłaściwym przechodzeniu z rozgrywek pucharowych do ligowych. Musimy w tym roku to zmienić.

— Czy rolę gra tu zmęczenie fizyczne, czy psychiczne?

— Przede wszystkim psychiczne. Na odpoczynek są tylko 3 dni, fizycznie niewiele można poprawić. Natomiast nawet po największym sukcesie, drużyna musi się szybko dostroić psychicznie do następnego meczu i przygotować się do normalnej gry, jakby się nie stało.

— Czy według pana ubiegły sezon ligowy był ciekawy, czy nie? Różne słyszano się opinie na ten temat.

— Moim zdaniem był ciekawszy niż inne, poprzednie. Dlaczego tak uważam? Ano dlatego, że na stadionach było więcej kibiców. To o czymś świadczy. Po drugie — bo więcej strzelono bramek. Po trzecie — dokonano się duża wymiana zawodników, młodzi utrzymali możliwość startu i to ożywiło grę. Po czwarte — do Widzewa doszła druga drużyna — poznański Lech — która może odegrać poważniejszą rolę w pucharowych rozgrywkach.

— A inni?

— Pozytywnie ocenilibym jeszcze Pogoń i Ruch.

— Ale finisz mieli kiepski?

— Bywa. Pogoń pojechała na „wycieczkę” autokarem do RFN w czasie upałów. Powiedziałem im, że po powrocie grę mają z głową i stało się. Po innych drużynach można było spodziewać się więcej. Ale zawodnicy: Legia, Wista, Górnik, Śląsk.

— Myślny przywykli narzekać na naszą ligę. Często przeciwstawiają ją ligom w innych krajach.

— Czy niesłusznie?

— Tam też gromy leżą na głowę rozgrywek. Krytykuje się ligę w RFN, obniżają swój poziom liga w Holandii, bardzo nierówna jest liga włoska, krytykuje się angielską. Więc takie porównania, bez dogłębnej znajomości zagranicznych rozgrywek ligowych, są niekiedy bardzo zawodne i powierzchowne.

— To nie znaczy, że ja usprawiedliwiam naszą ligę, że skoro jest źle gdzieś indziej, to i u nas nie musi być dobrze. Przeciwnie, trzeba wiele w naszej lidze poprawić.

— Dlaczego, na przykład, mecze bywają podobne do siebie?

— Dlatego, że u siebie drużyny próbują grać ofensywnie, ale na wyjeździe grają tylko defensywnie. Poza tym wszyscy grają systemem 4 — 4 — 2.

— Wy też tak grać.

— U nas ten system jest dopasowany do możliwości zespołu. Grając w ten sposób strzeliliśmy 50 bramek.

— Dlaczego to było możliwe?

— Przede wszystkim nie wolno myśleć dwu pojęć: system i ustawienie. Ustawienie — to wyjście na boisko. Natomiast grać takim systemem — to znaczy, że w czasie ataku dochodzą do dwójki napastników inni zawodnicy i wszyscy przechodzą na boisko przeciwnika. Jeśli bronimy się, to wszyscy wracają na własną połowę. Do takiej gry trzeba mieć dużo zdrowia. Nie można grać schematycznie, sztywno trzymać się ustawienia, bo wtedy rzeczywistość gra wygląda ubogo.

— Poza tym potrzeba do tego dobrych napastników. Z tym kłopoty mają wszyscy. Myślny musieli z Mirosławem Tłokińskim zrobić napastnika.

— I teraz gole strzela w Lens. Czy są jeszcze inne powody monotonej gry w naszej lidze?

— Myślę, że na to nakładają się również kłopoty ze sprzętem i niedostatki bazy szkoleniowej. W porównaniu z innymi, zagranicznymi klubami, nasza baza szkoleniowa jest bardzo uboga.

— Co, pana zdaniem, jest powodem słabości Legii?

— Moim zdaniem bierze się to ze sposobu naboru zawodników. Powołuje się ich do wojska, często ograbiając inne kluby, ale ci zawodnicy nie są związani na ogół ani z Warszawą, ani z klubem. Przez rok muszą się aklimatyzować. Pożytek z nich mały. W następnym roku taki zawodnik myśli już o grze w innym klubie, bo kończy służbę. Też pożytek z niego mały. Podobne kłopoty mieliśmy w Śląsku, gdy trenowałem w tym klubie. Zarząd doszedł wtedy do wniosku, że trzeba zawodników ośiedlić we Wrocławiu i oprzeć się na ewilach. I dobrze na tym wychodzą.

— Legia ma wielkie ambicje, dla których nie ma pokrycia w grze zawodników.

— Kiedyś narzekało się na krótkie i puste ławki rezerwowych. Teraz jakby się zmieniło. W drużynach pojawiają się nowe twarze. Młodzi otrzymują szansę pokazania swych umiejętności. Czy to znaczy, że ławki rezerwowe są już pełne?

— Jeszcze jest kilka klubów, które mają krótkie ławki rezerwowe. Ale większość ma już inną sytuację. Kiedy nasi juniorzy brali udział w mistrzostwach świata w Meksyku, wtedy Bałtyk grał bez 3 zawodników, tak samo my, ŁKS, Górnik bez 2. I nie się nie stało. To znaczy, że kluby miały kim ich zastąpić. ŁKS na przykład może korzystać z 29 zawodników. My — z 21. Teraz kluby mają możliwość brania zawodników z innych klas, niższych, mogą więc sobie dobrać brakujących, stworzyć rezerwę. Trzeba tylko dobrze szukać.

— Z Widzewa znów odeszło kilku dobrych zawodników. Pisano już o tym, więc nie będę wymieniała nazwisk. Przyszli nowi, że przypomnę Jerzego Włajasa, za pół roku będzie grał Dariusz Dziekanowski, z wojska wrócił Jacek Gierek, ale chory jest jeszcze Włodzisław Smolarek. Kto będzie pełnił rolę lidera?

— Tak, z tym będziemy mieli kłopot. Nie mamy takiego zawodnika. W grze rolę tę będzie spełniał Krzysztof Kajrys, ale rozumiem, że chodzi tu o lidera również i poza boiskiem, takiego, jak Zbigniew Boniek. Nie potrafili go zastąpić ani Włodek Smolarek, ani Zdzisław Rozborski.

— Nie boi się pan, że Widzew straci to, co było jego siłą — widzewski charakter?

— Boję się trochę o to. Odeszli ci, po których można było się spodziewać twardej, męskiej gry. Niewielu pozostało takich.

— Ale ta męska, twarda gra przynosiła wam żółte i czerwone kartki?

— Niech to nie będzie źle zrozumiane, ale my się nawet cieszymy, jak sypią się żółte kartki.

— Proszę to wyjaśnić, bo rzeczywiście brzmiało to niepokojąco i może być źle zrozumiane. A przecież Widzew po 8 sezonach w „Pucharze dzentelmenów” katowickiego „Sportu” zajmuje 23 pozycję na 24 możliwych.

— To prawda. Karzemy i będziemy karali za chamstwo na boisku. Występujemy zdecydowanie przeciw żółtym kartkom za chamstwo. Natomiast nie możemy uczyć zawodników strachu przed żółtymi kartkami, bo zaczyna unikać twardą grę w ogóle. Gra musi być ostra, ale zgodna z przepisami. Gra musi być twarda. Przy takiej grze może zdarzyć się żółta kartka.

Jeszcze raz powtarzam: za chamstwo i złośliwe faule na boisku karzemy finansowo i przeprowadzamy indywidualne rozmowy.

— Za spóźnienia na trening też są kary?

— Są. Jest regulamin. Umawiamy się wprawdzie, że nie będzie spóźnień, ale sama umowa nie wystarczy. Muszą być rygory. Jeśli chce się jakiś cel osiągnąć, trzeba mu wszystko podporządkować. Nie wypełnisz obowiązku — placisz.

Największym błędem jest milczący zespół

— Nie obawia się pan, że teraz, kiedy każdy może sobie brać kogo zechce, nastąpi „tasowanie tych samych kart”? Zahamuje się dopływ nowych sił do zespołów. Każdy będzie chciał mieć w drużynie sprawdzonych już zawodników.

— Nam to nie grozi. Kandydat do naszego zespołu musi spełniać trzy warunki: musi kończyć się kontrakt, musi mieć uregulowany stosunek do służby wojskowej i musi pasować do Widzewa. W lidze nie ma wielu takich zawodników, którzy spełnialiby jednocześnie te trzy warunki.

— Poza tym, za zawodników z pierwszej ligi trzeba słono zapłacić. Nawet nas na to nie stać.

— A gdyby — załóżmy teoretycznie — był do kupienia zawodnik z klubu zagranicznego, jakie musiałby spełniać warunki? Czy wystarczyłoby samo nazwisko?

— Tam inaczej traktuje się piłkę nożną. Dla nich to jest praca.

— Czyli, że można byłoby go wziąć w clemno?

— Można. Oni mają rzetelne podejście do tego co robią.

— A u nas?

— U nas — najczęściej — traktuje się grę w piłkę, jak przygodę, sposób wyżyłcia się i sposób na życie.

— Wiele trenerów narzeka na tegoroczny kalendarz rozgrywek, że jest dostosowany do potrzeb reprezentacji. Czy pan też narzeka?

— Ja nie narzekam, choć rzeczywistość jest niedobra.

— To dlaczego pan nie narzeka?

— Współpracę Widzewa z PZPN byłam dobra. Na przykład, przed meczem z Liverpoolem miałem do dyspozycji wszystkich zawodników, których potrzebowałem. Mam zaufanie do trenera Antoniego Piechniczka, bo jest to dobry fachowiec. I wiem że jak bierze piłkarzy na zgrupowanie, to odeśle do klubu zawodników dobrze przygotowanych.

— To pewnie, że przygotowania reprezentacji różnego rodzaju przeszkadzały w przygotowaniu do rozgrywek ligowych. Będzie na pewno problem po 13 listopada tego roku, kiedy skończą się rozgrywki ligowe rundy jesiennej i wyjadzie reprezentacja. Co wtedy robić w klubach? Na zimowe wakacje za wyżej, a trenować dla samego treningu, to i niepoważne, i bezcelowe.

— Jednak interesy Klubu i interesy reprezentacji nie są z sobą aż tak zgodne?

— Ja wychodzę z założenia, że gra piłkarza Widzewa w reprezentacji, to zaszczyt dla niego, dla drużyny, dla klubu i dla trenera. Trzeba wobec tego iść na ustępstwa, żeby zawodnik miał możliwość reprezentowania kraju. A że nie jest to zawsze zgodne z interesem klubu — trudno.

— Miałem, kiedy jeszcze grał w drużynie i Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda, kilku reprezentantów i jakoś to nam nie przeszkadzało. Ważne jest, aby zawodnik jednakowo poważnie traktował występ w klubie, jak i w reprezentacji. Trzeba więc te interesy jakoś godzić. A z narzekania nic pożytecznego nie przyjdzie.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego w rozgrywkach o Puchar Polski zespoły z pierwszej ligi wyprzedzają 2e?

— Trudno mi dokładnie powiedzieć, ale myślę, że jest to trochę loteria. Jeśli dobry zespół trafi na zespół mniej znany, to sędzi, że przeciwnik jest słaby i wychodzi na boisko lekceważąc przeciwnika. A kiedy okazuje się, że ten słaby, wcale taki słaby nie jest, to już nie ma czasu na koncentrację. Poza tym myślę, że, począwszy od ćwierćfinału, należałoby wprowadzić system rozgrywek: mecz i rewanż. To byłby atut dla silniejszej drużyny.

— Przyzna pan jednak, że ranga Pucharu Polski jest niższa od mistrzostwa Polski?

— To prawda. Kiedy byłem w Śląsku zdobyliśmy Puchar Polski. Widzew jeszcze nie zdobył pucharu, ale nie dlatego, że go nie chcemy zdobyć.

— Ostatnio przegraliśmy z Lechią, która ten puchar zdobyła?

— Ale po walce. Dopiero różnicą bramek w rzutach karnych. Mimo to miałem pretensje do zawodników, że nie grali z pełnym zaangażowaniem.

— Czy Widzew postawi sobie kiedyś taki cel: zdobycie Pucharu Polski?

— Będziemy walczyć, albo o Puchar, albo o mistrza Polski.

— No właśnie, a jaki cel stawiacie sobie w tym sezonie ligowym?

— Sprawa nie jest łatwa. Zespół jest w trakcie przebudowy. Tym niemniej, podejmiemy walkę o mistrzostwo w lidze i będziemy walczyli w Pucharze UEFA. Z jakim skutkiem — to okaże się pod koniec sezonu.

— Ale 2 pierwsze mecze w Pucharze UEFA grać poza Łodzią? W Białymstoku.

— Białystok złożył nam ofertę i przyjęliśmy ją. Łódzkim kibicom przyda się pewien odpoczynek. Mają dwie drużyny ligowe i stali się już wybredni.

— Poza tym wydaje się, że wokół incydentu na stadionie zrobiono za wiele szumu. W Meksyku, autobus z naszymi juniorami tamtejsi kibice obrzucili kamieniami. W lidze włoskiej też się dzieją różne rzeczy. To nas nie usprawiedliwia, ale zmusza do przywiązywania większej uwagi do spraw porządku na meczach.

— Życzę zatem sukcesów w tym niełatwym sezonie piłkarskim.

— Dziękuję, postaramy się nie zawieść naszych kibiców.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

— O Widzewie wiadomo, że dobiera zawodników do charakteru drużyny. Inni są zdania, że należy postępować akurat odwrotnie — koncepcję gry dopasowywać do możliwości zawodników. Co pan o tym sądzi?

— Można i tak. Ale my od dawna postępujemy inaczej i mamy wyniki. Dlaczego to zmieniać?

— Przyjźcie na przykład Dariusz Dziekanowski, będzie się musiał dopasować do sposobu gry Widzewa i sposobu myślenia całego zespołu. Sądzę, że będzie do nas pasował. Na boisku nie jest panienką.

— Ale myślę, że rzecz nie jest w tym, co do czego się dopasowuje. Według mnie, największym błędem jest milczący zespół. Nasi piłkarze byli kiedyś na treningu innej drużyny. Przez godzinę było słychać tylko głos trenera. Wrócił wstrząśnięty. U nas tego nie ma.

— Przecież, kiedy zespół milczy, to nie wiem, czy moje uwagi do niego trafiają, czy nie. Zawodnik musi mieć własne zdanie. Nawet wtedy, gdy go karze, albo surowo oceniam. Musi to zdanie komuś powiedzieć, niech powie kolegom, że jego zdaniem trener nie ma racji. Jeśli piłkarz nie ma własnego zdania, to nie nadaje się do Widzewa.

— My musimy mieć drużynę, która potrafi sama ocenić całość swojej gry, jak i poszczególnych zawodników. Jest to nam wszystkim pomocne. W zespole musi obowiązywać szczerłość. Tak było do tej pory i tak być powinno nadal.

— P.S. Rozmowa przeprowadzona była przed ostatecznym zatwierdzeniem wszystkich transferów Widzewa, dlatego trener Władysław Żmuda mówi o nich w trybie przypuszczającym.

— Nie obawia się pan, że teraz, kiedy każdy może sobie brać kogo zechce, nastąpi „tasowanie tych samych kart”? Zahamuje się dopływ nowych sił do zespołów. Każdy będzie chciał mieć w drużynie sprawdzonych już zawodników.

— Nam to nie grozi. Kandydat do naszego zespołu musi spełniać trzy warunki: musi kończyć się kontrakt, musi mieć uregulowany stosunek do służby wojskowej i musi pasować do Widzewa. W lidze nie ma wielu takich zawodników, którzy spełnialiby jednocześnie te trzy warunki.

— Poza tym, za zawodników z pierwszej ligi trzeba słono zapłacić. Nawet nas na to nie stać.

— A gdyby — załóżmy teoretycznie — był do kupienia zawodnik z klubu zagranicznego, jakie musiałby spełniać warunki? Czy wystarczyłoby samo nazwisko?

— Tam inaczej traktuje się piłkę nożną. Dla nich to jest praca.

— Czyli, że można byłoby go wziąć w clemno?

— Można. Oni mają rzetelne podejście do tego co robią.

— A u nas?

— U nas — najczęściej — traktuje się grę w piłkę, jak przygodę, sposób wyżyłcia się i sposób na życie.

— Wiele trenerów narzeka na tegoroczny kalendarz rozgrywek, że jest dostosowany do potrzeb reprezentacji. Czy pan też narzeka?

— Ja nie narzekam, choć rzeczywistość jest niedobra.

— To dlaczego pan nie narzeka?

— Współpracę Widzewa z PZPN byłam dobra. Na przykład, przed meczem z Liverpoolem miałem do dyspozycji wszystkich zawodników, których potrzebowałem. Mam zaufanie do trenera Antoniego Piechniczka, bo jest to dobry fachowiec. I wiem że jak bierze piłkarzy na zgrupowanie, to odeśle do klubu zawodników dobrze przygotowanych.

— To pewnie, że przygotowania reprezentacji różnego rodzaju przeszkadzały w przygotowaniu do rozgrywek ligowych. Będzie na pewno problem po 13 listopada tego roku, kiedy skończą się rozgrywki ligowe rundy jesiennej i wyjadzie reprezentacja. Co wtedy robić w klubach? Na zimowe wakacje za wyżej, a trenować dla samego treningu, to i niepoważne, i bezcelowe.

— Jednak interesy Klubu i interesy reprezentacji nie są z sobą aż tak zgodne?

— Ja wychodzę z założenia, że gra piłkarza Widzewa w reprezentacji, to zaszczyt dla niego, dla drużyny, dla klubu i dla trenera. Trzeba wobec tego iść na ustępstwa, żeby zawodnik miał możliwość reprezentowania kraju. A że nie jest to zawsze zgodne z interesem klubu — trudno.

— Miałem, kiedy jeszcze grał w drużynie i Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda, kilku reprezentantów i jakoś to nam nie przeszkadzało. Ważne jest, aby zawodnik jednakowo poważnie traktował występ w klubie, jak i w reprezentacji. Trzeba więc te interesy jakoś godzić. A z narzekania nic pożytecznego nie przyjdzie.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego w rozgrywkach o Puchar Polski zespoły z pierwszej ligi wyprzedzają 2e?

— Trudno mi dokładnie powiedzieć, ale myślę, że jest to trochę loteria. Jeśli dobry zespół trafi na zespół mniej znany, to sędzi, że przeciwnik jest słaby i wychodzi na boisko lekceważąc przeciwnika. A kiedy okazuje się, że ten słaby, wcale taki słaby nie jest, to już nie ma czasu na koncentrację. Poza tym myślę, że, począwszy od ćwierćfinału, należałoby wprowadzić system rozgrywek: mecz i rewanż. To byłby atut dla silniejszej drużyny.

— Przyzna pan jednak, że ranga Pucharu Polski jest niższa od mistrzostwa Polski?

— To prawda. Kiedy byłem w Śląsku zdobyliśmy Puchar Polski. Widzew jeszcze nie zdobył pucharu, ale nie dlatego, że go nie chcemy zdobyć.

— Ostatnio przegraliśmy z Lechią, która ten puchar zdobyła?

— Ale po walce. Dopiero różnicą bramek w rzutach karnych. Mimo to miałem pretensje do zawodników, że nie grali z pełnym zaangażowaniem.

— Czy Widzew postawi sobie kiedyś taki cel: zdobycie Pucharu Polski?

— Będziemy walczyć, albo o Puchar, albo o mistrza Polski.

— No właśnie, a jaki cel stawiacie sobie w tym sezonie ligowym?

— Sprawa nie jest łatwa. Zespół jest w trakcie przebudowy. Tym niemniej, podejmiemy walkę o mistrzostwo w lidze i będziemy walczyli w Pucharze UEFA. Z jakim skutkiem — to okaże się pod koniec sezonu.

— Ale 2 pierwsze mecze w Pucharze UEFA grać poza Łodzią? W Białymstoku.

— Białystok złożył nam ofertę i przyjęliśmy ją. Łódzkim kibicom przyda się pewien odpoczynek. Mają dwie drużyny ligowe i stali się już wybredni.

— Poza tym wydaje się, że wokół incydentu na stadionie zrobiono za wiele szumu. W Meksyku, autobus z naszymi juniorami tamtejsi kibice obrzucili kamieniami. W lidze włoskiej też się dzieją różne rzeczy. To nas nie usprawiedliwia, ale zmusza do przywiązywania większej uwagi do spraw porządku na meczach.

— Życzę zatem sukcesów w tym niełatwym sezonie piłkarskim.

— Dziękuję, postaramy się nie zawieść naszych kibiców.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

— O Widzewie wiadomo, że dobiera zawodników do charakteru drużyny. Inni są zdania, że należy postępować akurat odwrotnie — koncepcję gry dopasowywać do możliwości zawodników. Co pan o tym sądzi?

— Można i tak. Ale my od dawna postępujemy inaczej i mamy wyniki. Dlaczego to zmieniać?

— Przyjźcie na przykład Dariusz Dziekanowski, będzie się musiał dopasować do sposobu gry Widzewa i sposobu myślenia całego zespołu. Sądzę, że będzie do nas pasował. Na boisku nie jest panienką.

— Ale myślę, że rzecz nie jest w tym, co do czego się dopasowuje. Według mnie, największym błędem jest milczący zespół. Nasi piłkarze byli kiedyś na treningu innej drużyny. Przez godzinę było słychać tylko głos trenera. Wrócił wstrząśnięty. U nas tego nie ma.

— Przecież, kiedy zespół milczy, to nie wiem, czy moje uwagi do niego trafiają, czy nie. Zawodnik musi mieć własne zdanie. Nawet wtedy, gdy go karze, albo surowo oceniam. Musi to zdanie komuś powiedzieć, niech powie kolegom, że jego zdaniem trener nie ma racji. Jeśli piłkarz nie ma własnego zdania, to nie nadaje się do Widzewa.

— My musimy mieć drużynę, która potrafi sama ocenić całość swojej gry, jak i poszczególnych zawodników. Jest to nam wszystkim pomocne. W zespole musi obowiązywać szczerłość. Tak było do tej pory i tak być powinno nadal.

— P.S. Rozmowa przeprowadzona była przed ostatecznym zatwierdzeniem wszystkich transferów Widzewa, dlatego trener Władysław Żmuda mówi o nich w trybie przypuszczającym.

— Nie obawia się pan, że teraz, kiedy każdy może sobie brać kogo zechce, nastąpi „tasowanie tych samych kart”? Zahamuje się dopływ nowych sił do zespołów. Każdy będzie chciał mieć w drużynie sprawdzonych już zawodników.

— Nam to nie grozi. Kandydat do naszego zespołu musi spełniać trzy warunki: musi kończyć się kontrakt, musi mieć uregulowany stosunek do służby wojskowej i musi pasować do Widzewa. W lidze nie ma wielu takich zawodników, którzy spełnialiby jednocześnie te trzy warunki.

— Poza tym, za zawodników z pierwszej ligi trzeba słono zapłacić. Nawet nas na to nie stać.

— A gdyby — załóżmy teoretycznie — był do kupienia zawodnik z klubu zagranicznego, jakie musiałby spełniać warunki? Czy wystarczyłoby samo nazwisko?

— Tam inaczej traktuje się piłkę nożną. Dla nich to jest praca.

— Czyli, że można byłoby go wziąć w clemno?

— Można. Oni mają rzetelne podejście do tego co robią.

— A u nas?

— U nas — najczęściej — traktuje się grę w piłkę, jak przygodę, sposób wyżyłcia się i sposób na życie.

— Wiele trenerów narzeka na tegoroczny kalendarz rozgrywek, że jest dostosowany do potrzeb reprezentacji. Czy pan też narzeka?

— Ja nie narzekam, choć rzeczywistość jest niedobra.

— To dlaczego pan nie narzeka?

— Współpracę Widzewa z PZPN byłam dobra. Na przykład, przed meczem z Liverpoolem miałem do dyspozycji wszystkich zawodników, których potrzebowałem. Mam zaufanie do trenera Antoniego Piechniczka, bo jest to dobry fachowiec. I wiem że jak bierze piłkarzy na zgrupowanie, to odeśle do klubu zawodników dobrze przygotowanych.

— To pewnie, że przygotowania reprezentacji różnego rodzaju przeszkadzały w przygotowaniu do rozgrywek ligowych. Będzie na pewno problem po 13 listopada tego roku, kiedy skończą się rozgrywki ligowe rundy jesiennej i wyjadzie reprezentacja. Co wtedy robić w klubach? Na zimowe wakacje za wyżej, a trenować dla samego treningu, to i niepoważne, i bezcelowe.

— Jednak interesy Klubu i interesy reprezentacji nie są z sobą aż tak zgodne?

— Ja wychodzę z założenia, że gra piłkarza Widzewa w reprezentacji, to zaszczyt dla niego, dla drużyny, dla klubu i dla trenera. Trzeba wobec tego iść na ustępstwa, żeby zawodnik miał możliwość reprezentowania kraju. A że nie jest to zawsze zgodne z interesem klubu — trudno.

— Miałem, kiedy jeszcze grał w drużynie i Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda, kilku reprezentantów i jakoś to nam nie przeszkadzało. Ważne jest, aby zawodnik jednakowo poważnie traktował występ w klubie, jak i w reprezentacji. Trzeba więc te interesy jakoś godzić. A z narzekania nic pożytecznego nie przyjdzie.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego w rozgrywkach o Puchar Polski zespoły z pierwszej ligi wyprzedzają 2e?

— Trudno mi dokładnie powiedzieć, ale myślę, że jest to trochę loteria. Jeśli dobry zespół trafi na zespół mniej znany, to sędzi, że przeciwnik jest słaby i wychodzi na boisko lekceważąc przeciwnika. A kiedy okazuje się, że ten słaby, wcale taki słaby nie jest, to już nie ma czasu na koncentrację. Poza tym myślę, że, począwszy od ćwierćfinału, należałoby wprowadzić system rozgrywek: mecz i rewanż. To byłby atut dla silniejszej drużyny.

— Przyzna pan jednak, że ranga Pucharu Polski jest niższa od mistrzostwa Polski?

— To prawda. Kiedy byłem w Śląsku zdobyliśmy Puchar Polski. Widzew jeszcze nie zdobył pucharu, ale nie dlatego, że go nie chcemy zdobyć.

— Ostatnio przegraliśmy z Lechią, która ten puchar zdobyła?

— Ale po walce. Dopiero różnicą bramek w rzutach karnych. Mimo to miałem pretensje do zawodników, że nie grali z pełnym zaangażowaniem.

— Czy Widzew postawi sobie kiedyś taki cel: zdobycie Pucharu Polski?

— Będziemy walczyć, albo o Puchar, albo o mistrza Polski.

— No właśnie, a jaki cel stawiacie sobie w tym sezonie ligowym?

— Sprawa nie jest łatwa. Zespół jest w trakcie przebudowy. Tym niemniej, podejmiemy walkę o mistrzostwo w lidze i będziemy walczyli w Pucharze UEFA. Z jakim skutkiem — to okaże się pod koniec sezonu.

— Ale 2 pierwsze mecze w Pucharze UEFA grać poza Łodzią? W Białymstoku.

— Białystok złożył nam ofertę i przyjęliśmy ją. Łódzkim kibicom przyda się pewien odpoczynek. Mają dwie drużyny ligowe i stali się już wybredni.

— Poza tym wydaje się, że wokół incydentu na stadionie zrobiono za wiele szumu. W Meksyku, autobus z naszymi juniorami tamtejsi kibice obrzucili kamieniami. W lidze włoskiej też się dzieją różne rzeczy. To nas nie usprawiedliwia, ale zmusza do przywiązywania większej uwagi do spraw porządku na meczach.

— Życzę zatem sukcesów w tym niełatwym sezonie piłkarskim.

— Dziękuję, postaramy się nie zawieść naszych kibiców.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

— O Widzewie wiadomo, że dobiera zawodników do charakteru drużyny. Inni są zdania, że należy postępować akurat odwrotnie — koncepcję gry dopasowywać do możliwości zawodników. Co pan o tym sądzi?

— Można i tak. Ale my od dawna postępujemy inaczej i mamy wyniki. Dlaczego to zmieniać?

— Przyj

Porucznik Khaled Ahmed Shawk el-Islambuli miał 24 lata, kiedy wkroczył do historii, w drodze, 28 września 1981 roku, w dniu, gdy miały się spełnić losy jego własne i losy Egiptu.

Tego ranka, o godz. 10.15, porucznik Islambuli został wezwany przez swego dowódcę, majora Makrana Abdela Alaia z 393 brygady artylerii i poinformowany, że wyznaczono go do uczestnictwa w defiladzie z okazji rocznicy rozpoczęcia wojny 1973 roku. Defilada miała się odbyć we wtorek, 6 października 1981 roku, a porucznik Islambuli miał poprowadzić oddział składający się z 12 armat. Młody oficer poprosił o zwolnienie z tego obowiązku, bowiem zaplanował spędzenie świąt (8 października) z rodziną w Mallawi — wiosce w Górnym Egipcie. Major odmówił prośbie i po krótkiej wymianie zdań Islambuli oświadczył: — Dobrze, zgadzam się. Niech się dzieje wola boska.

Sens tej uwagi nie dotarł do majora Abdela Alaia. Widział przed sobą wyłącznie jednego ze swych młodych oficerów, znanego z dość żywych uczuć religijnych, lecz nie budzącego żadnych podejrzeń.

„WINNE GRONA”

Jak to się stało, że ten młody człowiek był przygotowany na podjęcie tak nagłej decyzji? Wiedział jedynie, że należy do małej grupy o kierunku fundamentalistycznym w ramach głównego nurtu myśli islamijskiej — „gama al-islamiyah”. Ten nurt, aczkolwiek podziemny, trwał już od dawna, zasłany przez dziennikarzy, takich jak np. Rashad Ridha oraz przez organizacje półlegalne lub na wpół nielegalne, jak wspólnota muzułmańska — „takfir wa hijra”. Nowe grupy jak ta, do której należał Khaled, były znane pod nazwą „anqud” (arabskie słowo oznaczające winne grono); każda „anqud” była odrębna i autonomiczna, tak że gdyby została oderwana od głównego grona, tak żadna inna „anqud” nie ucierpiałaby na tym, podobnie jak oderwanie jednej jagody od winnego grona nie narusza innych jagód. Nie była to właściwie organizacja oparta na komórkach jak w tradycyjnej konspiracji, lecz coś, co było równocześnie i bardzo zwarte, i bardzo luźne. Nośnym nurtem fundamentalizmu islamijskiego była wspólnie podzielana wiara i było wspólne wszystkim uczestnikom rozumienie sprawy; wyspki pojawiające się na powierzchni były dla siebie nawzajem niewidoczne. Wydaje się, że istniały kontakty, organizowane najprawdopodobniej w meczetach, między szefami (umara) różnych „anqud”, dające w wyniku zgromadzenie doradcze; nie jest jednak jasne, czy istniały kiedykolwiek rzeczywiste kierownictwo nadrzędne, obejmujące swym zasięgiem wszystkie grupy „jihad”.

GRANICA HERETYZMU

Islambuli wiedział, że od początku roku w „gama al-islamiyah” krążyła pogłoska, iż prezydent Sadat jest skazany na śmierć. Swego czasu muftiemu Omarowi Abdel-Rahmanowi zadane zostało teoretyczne pytanie: „Czy zgodne z prawem jest przelanie krwi przywódcy, który nie sprawuje rządów według nakazów Boga?” Żadne imię nie zostało wymienione ani w pytaniu, ani w odpowiedzi, która brzmiała, że takie przelanie krwi jest zgodne z prawem. Później, kiedy Omara Abdel-Rahmana zapytano o zdanie na temat Sadata, nie mówiąc mu jednak o zamierzonej akcji przeciw prezydentowi, mufti zawałił się: — Nie mogę powiedzieć, że przekroczył on definitywnie granicę heretyzmu.

Gdy padły te słowa, konspiratorzy nie potrzebowali już Omara Abdel-Rahmana.

PORUCZNIK KHALED EL-ISLAMBULI

Khaled el-Islambuli urodził się 14 listopada 1957 roku w Mallawi w Górnym Egipcie. Jego ojciec, Ahmed Shawk, który w 1981 roku miał 60 lat, jako adwokat kierował biurem prawnym pewnego towarzystwa cukrowego w Nag Hamadi. W 1952 roku poślubił młodszą od siebie o 5 lat dziewczynę, Kadrię, i miał z nią czworo dzieci — dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Starszy syn, 26-letni Mohammed studiował na ostatnim roku wydziału handlu na uniwersytecie Assiut. Starsza córka, Anisa, miała 28 lat; po ukończeniu szkoły wydziału handlu wyszła za mąż za urzędnika ministerstwa spraw społecznych i mieszkała w Heliopolis. Młodsza córka, Samira, absolwentka wydziału pedagogicznego uniwersytetu Assiut poślubiła księgowego, zatrudnionego w stowarzyszeniu arabskich przedsiębiorców. W rodzinie panowała atmosfera konserwatywna i nacjonalistyczna.

Khaled ukończył szkołę podstawową przy misji Notre-Dame w Mallawi, następnie uczył się trzy lata w szkole prowadzonej przez towarzystwo cukrownicze w Nag Hamadi, zaś dalsze trzy lata spędził w szkole drugiego stopnia, zwanej szkołą Aruba, czyli arabską. Khaled zawsze pragnął służyć w lotnictwie, ale jego marzenie o zostaniu pilotem nie ziszcilo się, bowiem nie sprostał egzaminowi wstępnemu do szkoły lotniczej. Wstąpił więc do szkoły artylerii, którą ukończył z wyróżnieniem w 1978 roku.

Jednostką, w której Khaled pełnił służbę, była stacjonowana w obozie Huckstep w pobliżu Kairu — obozie, który nosił jeszcze imię pewnego amerykańskiego generała, nadane, gdy oboz powstał podczas wojny z przeznaczeniem dla sił zbrojnych USA. Dzięki takiemu miejscu stacjonowania, Khaled mógł spędzać większość weekendów — łącznie z nocą czwartkową i piątkową — u swej siostry w niezbyt oddalonym Heliopolis. Odwoził tam helikopterem, która brała własne miejsce i w samotnie rano zabierała czystą do obozu. Ten etap życia, związany z Heliopolis, miał się okazać bardzo pożyteczny.

Dzięki raportowi, sporządzonemu przez wiceministra spraw wewnętrznych, generała Hassana Abu Basha (później mianowanego ministrem spraw wewnętrznych) można dziś cofnąć się do początków spisku. Przesłuchania więźniów po zamachu ujawniły, że niektórzy członkowie macierzystej „anqud” Khaleda odbyli spotkanie między końcem sierpnia a początkiem lutego 1981 r. Na tym spotkaniu byli: religijny przywódca grupy, Mohammed Abdel-Salam Farag Attija oraz jej przywódca wojskowy, podpułkownik Anbud Abdel-Latif el-Zumrów wyższy oficer, o którego istnieniu wiedział Khaled, nie znając jednak jego nazwiska.

JAK ZABIĆ SADATA!

Tematem rozmowy było ni mniej ni więcej, tylko przejęcie władzy w Egipcie, co siostry musiały podjąć za sobą usunięcie Sadata. Pułkownik Zumr pochodził z wioski na drugim brzegu Nilu, położonej naprzeciw rezydencji prezydenta. Mogło to ewentualnie stwarzać korzystną sytuację. Jednakże wszyscy byli zgodni co do tego, że okolice rezydencji są zbyt dobrze strzeżone, aby bezpośredni atak mógł mieć jakikolwiek szanse powodzenia. Inna ewentualność — ostrzeżenie przywódcy, że w momencie jego przyjazdu do rezydencji — została z miejsca odrzucona, bowiem nigdy nie było wiadomo, którym z trzech śmigłowców podróżuje prezydent. Odrzucono również propozycję zniszczenia rezydencji bombami lotniczymi, ponieważ nie dawałoby to żadnej gwarancji, że Sadat zginie pod gruzami.

Wówczas to właśnie po raz pierwszy wypłynęła sprawa defilady, która miała się odbyć 8 paź-

MOHAMMED HEJKAŁ

„Winne grono” przeciwko Sadatowi

dzielnika 1981 roku. Oczywiście było, że prezydent i większość członków jego gabinetu będą na niej obecni; poddano myśli zastawiania ich przez jeden z samolotów uczestniczących w defiladzie. Khaled nie był obecny na tym spotkaniu, ale poprzez macierzystą „anqud” dowiedział się, że rozpatrywana jest ewentualność wykorzystania defilady dla dokonania zamachu na życie Sadata. I właśnie w momencie, gdy otrzymał rozkaz wzięcia udziału w defiladzie, zrozumiał możliwość dokonania ataku na ziemi. Podczas przesłuchania oświadczył:

— Nie chciałem uczestniczyć w defiladzie, ale zgodziłem się, ponieważ nagle przyszła mi do głowy myśl, że jest to wola Boga, nie ze względu na samą defiladę, lecz dla dobra tej świętej misji.

Nie wiemy dokładnie jak to się stało, że Khaled postanowił działać. Jednakże podczas przesłuchań udzielił on trzech wyjaśnień w odpowiedzi na zadane mu pytania:

— Dlaczego to zrobiłeś?
Pierwsze z nich brzmiało, że prawa obowiązujące w kraju nie są zgodne z prawami islamu i w konsekwencji cierpią na tym muzułmanie. Drugie — to pokój zawarty z Żydami. Trzecie — niedawne aresztowanie przywódców muzułmańskich, ich przesładowanie i poniżanie. Jeśli rozszerzymy się na pretensje, widać wyraźnie, że dotyczy one sytuacji społecznej i gospodarczej Egiptu, porównania z Camp David i ośmieszenia kraju przez rząd. Można by dodać czwarte wyjaśnienie, bardziej osobiste: wśród członków ugrupowań muzułmańskich, którzy zostali aresztowani 3 września, znalazł się starszy brat Khaleda, Mohammed.

PROBA

Nic nie wiadomo o tym, jak Khaled spędził resztę dnia po otrzymaniu i zaakceptowaniu rozkazu uczestniczenia w defiladzie. Natomiast następnego ranka, w czwartek 24 września 1981 roku, wraz ze swą jednostką brał udział w próbie defilady, przechodząc przed pustą łożą, w której dwa tygodnie później mieli się znaleźć prezydent i jego ołoczenie. Podczas przesłuchań Khaled oświadczył, że w czasie tej próby zbadał teren i doszedł do wniosku, iż jego plan dla się zrealizować, lecz wymagał to będzie wielkiej świadomości, potrzebna mu też będzie pomoc. Po próbie wrócił, jak to miał w zwyczaju podczas weekendów, do domu siostry w Heliopolis, gdzie spał noc.

O siódmej wieczorem, w piątek 25 września, Khaled poszedł do duchowego przywódcy swojej „anqud”, Abdel-Salama Faraga, aby mu opowiedzieć, co zaszło. Spotkanie odbyło się w domu jednego z przyjaciół, gdzie przebywał Farag z nogą w gipsie — złamaną być może 3 września, gdy postąpił się unikaniem aresztowania. Khaled przedstawił wnioski, do jakich doszedł podczas próby defilady: że robota może być zrobiona, ale potrzebne mu będą trzy osoby do pomocy. Co o tym myśli Farag? Czy będzie mógł zapewnić trzech pomocników.

CZAS SŁAŚCI I DZIAŁANIA

Pora już, aby zainteresować się bliżej osobą Abdel-Salama Faraga — duchowego przywódcy „anqud”, do której należał Khaled, a więc jednej z kluczowych postaci spisku. Jak już było powiedziane, pakistański fundamentalista, Abu el-A al-Mawdudi rozróżniał dwa etapy, przez jakie muszą przejść współczesne społeczności islamskie: etap słabości (ustidha) i etap działania (jihad). Członkowie grupy „takfir wa hijra”, która dała się poznać w 1974 roku, szumującą wojskową szkołę techniczną w 1976, porównując byłego ministra Waafa szefka Mohammeda el-Dhahabi, zostali przekonani, że pośród społeczeństwa niewiernego w swej istocie reprezentują mniejszość prawdziwych wiernych, a podczas etapu słabości ich obowiązkem jest wycofać się z tego społeczeństwa i przygotować do następnego etapu — etapu działania. Inni fundamentalisci odrzucałi takie stanowisko argumentując, że to społeczeństwo w swej istocie jest złe, lecz przywódcy i prawa. Gdyby pozbył się przywódców i zmienił prawa, to lud pokazał, iż potrafi właściwie reagować. Inaczej mówiąc, nie jest to czas słabości, lecz czas działania.

Takie właśnie poglądy wyznawał Abdel-Salam Farag. W 1980 roku dwudziestosiemioletni wówczas Farag — inżynier elektryk, wyśiadł marnym drukiem niewielką, sintonizującą kaseteczkę, za tytułem „Nieobecna modlitwa”. Przytaczał w niej liczne cytaty dawnych teologów muzułmańskich (fugaha), zwłaszcza Ibn Taimiyya, starając się udowodnić, że podobnie jak głowa to najważniejsza część ciała ludzkiego, przywódca i stosowane przezeń prawa to najważniejsza część or-

ganizmu społecznego i politycznego. Jeżeli przywódcy są muzułmanami tak obłudnymi, jak byli nimi Tatarzy w czasach Ibn Taimiyya, to powinni zostać wyeliminowani. Wówczas okaże się, że masy ludzkie są w swej istocie zdrowe.

Farag chciał, aby jego idee zostały upowszechnione modliwie jak najszerszej, ale pułkownik Zumr był przeciwny. Powiedział Faragowi, że książka ta zwróciłaby jedynie uwagę władz na ich ruch i wobec tego nie powinna się ukazać. Dlatego spalono pięciotysięczny nakład książki, który został już wydrukowany, z wyjątkiem 50 czy 60 egzemplarzy, już puszczonych w obieg. Khaled el-Islambuli należał do tych — którzy czytali „Nieobecna modlitwa” i lektura ta przemówiła mu do przekonania. Dlatego w ów piątkowy wieczór poszedł zobaczyć się z Faragiem.

W sobotę, 26 września 1981 roku, Farag mógł już postawić Khaledowi pomocników. Dwa ochotnicy, których Farag przyprowadził na spotkanie, to: Ata Tajel Hemelda Reheil — 27-letni oficer rezerwy, inżynier podobnie jak Farag oraz Hussein Abbas Mohammed — sierżant-instruktor w szkole obrony cywilnej i od 7 lat strzelec wyborowy, posiadacz tytułu mistrzowskiego armii w strzelaniu. To on miał oddać do Sadata dwaj decydujący strzał ze stojącej w określonym miejscu ciężarówki. Fakt, że Farag mógł w ciągu 24 go-

dy kiedy spiskowcy sesji się znów w niedzielę, Khaled uprzedził pozostałych trzech mężczyzn, że idzie się zobaczyć z siostrą i wyznaczył spotkanie naprzeciw Kasyi Maryland w Heliopolis, skąd miał zawieźć ich w Flacie Abdel-Salama do strzeżonej strefy defilady, tam ich zostawić i położyć się w obozie wkrótce po nich. Dostarczył im przepustki uprawniające do przekroczenia bram obozu.

Podczas swego ostatniego pobytu u siostry Khaled skreślił i włożył do koperty kilka listów przeznaczonych dla niej, które jednak zostały znalezione dopiero po jego aresztowaniu: — „Zrozumcie mnie, proszę — piszę — Nie popelniam żadnej zbrodni. To co zrobiłem, uczyniłem z miłości do Boga, Miłosiernego i Wszchemogącego. Nie pragnę niczego dla siebie. Nie szukam wyższości, ani nagrody. Jeżeli ktoś przbacze mi, ucierpi z mojej winy, proszę, przebacze mi!”

W niedzielę wszystko było tak, jak zapowiedział Khaled. Trzej mężczyźni, gładko ogoleni i ubrani w mundury, wysiedli z samochodu Abdel-Salama 200 metrów od wejścia do obozu, weszli na jego teren (nikt nawet nie zażądał od nich przepustek), udali się do namiotu Khaleda i zapytali o niego. Odpowiedział im, że porucznika nie ma, natomiast oni są oczekiwani. Kwadrans później padł strzał Khaleda, niekiedy w walce amunicja. Powiła ich szorstko i odesłał do jakiejś roboty.

Następnego ranka, w poniedziałek 5 października, w przeddzień defilady, ordynans Khaleda ze zdziwieniem stwierdził, że oficer nie zjadł swego śniadania, lecz oddał je nowo przybyłemu. Pomyślał, że może Khaled chce zapewnić sobie życiowość ludzi z kontrwywiadu.

TRAGICZNA DEFILADA

Wtorek 6 października był dniem defilady. Khaled postawił na nogi swą jednostkę o trzeciej rano, bo o szóstej mieli być gotowi do wyruszenia. Wziął z namiotu cztery automaty, załadował je, kazał Abbasowi Mohammedowi porobić na nich znaki, a potem odłożył z powrotem na miejsce wraz z innymi. Abbas Mohammed włożył do czterech łuf po kawalku szmatki. Khaled zdał sobie sprawę, że iglice dostarczone przez Faragą były typu dawno już nie używanego i nie nadawały się do karabinów. Teraz, kiedy mógł wybierać w całej masie iglice zapalających namiot, nie było to już żadnym problemem.

Przed godziną szósta wszyscy byli gotowi do wyruszenia w drogę. Khaled chciał ukryć granaty pod swoim siedzeniem w kabinie, posłał więc kierowcę do kantyny obozowej, aby mu kupił kanapkę, a sam w tym czasie schował granaty.

W poniedziałek, 5 października, w przeddzień defilady, prezydent Sadat przebywał w swej rezydencji w Gizie. We wtorek wstał jak zawsze o ósmej trzydzieści, chwile się pogimnastykował, potem wziął masaż i przysnił. Zjadł lekkie śniadanie i zaczął się przygotowywać do defilady. Po nastaniu dnia, że miał on być wspaniałym sukcesem, ponieważ musiał nieprzyjemnie uczucie, iż nie udało mu się całkowicie uciszyć krytyków. Kilka dni wcześniej nadszedł z Londynu nowy mundur, teraz Jihan zauważył, że Sadat nie wkłada pod bluzę kamizelki kuloodpornej. Prezydent wyjaśnił, że na kamizelkę mundur nie leży. Przypomniał oglądany film o swej podróży do Jeruzolimy, podczas której nosił kamizelkę, a potem widok było wyraźne, jak go to porubiła.

Sadat zapowiedział, że pojedzie na defiladę otwartym samochodem. Kilka dni wcześniej polecił takim właśnie samochodem do Mansurah, gdzie były tysiące ludzi na ulicy, a dziś przecież będzie w otoczeniu swojej armii. Po co miałby się kryć? Skończył się ubierać, moją szarą sprawdził wózek i wyszedł, zapominając na stole swą buławkę marszałkowską. Później Jihan upatrywał żył omen w tym zapomnieniu.

Sadat przybył na defiladę w doskonałym humorze. Zapowiedział szefkowi z Al-Azhar i biskupowi Samweelowi, że mają siedzieć po obu jego stronach. Powód był oczywisty: chciał, aby na fotografiach widać go było nie tylko udekorowanego emblematem sprawiedliwości, lecz także otoczonego przedstawicielami wyznań religijnych. Rozmowa Sadata z sędziami na trybunie obracała się wokół prezentowanych nowych rodzajów broni; wszyscy słuchali radiowego komentarza do defilady, który na trybunie był transmitowany przez radio i telewizję.

Eskadry lotnictwa Egipskiego wykonywały popisowe akrobacje, Phantomy wypuszczały smugi różnokolorowego dymu, zbierając gorące oklaski.

— A teraz nadszła artyleria — zapowiedział komentator, chociaż było to oczywiście widowisko znacznie powściągliwsze.

Na wydany rozkaz defilada ruszyła. Pojazd Khaleda znajdował się po prawej stronie kolumny, tuż koło trybuny, w odległości czterdziestu metrów. Gdy podjechał bezpośrednio na wysokość trybuny, Khaled błyskawicznie wyciągnął pistolet i wymierzył go w kierowcę, żądając, by ten zatrzymał samochód. Kierowca usłuchał, hamując tak gwałtownie, że pojazd uśliznął się całkowicie z szeregu.

Zaledwie się zatrzymał, Khaled wyskoczył z samochodu i rzucił granat, aby wywołać panikę. W tym czasie Abbas Mohammed, stojąc na ciężarówce, otworzył ogień do prezydenta. Pierwsza kula ugodziła Sadata w szyję i już ta niewątpliwie była śmiertelna. Gdy tylko zaczęła się strzelanina, kierowca i reszta załogi ukończyli w bok, daleko od trybuny, ratując się jak tylko mogli. Reheil rzucił granat, który eksplodował w połowie odległości między ciężarówką a trybuną. Później znalazłono też granat-niewypał, na krześle, gdzie uprzednio siedział minister obrony.

Zaskoczenie było tak całkowite, że przez co najmniej 30 sekund nie nastąpiła żadna skuteczna riposta. Khaled dobiegł do pierwszego rzędu krzesła na trybunie, tuż za nim Abbas Mohammed, zaś dwa pozostali biegli po obu stronach trybuny, osłaniając ich ogniem. Adwokat broniący Khaleda utrzymywał później, że ten krzyknął do wiceprezydenta Mubaraaka i ministra obrony: — Zjedźcie mi z drogi, chcę tylko tego psiego syna!

Nigdy się nie dowiemy, czy Khaled naprawdę wypowiedział te słowa. Jeżeli tak — było to sprzeczne z planem spiskowców, zakładającym pozbycie się tyłu wysiłków ranga dygnitarzy rządowych, flu się tylko da. Można jednak przypuścić, że kiedy Khaled znalazł się twarzą w twarz z Sadatem, zapomniał o wszystkim, w swej niemożności do człowieka, którego uważał za wcielonego tyra. Tak czy inaczej, strzał nieprzewidywalny, ślad jeden pocisk za drugim w ciało prezydenta, gdyż sędził prawdopodobnie, że ten ma na sobie kuloodporną kamizelkę i nie chciał mu pozostać żadnej szansy. Kiedy umilkły strzały, trzech spiskowców było już połamanych. Stwierdzono siedem ofiar śmiertelnych, wśród których był Sadat oraz 23 rannych. Po raz pierwszy lud Egiptu zabił swego faraona.

(Fragment książki „Jesień gniewu” wg publikacji w „Le Nouvel Observateur”)

W kręgu fantastyki

Nagle otwarcie drzwi przedziału wyrwało mnie z zamyslenia. Młoda elegancka kobieta rozejrzała się uważnie, skinęła zachęcająco towarzyszącemu jej mężczyźnie i skierowała się ku mojemu miejscu przy oknie. Mojemu — to brzmi zbyt konkretnie, gdyż zajmowałem to miejsce dość powierzchownie. Właściwie umosiłem się nad siedzeniem, dotykając je z lekka przy gwałtowniejszych ruchach poślada.

Przed chwilą zatoniony w rozmyślaniach, obecnie obserwowałem przygotowania przybyłej pary do zajęcia miejsc. Bez zdziwienia obserwowałem, jak zgrabna, kobieca postać przenika przestrzeń zajmowaną przeze mnie. W ciągu ostatnich tygodni zdążyłem przywyknąć do swej nowej postaci. Przeniknięcie przez grubą, betonową ścianę było teraz dla mnie łatwiejsze, niż dawniej przebrnięcie przez płytka rzeczkę.

Pozbyłem się także oporów przed wnikaniem w tłum, który nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Byłem w bardziej uprzywilejowanej sytuacji niż niewidzialny człowiek Welles: byłem bowiem także niewyczuwalny, posiadając przy tym możliwość wniknięcia w najlepiej zabezpieczone i strzeżone zakamarki tego świata.

Czyżnie właściwie byłem? Człowiekiem nie, gdyż ciało moje, z którego zostały tylko rozkładające się szczątki, leżało w rodzinnym grobowcu. Duchem też nie. Duchy powinny mieć własny świat, w którym pędzą tryb życia mniej lub bardziej wyidealizowany, a ja takiego świata nie znalazłem. Jedno jest pewne — jestem sobą. Mam poczucie własnej jaźni. Myślę. Cogito ergo sum, kartezjańska dewiza, moje obecne credo, przebiegła mi znowu przez głowę. Przepraszam, przecież nie mam głowy, nie mam także innych wyodrębnionych części ciała. Mam zamiast nich homeostatyczne pole elementarne, wernie modelujące wszystkie dawne procesy mózgowe.

Dla rasowego cybernetyka, jakim byłem za życia, różnica ta była bez znaczenia. Właściwie zaczynając od końca: co to znaczy, że jestem? Z pewnością nie znaczy to, że jestem zbudowany z konkretnych atomów i węzłuję w pewnej objętości przestrzeni. Atomy ciała wymieniają się. Po wielu latach jesteśmy zbudowani z innej materii, a jednak jesteśmy sobą. Nasze istnienie to ruch w obrębie odpowiednio złożonej struktury.

Przez szereg lat modelowałem pracę mózgu w obwodach elektrycznych. Tworzyłem automaty kochające, nienawidzące, filozofujące i pracujące naukowo. Ze wzruszeniem wspominałem serie cybermenów z własną jaźnią, wola, charakterem. Zadnego z nich nie zdemontowałem. Miałbym uczucie, że jestem zabójcą własnych dzieł. Żyły do wyczerpania się technetowych baterii.

Nachodziła mnie wówczas pokusa. Skoro jestem w stanie skoplować w obwodach elektronicznych samego siebie, skoro mogę istnieć niezależnie od organicznego substratu mojej świadomości, czemu nie osiągnąć po nieśmiertelność? Czemu nie wymodelować własnej duszy?

Czym byłbym jednak wtedy? Krażeniem prądów w obwodach elektrycznych, skazanym na nietrwałość metalu, trwałszego wprawdzie od struktur białkowych, ostatecznie jednak uległego destrukcji czasu. Brakowało mi materiału do realizacji mojej idei.

Zaprzężyłem się w owym czasie z Arnem, młodym, lecz znanym już astrofizykiem. W zwirowanych dyskusjach dobiegaliśmy do granic wiedzy, snuliśmy coraz to mniej prawdopodobne koncepcje kosmogonijno-cybernetyczne.

— Wyobraź sobie — mówił Arn — że kosmos, w którym żyjemy jest tylko jednym z wielu powstających i rozpraszających się kosmosów w nadprzestrzeni, o właściwościach której nie mamy najmniejszego pojęcia. Niech w jednym z nich, na jednej z planet, powstanie cywilizacja istot rozumnych. W miarę jej rozwoju dochodzi do ekspansji z planety na planetę, z galaktyki do innej galaktyki. Wiadomo jednak, że macierzysty kosmos zginie: rozproszy się lub zapadnie. Cóż jej pozostaje? — Uwolnienie się z więzów materii, które grożą jej zgonem, przeniesienie się w nową nadmateriałną postać do owej nadprzestrzeni, gdzie może trwać niezależnie od powstawania czy rozpadań się poszczególne kosmosy.

Ustalenie się balonem w przestrzeni nad ginącą w oceanie wysępka jest tylko słabym wyobrażeniem takiego exodusu. Merk, znany biolog, który kiedyś wziął udział w naszej rozmowie, rozprawił się beceremonialnie z takimi „wydumaszami”.

— Cywilizacja, która może wyzwolić się z więzów materii, przestrzeni i czasu w ludzkim ujęciu — perorował — miałaby praktycznie nieograniczoną moc formowania tworów materii. Mogłaby więc „upatryzyć” w którymś z kosmosów odpowiednią planetę, nadać jej rozwójowi, pielęgnować zarodki życia, wywalać na proces ewolucji form żywych, aż do powstania istot rozumnych, podobnych do protoplastów tej cywilizacji. Mogłaby kopiować procesy psychiczne zachodzące w mózgach tych istot w „tworzywie”, z którego sama jest zbudowana, powielając i rozpraszając się w ten sposób. Innymi słowy byłby to Bóg stwarzający człowieka i obdarzający go duszą.

Trudno było odmówić słuszności jego wywodom. Odebrało nam to ochotę do tego rodzaju dysput na dłuższy okres czasu.

Blondynka, zajmująca wspólnie ze mną miejsce pod oknem, poruszyła się niespokojnie, co wyrażało mi się w sekwencji wspomnień.

— Okropnie gorąco tutaj — poskarżyła się swemu towarzyszowi — i czuję jakiegoś dziwne mrowienie w całym ciele.

Niedobrze — pomyślałem. — Rozgrzałem się nadmiernie, tracę zbyt dużo energii.

Wypłynąłem bezszelestnie na korytarz wagonu niezmyślonym plorunkulisty. Stanowiłem jednak rodzaj ameby z pola elementarnego, co niewiele miało wspólnego z elektrycznością. Nie potrzebowałem jej nawet do podtrzymywania obecnej egzystencji, gdyż przenikając przez materię moja substancja regenerowała się całkowicie, uzupełniając bieżące straty.

„Usiadłem” na bufecie w wagonie restauracyjnym i nie zwracając uwagi na przenikające mnie co chwila ręce klientów, ponownie zatopiłem się we wspomnieniach.

Przed miesiącem Arn podzielił się ze mną rewelacyjnymi wynikami swoich badań. Otóż, stosując odpowiedni zestaw generatorów masy, uzyskał pole pięciowymiarowe. Uważał je za macierz wszystkich znanych nam postaci materii i energii. Torusy tego pola, wytwarzane krótkimi impulsami aparatury, rozplwaly się, powodując spontaniczną manifestację kopii cząstek i atomów spotykanych po drodze. Arn zarzekł się, że w ciągu kilku dni uzyska twory stabilne, współistniejące z materią, wymieniające jedynie część energii.

Pewnego wieczoru odwiedziłem go pragnąc pochwalić się swoim nowym osiągnięciem — automatem „Creator”, o ogromnej pojemności pamięciowej, który po wniesieniu wyścielonych danych o planecie, był w stanie przedstawić wszystkie wersje życia, jakie się może na niej rozwinąć. Miał to być prezent dla Merka z okazji obrony pracy doktorskiej „O nieistniejących formach życia biologicznego”.

Arn nieczuł się z wizytą.

— Dziś decydujący eksperyment — zakomunikował. Tym razem pole będzie stabilne. Co tam masz? Automat? Dobry. Stawiaj go tutaj. Jeśli pole się rozplynie, to najwyższej poważają się dwa automaty. Ale tym razem tego nie będzie.

Postawił paczkę na stole i wycelował w nią dyszę generatora.

— Gotowe! — krzyknął i nacisnął guzik.

Rozległ się głośny brzek i paczka rozspadała się, roniąc śrubki i fragmenty obwodów po całym stole. Patrzyłem skamieniały na to dzieło zniszczenia. Arn miał raczej niewyraźną minę. Odchrząknął i niepewnym głosem wyjąkał:

— Khm... ehe... bardzo mi przykro... tego... khm... tego nie przewidziałem. Mam nadzieję, że nie było to nic cennego?

— Nie cennego? — wybuchnąłem. — Rok pracy, trzy miesiące programowania. To cudo cybernetyki! On by z gliny wyprowadził człowieka — na drodze matematycznej oczywiście.

— Co ty bredzisz? — zaniepokoił się Arn. Przedstawiłem pokrótce charakterystykę aparatu. W miarę opowiadania Arn bladł coraz bardziej.

— To przerażające — wyszeptał. — Co ja zrobiłem? W nagłym przebiegu chwycił jakiś aparat z biurka, i jak oszalały zaczął ganiać po pokoju. W pobliżu okna aparat zaterkotał ostrzegawczo.

— Jest! — krzyknął podniecony. — Podaj kondensator masowy — zawołał, wskazując na zestaw płyt wielkości dziecinnego wózka. Porwałem za uchwyty, jednak ciężar ani drgnął.

— Co najmniej sto kilogramów — pomyślałem. Zapanłem się nogami w podłogę i ciągnąłem go centymetr po centymetrze. Nim przebiełem dwa kroki, aparat ucichł. Arn wychylił się z łazienki za okno — daremnie.

Aparat milczał.

— Uciekaj! — szepnął zrezygnowany i przybity.

— Słuchaj, powiedz wreszcie co się tutaj dzieje? — spytałem, sapiąc i wachlując się koszulą. — Co to ma znaczyć? Arn rzucił się ciężko na fotel, drżącymi rękami usiłował przypalić papierosa.

— Sam muszę ochłonić i przemyśleć... sprawa przybrała fatalny obrót — ...diabli nadal ten automat — odsunął niechętnie stos żalonych szczątków mojego arcydzieła. — To pole, mówiąc obrazowo, pożarło całą jego wiedzę, posiada przy tym zdolność realizacji pódów jego obliczeń.

Spojrzałem na niego ze zgrozą.

IAN DŁUGOSZ

Nieśmiertelny

— Nie masz chyba na myśl... — zacząłem.

— Niestety, istnieje możliwość, że jeśli spotka na swojej drodze jakąś planetę, zrealizuje jedną z możliwych na niej wersji życia — potwierdził Arn moje najgorsze przypuszczenia.

— To straszne! — zawołałem. — Przecież on nie ma żadnego bezpieczeństwa selektywności, nie wybiera wersji najlepszych, modelując wszystkie możliwe formy, nie oceniając czy są udane, czy rokujały stały rozwój, czy też będą targane wewnętrznymi sprzecznościami...

— Z pewnością nie kieruje się także kryteriami dobra i zła — dopowiedział Arn. — Może więc tworzyć formy życia zle i okrutne, w których jedne gatunki będą żyły kosztem innych, w których istnienie będzie jednym pasmem rzezi i przelewów krwi.

— Niestety, nie on będzie za to odpowiedzialny — podsumowałem. — Dla niego każda wersja jest jednakowo dobra. Po prostu jest tylko jedną z tysięcy kulek, wyrzuconą z worka losowego, jednym z miliarda pleśniaków, który przypadkowo zapłodnił planetę. Rachunek za jego działalność będzie wyciągał wyłącznie nas samych.

W pokoju zapanowało przynębiające milczenie.

— Przyniosę kawy — zaproponował Arn. — Pomyślmy czy uda się go odnaleźć.

Z nową nadzieją wyszedł do kuchni.

Pozostałem sam na sam z aparatem. W zapadającym mroku, światła na płycie czołowej generatora pały urokiłwisa. Czerwone z lewej wskazywało, że aparat jest pod napięciem. Zielone z prawej strony oświetlało napis „Charge” — ładunek, widoczny nad niedużym, prostokątnym ekranikiem ze skalą. Strzałka spoczywała na zerze. Pchany niewytumaczalną siłą nacisnąłem zieloną płytkę. Strzałka drgnęła i nabierając szybkości osiągnęła napis „max”.

— 10° J — odczytałem, zbliżając twarz do skal. — Chyba zdziwił — pomyślałem. — Milton — to nieźle — pomyślałem z niedowierzaniem i uznaniem dla mocy impulsu. Nic dziwnego, że z mojego kreatora posypały się śrubki. Człowiek też by ani zignorował.

W tym momencie doznałem olśnienia.

— Właśnie! Co by się stało, gdyby taki impuls przeszył człowieka? — zadałem sobie pytanie i w tym momencie poczułem krople potu na czole. Czulem, że jestem blisko czegoś nieuchwytnego, czegoś co koncentruje w sobie wszystkie moje problemy. Szukałem tego bezskutecznie od dłuższego czasu, a i teraz jeszcze z trudem torowałem sobie drogę do mojej świadomości.

— Człowiek z pewnością zginie — kontynuowałem dociekanie — ale jego struktura psychiczna, jego jaźń, jego połączenia między neuronami powinny się utrwalić w niezniszczalnej „substancji” pola elementarnego.

Na te myśli zakreśliło mi się w głowie. Muszę to przedyskutować z Arnem — pomyślałem, jednak w następnej chwili zwątpiłem w celowość takiej rozmowy.

— Cóż on może o tym powiedzieć? Wszak precedensu nie było. Incydent z automatem potwierdza taką możliwość, ale jeśli chodzi o człowieka — pozostały tylko eksperyment. Zadrżałem po tej ostatecznej konkluzji.

— A gdyby tak? — zbliżyłem dłoń do czarnej płytki z bielejącymi wyraźnie dwiema literami „GO”. W następnej chwili, przelotnie z trudem ślinę, cofnąłem drżące palce. Rozjąłem się ukradkiem, jak złoczyńca. Z kuchni dochodził świst czajnika. Zaraz wrócił Arn. Mrok w pokoju zęstał, za oknami pojawiła się luna światła wielkiej metropolii.

Podszedłem do jednego z nich i wychyliłem z lekka. Z dołu dochodził wyraźnie, nawet tutaj do wysokości dwudziestego piętra, jednostajny szum ruchu ulicznego. Molekuly światła samochodowych sączyły się monotonnie w zielono-czerwonych filtrach sygnalizacji świetlnej. Neony wyszarpwały w zawrotnym tempie tęczowe hasła i figury rzucając je na granatowe tło. Nieopodal, podwójny sznur światła, jak naszyjnik z opali, zaczął brześć rzeki. Jej rzęski, wilgotny oddech chłodził rozgrzane ruchliwym dniem miasto. Z przyjemnością wystawiałem twarz na ten chłodny powiew.

— Piękne jest miasto o zmroku — pomyślałem. — Właśnie teraz przypomina żywy, pulsujący organizm. Trudno byłoby rozstać się na zawsze z tym widokiem.

Całe dotychczasowe życie przemknęło mi przed oczami. Rozczarowałem się do niego wielokrotnie. Miejsce, czas w jakim żyłem, ludzie, którzy mnie otaczali zbyt często wzbudzały we mnie niechęć. Filozoficzne usprawiedliwienia egzystencji ludzkiej, od racjonalistycznych po mistyczne, były zbyt ograniczone. Cele, jakie można było sobie stawiać razili trywialnością. Uczyniło to ze mnie skrajnego pesymistę i malkontenta. Nawet miłość nie stanowiła dostatecznej przeciwwagi. Zdawałem sobie sprawę, że istota związków płci jest złączeniem dwóch nici kwasu nukleinowego. To one stanowią jądro człowieka i motor jego poczynań. Reszta ciała, jak powłoki elektroniczne w atomie, realizowała tylko odpowiednią reakcję chemiczną. Sukcesy naukowe były złudą poznawania. Nie czulem się bliższy istotcy rzeczy w miarę poznawania, raczej przeciwnie, obraz rzeczywistości rozmazywał się coraz bardziej. Aktywność życiowa dla samego ruchu przypominała mi bezładną bieganie mrówek, zaś czystą kontemplacją nie mogłem się zadowolić. Pozostałem skazany na samotność. Rzeczta rzeczywistości rozgrywała się gdzieś daleko, niby za szybą niezastępnego akwarium. Gdzieś, ktoś coś robił, jakies rzeczy się działy, rozlegały się śmiechy, słychać było rozmowy — ja pozostawałem na uboczu — rozdarły, skłócony z samym sobą.

Unieść się ponad to wszystko, spojrzeć z pewnego dystansu, wymazać całe polacie pamięci, poczuć się prawdziwie wolnym — pragnienia te stały się moją obsesją. Przemysłowałem kiedyś o drastycznym zakończeniu tych rozterek, jednak świadomość że po tamtej stronie jest tylko ciemność i nicość była upokarzająca. A może bałem się takiej możliwości? Tak jak teraz.

Spojrzałem na swoje ręce z odrazą.

— Dlaczego tak się trzęsiesz nad tym swoim „bezcennym” życiem — zapytałem siebie niemal głośno, nienawistnie. — Czy nie możesz, jak starożytny Rzymianin sporządzić bilansu? Jakiem, piłem, kochałem, bawiłem się, cierpiełem, tworzyłem, a teraz wiem czego już w życiu nie dokonam, wiem, że to, co mnie czeka będzie jedynie multiplikacją rzeczy przeżytych. Nie tracę wiele, a zyskać mogę coś, co nie było udziałem żadnego człowieka. — Czas rzucić się na miecz — zakonkludowałem ostatecznie.

Odwrociłem się od okna. Arn zwiekał z kawą. Tumiąc kroki, przeszedłem szybko pokój i z determinacją nacisnąłem płytkę wyzwalającą. Uczulem wypierające dech uderzenie w piersi, niczym wierzgnięcie kopyt końskich. Potworny ból, jak gorący, płynny metal wypełnił najdrobniejsze zakątki czaszki. Straciłem przytomność. Gdy odzyskałem ją po chwili, unosiłem się z lekka wstrząsany podmuchami wiatru tuż przy oknie. Czulem się niezwykłe lekkim i swobodnym — bezcielesnym. Krystalicznie jasna świadomość, postusza każdemu drgnięciu woli, bez uczucia zniechęcenia, senności, głodu, pragnienia — takie wrażenia można mieć tylko we śnie. Pokój zmienił nieco wygląd. Przedmioty wydzielaly delikatną luminescencję, wydawały się być wółprzejrzyste, niczym widmowe zjawy. Na dywanie przed generatorem leżało moje ciało z bezładnie rozrzuconymi rękami. Na twarzy malował się grymas nieładniego cierpienia, lecz to było mi obojętne.

Do pokoju wszedł Arn z dymiącymi filiżankami kawy na tacy. Stał jak wryty. W następnej chwili, rzucając kawę, poślizgnął na ratunek. Z zacięcia pasją ugnał klatkę piersiową zwłok, prowadził sztuczne oddychanie, wezwał telefonicznie pogotowie.

— Biedaczysko, będzie miał sporo kłopotów przeze mnie — pomyślałem ze współczuciem, jednak sukces ekperymentu upoili mnie do tego stopnia, że bez żalu wypłynąłem przez okno i niewielekim wysiłkiem woli spłynąłem na ulicę.

— Stworzyłem własną duszę! — chciało mi się śpiewać. W miarę pokonywania przestrzeni moja energia nieco zmniejszała się, jednak wystarczyło, bym przeniknął przez gruby mur lub stalową płytę, aby regenerowała się zupełnie.

— Czyżby duchy dlatego tak lubiły przeknikać ściany? W każdej niemal opowieści o nich to robią. Może ktoś kiedyś posiadał te tajemnice — przemknęło mi przez głowę.

Szczególną przyjemnością sprawiło mi odwiedzanie banków i przenikanie kas pancernych. Nabyta w takim pasażu energia wręcz rozprzierała mnie. Uwalałem się od jej nadmiaru pozostawiając duplikaty rzeczy tam znalezionych: banknotów, klejnotów, sztabek złota. Wyobrażałem sobie miny urzędników po otwarciu takiej kasy.

Kilkanaście dni trwała sielanka eksperymentowania nad swoimi nowymi możliwościami. Początkowo bawilo mnie unoszenie siłą woli przedmiotów w najmniej oczekiwanych okolicznościach, np. półmisek na przyścielach, a także zamiana smacznego dania w wyschłe wióry i odwrotnie. Wiedząc, że Arn gra namiętnie w gry liczbowe, tak pokierowałem ruchami kulek w losowaniu, że przypadła mu w udziale główna nagroda. Największą zaś satysfakcję czerpałem z realizowania życzeń dzieci. Widząc, z jakim zachwytem wpatrywały się w zabawkę, która nagle zjawiała się w ich rękach, przez moment czulem się szczęśliwym.

Z biegiem czasu coś zaczęło się we mnie zamykać. Zadne drzwi nie miały dla mnie tajemnic. Obserwowałem wszystkie aspekty życia ludzkiego, uczynki najbardziej podłe i wzniosłe porówny. W sytuacjach drastycznych starałem się interweniować, ochraniając krzywdzonych. Ale poczucie wszechmocy już mnie nie cieszyło. Zobowiązywało ono do wyważonych decyzji, aby pochopnymi interwencjami nie unieszczęśliwiał ludzi. Z tego też względu, po dojrzałym namyśle, zrezygnowałem z próby zasygnalizowania o odkrytej możliwości egzystowania w innej niż cielesna formie. Ponadto patrzyłem na wszystkie odmiany miłości, a nie mogłem kochać, ani być kochanym. Pojąłem, że być szczęśliwym, to znaczy realizować swoją osobowość w określonej społeczności i tam dokonać wybranego dzieła życia. Tymczasem znowu byłem samotny i cierpialem. Nie mogłem żyć sam w swoim świecie i nie mogłem wrócić do ludzi. Perspektywa nieśmiertelności napawała mnie przerażeniem.

Tak oto znalazłem się w pociągu zdążającym do mego rodzinnego miasta. Zamknięte pudło wagonu stanowiło dla mnie azyl. Ograniczało moje straty energetyczne, przez co mogłem ograniczyć kontakty z materią. Mogłem spokojnie zająć się własnymi myślami. Za oknami dymiły szary, jesienni krajobraz. Szyby przysłoniła delikatna przęda deszczu. Mijani przechodnie wtulali twarze w kołnierze, starając się odciąć od dotkliwego chłodu. Tu, w wagonie restauracyjnym było ciepło i gwarno. Dwóch mężczyzn spierało się gwałtownie o jakąś drobnotkę. Nagle jeden z nich uniósł kufel po piwie z zamiarem uderzenia oponenta. Wytyłem na moment swoją wolę i kufel zniknął, jak zdmuchnięty płomień świecy. Przez chwilę obserwowałem głupią minę napastnika spoglądającego na pustą dłoń, po czym popłynąłem do wyjścia.

Pociąg zatrzymał się na obskurnej stacji. Mimo upływu lat niewiele się tutaj zmieniło. Ta sama leniwa atmosfera jak w tamtych dniach, gdy pełen zapachu i energii wyruszałem ku innemu życiu. Popłynąłem nad ziemią w kierunku starego cmentarza. Oto grób starego nauczyciela. Oto drugi — kolega, który popełnił samobójstwo przed kilku laty. Liście akcji zszedłszy dyskretnie, jakby chciały wyszeptać jego tajemnice. Wreszcie grób oca, przywalony marmurową płytą. Świeże kwiaty, znicze — ślady pamięci matki. Zawsze sądziła, że spocznie u boku męża, tymczasem wcześniej złożyła tam syna.

Przeniknąłem przez płytę w głąb grobowca. W absolutnej ciemności moja „substancja” zaczęła sączyć słabą poświatę. W jej świetle ujrzałem gnijące, ciemne masy, pokryte częścielowo butwiejącymi szmatami, między którymi polyskiwały wygładzone żebra i piszczele. Naga czaszka straszyla czarnymi jamami oczodółów i zębami wyszczerzonymi w sardonicznym uśmiechu.

— To wszystko co pozostało ze mnie? — pomyślałem. — O marności bytu ludzkiego!

Pokonując wstąpiłem wniknałem w gnijące masy i ostatnim wysiłkiem woli zmusiłem je do życia. Rozpadła się struktura chemiczna polaczyły się ponownie na ośnowie pola elementarnego. Nie wierzyłem, że to się uda, a jednak...

Leżałem oto w grobowcu blady, wychudły — słowem upiór z zaświatów, którego własny kaprys uśmiercił i ponownie przywrócił do życia. Pierwszym wrażeniem cielesnym był potworny głód szarpący wnętrzości i odrętwiający chłodem.

Wciągnąłem rękę. Zatrzymała się na zimnej powierzchni kamiennych płyt. Naparłem mocniej obu rękami — płyta drgnęła. Jeszcze chwila i odpadnie z łoskotem otwierając wyjście do realnego świata.

W tym momencie opuściłem ręce.

— I po co? — spytałem niemal na głos. — Wszystko od nowa? Jeszcze raz przebrnąć ten przeklęty kotwórt? Tak bez końca?

— Nie! Nie chce tego. Zostanie tutaj. Zaczekam na prawdziwy koniec. Tylko śmierć uwolni mnie od samego siebie.

Odwrociłem się na bok i zapadłem w odrętwienie, oczekując na jej kończące tchnienie.

Kwiecień 1683 roku. Od siedemnastego stycznia ciągnęła się sesja sejmowa. Wazyły się losy sojuszu Rzeczypospolitej z cesarstwem przeciwko Turcji. Izba sejmowa chłodno przyjęła przemówienia nuncjusza papieskiego Pallaviciniego i posła cesarskiego, hrabiego Waldsteina, nawołujących do zawarcia świętej ligi.

Karety magnatów, dygnitarzy krążyły nieprzerwanie na drodze między zamkiem warszawskim a pałacem królewskim w Wilanowie. Maria Kazimiera brała żywy udział w toczących się rozgrywkach politycznych. W jej gabinecie wilanowskim zapadały nieraz decyzje o doniosłym znaczeniu państwowym.

Osiem zwierciadeł, po dwa w każdej ścianie, odbijało pokrywający ściany purpurowy aksamit perski, malowidła treści religijnej z zablakowanymi przypadkowo wśród nich obrazami pijanego Bachusa i bachantki mdlejącej w objęciach kozłogłowego satyra.

W którąkolwiek stronę obrócił się nowo kreowany hetman wielki koronny Jabłonowski, wszędzie widział w lustrach swe badawczo wybalansowane oczy i żupan z białego multanu ze złotymi guzikami.

Papież Innocenty XI z rodu Odeschalchich to mąż szerokiej myśli politycznej — tłumaczył królowej. — Dwory europejskie znają ambicję Stoicy Apostolskiej. Papież chce być głową świętego przymierza mocarstw chrześcijańskich i wstrząść z powierzchni ziemi wraże państwo Półksiężycy.

Zetrzeć — hetman przybił to słowo lekkim tupnięciem. Maria Kazimiera zesznurowała usta i zacisnęła ręce, przepłóła palce.

Ojciec Święty jako urodzony w Mediolanie i jako poddany cesarza — uwodził cielskim głosem wtajemniczonego hetmana królową w arkana polityki — żywi kult dla monarchy rzymskiego cesarstwa narodu niemieckiego.

Patrzajcież! — zdziwiła się Maria Kazimiera. — Teraz dopiero rozumiem, dlaczego Ojciec Święty domaga się od króla Polski pomocy dla cesarza Leopolda.

Jabłonowski nachylił się do różowego uszka modnochochodnej władczyni. — Dlatego też trzeba się strzec kardynała Pallaviciniego — szeptał. — Nuncjusz to wielki Waszych Królewskich Mości i całej Polski nieprzyjaciel, i szpieg domowy. Podburza on też króla jegomości przeciwko jego prawowitej małżonce, a mojej pani dobrodzie.

Hetman siedział z niepokojem zmiany na twarzy królowej: strach w dużych oczach, błyskających inteligencją i dowcipem.

Podburza? Proszę, o cóż to? Gość zdjął z jela czapkę bobrową z brylantową szkafią i zaczął miąć ją w palcach.

Mówże waszmość, skoro zaczęła — gorzko roześmiała się królowa. — Król jegomość krzyw na waszmość panią — z trudem dobywał Jabłonowski słowa z ust, zacinał się — że waszmość pani w zakład o pięćdziesiąt tysięcy talarów z biskupem chełmińskim poszła, iż zostanie on biskupem krakowskim.

Maria Kazimiera stłumiła westchnienie. — To bajki. O waszmość panu też mówią — odważnie wzięła odwet za zachwałność hetmana — że chociaż król go buławą wielką obdarował, to waszmość podsyca opozycję przeciwko dworowi pragnąc wynieść swoją fortunę przez zgubę króla polskiego i jego rodziny.

Hetmanowi uderzyły rumieńce na twarz. Upierścienioną rękę przyłożył z patetycznym gestem do piersi. — Waszmość pani, dobrodzie mój, sama wiesz najlepiej, ile w tym nieprawdy i intrygi, bo całym sercem przy tronie stoję.

Pochylony zezował wybalansowanymi oczami w prawo, w lewo. — Stronictwo francuskie wzrasta na sile, to prawda. Szlachta boi się niebezpieczeństwa i ciężarów wojennych. Pan podskarbi podsyca niechęć do Austrii. — Hetman zniżył głos. Dlatego mało z pokojów, kuchni i od innych posług Francuzów przegnać. To rada przyjaciela...

Znów do różowego uszka królowej się nachylił. — Pan Morsztyn czyha na chwilę, kiedy królowi ziemia spod nóg zacznie się usuwać. — Zdrajca! Nie masz prawdziwych przyjaciół w tym kraju!

Lew Lechistanu

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Panu Morsztynowi, głównemu pryncypałowi stronictwa francuskiego, trzeba ster polityki z rąk wytrącić, przed Izba sejmową zdemaskować — półgłosem doradza hetman — że z królem Francji w konszachtach, że na szkodę Rzeczypospolitej spiskuje, że o detronizacji króla zamyśla, że innych niepoczciwie oczernia...

Maria Kazimiera rozplotła palce, zacisnęła pięści i potrząsnęła nimi, jak gdyby grożąc swoim wrogom. — Prawde mówię król: „Nie masz na świecie dobrego człowieka. Nie masz ani jednego”.

Przyłożyła palce do skroni. Komuż w końcu wierzyć? Nuncjusz przysięgał na ewangelie, że jest szczerym przyjacielem Polski i pragnie tylko jej dobra. Hetman zaś twierdził, że nuncjusz to wróg. Za godzinę przyjdzie pan marszałek

Lubomirski i powie o Jabłonowskim, że to Diablonowski, który dwie pensje bierze, od cesarza Austrii i od króla Francji. A nazajutrz tak samo nazwie Lubomirskiego nuncjusza.

Każda inna kobieta, której umysł nie byłby dostatecznie zaprawiony w konszachtach i wyrafinowanej intrydze dworskiej na sposób francuski, zgubiłaby się w skomplikowanych meandrach polskiej gry politycznej.

Idź waszmości! — odepchnęła lekko królowa hetmana. — Słysz, że mój mąż nadchodzi.

Jabłonowski wykonał ceremonialny rewerans, skłonił się, zgął kablakowato rękę, wierzchem dłoni głośno kwiecisty dywan i opuścił pośpiesznie komnatę.

Ciężka rzeźbiona klamka

przy jednych drzwiach wznosiła się jeszcze powoli do góry, gdy przeciwnymi wszedł Sobieski... Potrząsając garścią szeleszczących papierów sapał: — Wyszłi Judasz?

Maria Kazimiera wstała, ujęła obu rękami fałdy sutęj falendyszowej sukni i podbiegła do małżonka. — Co mi to opowiadają, że waszmość pan ponoć krzyw na swą małżonkę o to, że zakład pięćdziesiąt tysięcy talarów z Małachowskim poszła, że zostanie biskupem krakowskim?

Był on wtedy biskupem chełmińskim i chętnie się z panią dobrodziecią założył licząc, że się królowa postara, aby on ten zakład przegrał — ironicznie przypomniał Sobieski. — Ale czy to królowej jejmości przystoi?

Maria Kazimiera tupnęła sa-

panowym pantofelkiem na wysokim obcasie.

Sobieski machnął papierami. — Duszo moja, daj spokój. Nie o tym nam teraz mówić. Pisze mi Proski z Konstantynopola, że dnia drugiego księżycy szaaban wystawione zostanie na placu przed pałacem sultańskim buńczuki, a padyśzach przeniósł się z pałacu do obozu pod namiot na równinie Daud-basza.

Maria Kazimiera wypuściła fałdy sukni z rąk. — Wojna? Król siadł ciężko na krześle, otyły, zwalisty. Między rozstawione kolana opuścił rękę. — Wojna.

Ziwnął papiery w garść. — A ja się muszę odgryzać tym kundlom — Morsztynowi, Lubomirskiemu, Jabłonowskiemu. A zdrajcy! W takiej chwili spiski im w głowie, skryte schadzki, prywatne fakcyjne

2

Kadnie oczy królowej zwrężyły się, brwi zbiegły nad nosem. — Co do Jabłonowskiego to nieprawda.

Jabłonowskiego też wciągnęła.

Królowa potrząsnęła głową. Opadające na boki kasztanowe włosy poruszyły się dokoła jalkowatej twarzy. — Nieprawda.

— Ale rachuj na niego. Koronę mu po mnie dawał.

— Jeden może dawać, drugi — nie wiać. To intryga podskarbiego. Pan Morsztyn chce waszmościów poróżnić.

— O, jak to pani dobrodzieca bronisz hetmana! A wreszcie, jechał go seki Wszechy oni popychają mnie do desperacji. Do grobu snadź chcą mnie wpędzić. Niech ogień spali ziemię, niech wół wytrze wszystkie łaki, po śmierci nie dbam o nic. Ale póki żyję, wara!

— Pan Morsztyn żmija najgorza.

— Podskarbi gorzej niż Turczyn szarpie moją sławę.

— Nik inny, tylko podskarbi.

Maria Kazimiera przebiegła posuwicie, z rozwianymi włosami, przestrzeń od zwierciadła ku stolowi. — Vous navez point de plus, cruel ennemi au monde que le comte de Morsztyn! — pârskala gniewem jak rozjuszona kotka. — Aprés toutes les bontés et les grâces qu'il en avait recues vous avez entre les mains des preuves des noirs trahisons plus claires que le soleil en plein midi.*

Jabłonowski nie lepszy! — gniewnie szarpnął Sobieski wąsa. Nozdrza rozdmynał mu się coraz szybciej. — Opowiadał Gniński, że słyszał, jak się pan hetman naigrywał z monarchy. — Co to za król — śmiał się — który na koniu sam wsiadł nie potrafi, tyłko mu krzesło podstawić trzeba! I że koń żaden podemną dłużej niż trzy godziny nie wytrzyma, ino stęka pod ciężarem mego cielska. A, zdrajca, buławą go wielką obdarowałem!

Sobieski poczerwieniał, sine węzły żył wystąpiły mu pod skórą na skroniach i na szyi. — Judasz! — syczał. — Wie on, że mam duszenie w gardle, astmę i że mi nogi puchną. Rachuje na to, że prędko zasną na wieki, a wtedy korona przejdzie na jego skronie.

Maria Kazimiera podszła do męża, atnęła za jego pęczkami, objęła rękami potężne bary, obrzuciła szyję. — Faut pas se tourmenter... Nie turbuj się waszmość, zdrowia szkoda. Znasz tę powiastkę o drwalu, którem umierając pokazał swoim siedmiu synom wiązkę patyków. Żaden syn nie potrafił złamać wiązki. Tedy drwal rozwiązał patyki i każdy patyk połamał z osobna.

— Po co mi to, serce moje, mówisz?

— Z wrogami takó postępować należy. Przeciwno wszystkim na raz nie działasz, a z osobna każdego po kolei zwyciężysz. Z początku trzeba pokonać najgroźniejszego wroga.

Król milczał. — Któż jest naszym najgroźniejszym wrogiem, jeżeli nie podskarbi? — zapytała królowa z irytacją.

Dysząc pochylił Sobieski głowę. — Nie mów mi, duszko moja, o tym wężu, bo jak słucham, to mnie cholera bierze. Dawno mu trzeba było jadowite żądło z paszczy wyrwać.

— Zeby tego dopiąć — pieścizotliwie przyłożyła Maria Kazimiera policzek do głowy małżonka. — Zeby tego dopiąć, warto nawet innym przebaczyć. Warto nawet innym przawiny w niepamięć puścić.

Sobieski ujął rękami białe upierścienione palce żony, przytrzymującej go za ramiona. — Królowa serca, pani a dobrodzie mój! Klejnocie najdroższy! — sapał czule. — Tobie by cesarzową być, a mnie twoim niewolnikiem i słuchać rozkazów mojej wdzięcznej a mądrej statystyki.

Maria Kazimiera głośno meża po ramieniu. — Qui vult amari, languida regit manu.**

* Twym największym wrogiem na świecie jest hrabia Morsztyn. Po wszystkich dobrodziejstwach, jakie ci zawdzięcza, masz w rękach dowody jego zdrady jasne jak słońce. (franc.)

** Kto chce być kochany, rządź łagodną ręką (łac.)

